

ARCYDZIEŁA EUROPEJSKIEJ POEZJI DRAMATYCZNEJ

TOM II.

Polskie Kopalnie Skarbowe na Górnym Śląsku
Spółka dzierżowna. Siedziba w Katowicach.
Société Fermière des Mines Fossiles de l'Est Polonois et de la Haute-Silésie.
Société Anonyme à Katowitz.

ARCYDZIEŁA EUROPEJSKIEJ POEZJI DRAMATYCZNEJ

W PRZEKŁADZIE JANA KASPROWICZA

TOM II.

PERCY B. SHELLEY: RODZINA CENCICH — ROBERT BROWNING:
PIPPA PRZECHODZI, NA BALKONIE — WILLIAM BUTLER YEATS:
KSIĘŻNICZKA KASIA — ALGERNON CHARLES SWINEBURNE:
ATALANTA W KALYDONIE

5068

7674/II



~~208~~
508

LWÓW — MCMXII
NAKŁADEM TOW. WYDAWNICZEGO
WARSZAWA — E. WENDE I SPÓŁKA

Polskie Kopalnie Szarbowe na Górnym Śląsku

Spółka dzierżawa. Spółka Akcyjna w Katowicach.

Société Fermière des Mines Scharbowe de l'Industrie Polonoise en Haute-Silésie

39810.2
II

7674/5

D-74/13899

12.12. [50,-]



Stowarzyszenie Rodzinne
Rodzina Cencich
1916, 1917, 1918

RODZINA CENCICH

POŚWIĘCAM
PANU LEIGH HUNT'OWI.

Drogi mój przyjacielu!

Z dalekiej ziemi i po nieobecności, której miesiące wydawały mi się latami, poświęcam Panu tę mą ostatnią próbę literacką.

Pisma, dotychczas przezemnie ogłaszane, były czemś nie wiele więcej, jak tylko wizyami, uosabiającemi me pojęcia piękna i prawdy. Widzę też w nich wady literackie, będące wpływem niepo- hamowanej młodości; są to sny o tem, co być powinno lub co być mogło. Dramat, który obecnie Panu oddaję, to smutna rzeczywistość. Nie roszczę sobie już prawa do urzędu nauczyciela; zadowolony jestem, iż farbami, których mi własne udziela serce, minione maluję rzeczy.

Gdybym miał kogoś innego, któryby więcej posiadał przymio- tów, godnych mężczyzny, aniżeli Pan, byłbym go był poprosił, aby mi wolno było dzieło to jego ozdobić nazwiskiem. Nigdy nie znał człowieka, który byłby szlachetniejszym, czcigodniejszym, nie- winniejszym i dzielniejszym; człowieka, któryby miał więcej wyro-

zumienia dla czyniących lub myślących źle, a sam był tak wolnym od wszelkiego zła; człowieka, co wie, jak należy dobrodziejstwa przyjmować lub je dawać, jakkolwiek sam daleko więcej musiał dawać, aniżeli mógł przyjmować; człowieka prostszego, żyjącego życiem najczystsze, w tego słowa znaczeniu, czystszy i szlachetniejszy obdarzonego obyczajami; byłem też szczęśliwy już w przyjaciółstwach, kiedy nazwisko pańskie wpisane zostało w ich poczet.

W cierpliwej i nieprzejednanej nieprzyjaźni z wszelką domową i polityczną tyranią fałszu, będącej zawsze celem pańskiego życia, a która powinna się być stać i moim celem, gdyby mi do tego nie zabrakło siły i talentu — w nieprzyjaźni tej krzepmy się wzajemnie, żyjmy i umierajmy.

Niech towarzyszy Panu szczęście!

Oddany panu

PERCY B. SHELLEY.

Rzym 22 maja 1819.

PRZEDMOWA.

Podczas podróży mojej po Włoszech doręczono mi rękopis, skopiowany w pałacu Cezara w Rzymie, a zawierający szczegółowe dzieje okropności, zakończonych upadkiem jednej z najszlachetniejszych i najbogatszych rodzin tego miasta, za pontyfikatu papieża Klemensa VIII w r. 1599. Mianowicie starzec, który życie spędzał na rozpuście i występkach, nabrał ostatecznie niepomowanej nienawiści do swoich dzieci. Nienawiść ta wyrodziła się w kazirodczą namiętność ku własnej córce, obciążoną wszelką możliwą srogością i gwałtem. Po wyczerpaniu wszelkich prób, aby uchronić się od tej, według jej mniemania, ciało i duszę na wieki hańbiącej plamy, córka ta powzięła ostatecznie razem z matką i bratem plan zamordowania wspólnego tyrana. Młoda dziewczyna, pchana do tego straszliwego czynu impulsem, odbierającym mu jego okropność, była, jak dowiedziono, przełagodną i miłą istotą; stworzona, aby ją uwielbiano i podziwiano, została dzięki nieugiętym okolicznościom i opinii wyrzuconą poza obręb swej natury. Czyn rychło odkryto i mimo próśb, zanoszonych do Papieża przez najznakomitsze osobistości Rzymu, ukarano go śmiercią. W ciągu

swojego życia umiał starzec ów kilkakrotnie ułagodzić gniew papieża z powodu najokropniejszych i z naturą jaknajbardziej przeciwnych występków kosztem 100.000 koron; dlatego też śmierci jego ofiar niepodobna chyba przypisywać umiłowaniu sprawiedliwości. Między innymi powodami tego surowego wymiaru papież odczuwał prawdopodobnie, że zabicie hrabiego Cenci oznacza dla skarbu papieskiego zamknięcie pewnego i bogatego źródła dochodów*). Historia tego rodzaju, opowiedziana w ten sposób, że czytelnik widzi wszystkie uczucia osób działających, ich nadzieje i obawy, ich ufność i niedowierzanie, ich przeróżne interesy, powikłane z sobą i oddziałujące wzajemnie namiętności i opinie, byłaby światłem, rozjaśniającem najgłębsze, najtajniejsze zakątki serca ludzkiego.

Przybywszy do Rzymu, przekonałem się, że historia Cencich, opowiadana w towarzystwie włoskiem, jaknajgłębszy, najsilniejszy wzbudzała interes i że współudział słuchaczy zmieniał się zawsze w romantyczną sympatyę dla krzywd i w namiętne uniewinnienie strasznego czynu tych, których kości od dwóch wieków leżą pomieszane z prochem. Wszystkie warstwy ludności znają ogólne rysy tych dziejów i poddają się magicznemu niejako działaniu ich na serca ludzkie.

Posiadałem kopię portretu Beatryczy, malowanego przez Guida, znajdującego się w Pałacu Colonnów, a służący mój rozpoznał natychmiast w malowidle tem „La Cenci“.

*) Dawniej rząd papieski stosował jaknajściślejsze środki, aby zapobiedz ogłaszaniu faktów, tak jawnie wykazujących jego słabość i zepsucie, tak, że do niedawnego jeszcze czasu dostanie się do rękopisów połączone było z pewnemi trudnościami.

Narodowy i powszechny ten interes, który dzieje te wzbu-
dzają wśród wszystkich warstw ludności wielkiego miasta, gdzie
wyobrażenia zawsze jest czynną i żywą, zwrócił uwagę moją prze-
dewszystkiem na to, że może stanowić przedmiot opracowania
dramatycznego. I w rzeczywistości jest to tragedia, która dzięki
temu, że może w wysokim stopniu podniecać i podtrzymywać współ-
czucie, zyskiwała zawsze poklask i powodzenie.

Według mojego wyobrażenia, nie było tu nic już innego do
roboty, jak tylko w taki ją dla moich ziomków ubrać język i taką
akcyę, któraby jak najżywiej umiała przemówić do serca. Naj-
głębsze i najwspanialsze kompozycje tragiczne, Król Lir, i dwa
dramaty, zawierające dzieje Króla Eedypa, opierały się na poda-
niach, znajdujących u ludu wiarę i współczucie, nim jeszcze Szek-
spir i Sofokles uprzystępnili je sympatyj wszystkim następnych
pokoleń ludzkich.

Historya Cencich jest zaprawdę przestraszliwa i przepotworna:
pokazanie jej na scenie w całej jej nagości byłoby nie do zniesie-
nia. Ktokolwiek pragnie przedmiot ten opracować, musi to uczy-
nić w ten sposób, ażeby podniecić okropności idealne, a obniżyć
rzeczywiste, tak, aby prawda, zawarta w tych burzliwych namię-
tnościach i strachach, złagodziła ból rozważania zepsucia ich źró-
dła, moralnego rozkładu. Nie należy też czynić usiłowań, aby
z opracowaniem tego przedmiotu łączyć tak zwany cel moralny.
Najwyższy cel moralny, zawarty w najwyższych rodzajach dra-
matu, polega na tem, ażeby przez wywołanie sympatyj i antypa-
tyj dopomódz człowiekowi do poznania samego siebie; w miarę
bowiem tego poznawania siebie staje się człowiek rozumnym, spra-
wiedliwym, prawym, toleranckim i łagodnym. Dogmaty, być może,

oddziałują silniej; ale dramat nie jest po to, aby wzmacniać ich siłę. Niewątpliwie, czyn jednego nie może zniesławiać drugiego; a najwłaściwszą odpłatą za krzywdy najdotkliwsze będzie zawsze łagodność i przebaczenie oraz usiłowanie, aby miłością i spokojem odwieść krzywdzącego od jego posępnych namiętności. Zemsta, odwzajemnianie się i żądza ukarania szkodliwymi są błędami. Gdyby Beatrycze myślała w ten sposób, byłaby zapewne rozumniejszą i lepszą, ale nie byłaby charakterem tragicznym. Tych kilka osób, które byłyby interesowane w tego rodzaju przedstawieniu rzeczy, nie wzbudziłyby należytego interesu dramatycznego, ponieważ nie znalazłyby współczucia w otaczających je widzach. Niespokojna i anatomizująca kazuistyka, z jaką ludzie usiłują uniewinnić Beatryczę, czując mimo to, że potrzebuje uniewinnienia; zabobonny przestрах, z jakim patrzą na jej krzywdy i jej zemstę — oto w czym się kryje dramatyczny charakter jej cierpień i jej czynu.

Staralem się przedstawić charaktery, jakimi prawdopodobnie były, usiłując przytem uniknąć błędu, aby nie działały według moich wyobrażeń o tem, co złe a co dobre, o tem co jest prawdą, a co fałszem; w ten sposób bowiem zmieniłbym, pod cienką powłoką, nazwiska i osoby wieku XVI w zimne ucieleśnienia mego własnego wnętrza. Przedstawiłem ich jako katolików, i to katolików głęboko religijnych.

Pojęciom protestanckim ta ciągła i głęboka świadomość wzajemnych stosunków pomiędzy Bogiem, a ludźmi, przenikająca dzieje Cencich, wyda się może czemś nienaturalnem. Nie rozumieją one przedewszystkiem związku pomiędzy silnem przekonaniem o prawdziwości panującej religii, a zimnem, uporczywem trwaniem w najstraszliwszych zbrodniach. We Włoszech jednak nie jest religia,

jak w krajach protestanckich, płaszczem, który się ubiera w pewne tylko dni; nie jest paszportem, który noszą przy sobie i pokazują zawsze ludzie, niechcąc narażać się na sekaturę; nie jest wreszcie ponurą i gorącą żądzą wnikania w niezbadane tajemnice naszego bytu, wprowadzając jej posiadaczy w lęk i przerażenie z powodu mroków przepaści, nad którą ich sprowadziła. W duszy katolika włoskiego religia współistnieje, że tak powiem, razem z wiarą w to, o czem wszyscy ludzie najpewniejsze mają wiadomości. Wpleciona ona jest w przędzę całej jego istoty. Jest adoracją, wiarą, poddaniem się, pokutą, ślepym podziwem — ale nie żadną regułą postępowania moralnego. Nie posiada niezbędnego związku z żadną cnotą. Najohydniejszy zbrodniarz może być bardzo religijnym i nie obrażając w niczem istniejącej wiary, może powiedzieć sobie, że jest nim na prawdę. Religia przenika całą budowę społeczeństwa i stosownie do ducha, który ją ogarnia, jest namiętnością, przekonaniem, uniewinnianiem, pociechą, lecz nigdy hamulcem pożądań.

Sam Cenci pobudował w dziedzińcu swego pałacu kaplicę na cześć św. Tomasza i polecił odprawiać w niej msze za spokój swej duszy. To też w pierwszej scenie IV-go aktu usiłuje Lukrecya, podawszy mężowi trunek usypiający, nakłonić go do pójścia do spowiedzi, uważanej przez katolików za niezbędny środek do zbawienia duszy, i od zamiaru swego odstępkuje dopiero wówczas, gdy widzi, że trwanie przy tym zamiarze może Beatrycę na nowe wystawić udręczenia.

Pisząc sztukę tę, starałem się z wielką troskliwością usunąć wszystko to, co zwykle nazywamy poetycznością, i mniemam, że czytelnik nie znajdzie tu chyba żadnego oderwanego porównania

lub poszczególnego, luźnie związanego poetyckiego obrazu, opisu, chyba żeby ktoś zechciał za coś podobnego uważać opis przepaści w ustach Beatryczy, gdzie ma być zamordowany ojciec*).

W dziele dramatycznym wyobraźnia i namiętność powinny się przenikać wzajemnie, pierwsza bowiem ma służyć jedynie do rozwoju i uwydatnienia drugiej. Wyobraźnia jest jako Bóg nieśmiertelny, który przybiera ciało celem odkupienia namiętności ludzkich. W ten sposób najbardziej oderwane i najpowszedniejsze obrazy mogą z jednakim skutkiem nadawać się do celów dramatycznych, jeżeli ich użyjemy do uzmysłowienia silnych uczuć, które, narzucając na wszystko cień wielkości, podnoszą to, co niskie, a uprzyśtępniają naszej świadomości rzeczy wzniosłe. Pod innym względem pisałem mniej troskliwie, to znaczy bez zbyt oględnego, zbyt uczonego dobierania wyrazów.

Na tym punkcie zgadzam się zupełnie z krytyką nowożytną, dowodzącą, że chcąc poruszyć wnętrza ludzi, powszednim winniśmy posługiwać się językiem, i że studyowanie naszych wielkich poprzedników, starożytnych poetów angielskich, powinno być dla nas bodźcem, iżbyśmy się stali dla naszych czasów tem, czem oni byli dla swoich. Musi to być jednak rzeczywisty ludzki język ogółu, a nie pewnej klasy, do której przypadkowo poeta należy.

Tyle o moich usiłowaniach; nie potrzeba mnie zapewniać, że skutek jest czemś zupełnie innem, zwłaszcza u tego, który od niedawna dopiero zajął się studyowaniem literatury dramatycznej.

*) Jedna z idei tej mowy zrodziła się pod wpływem przewzniosłego ustępu w „El Purgatorio de San Patricio“ u Kalderona; jedyny plagiat, którego się w całym utworze dopuściłem świadomie.

W Rzymie starałem się poznać pamiątki tego zdarzenia, o ile dla cudzoziemca są przystępne. Portret Beatryczy w pałacu Colonnów jest dziełem sztuki, godnem podziwu; malował ją Guido Reni, gdy była w więzieniu. Malowidło to jest atoli najbardziej interesującym jako wierne odzwierciedlenie najmilszego tworu natury. Jakgdyby blade rozlało się tchnienie na jej obliczu; wydaje się, jakgdyby była smutną i przygnębioną, lecz rozpacz, wyrażoną na jej twarzy, rozjaśnia cierpliwość i łagodność. Głowa jej owinięta białą draperyą, zpod której wypływają złote włosy, opadające na szyję. Kształty jej twarzy są nadzwyczaj delikatne; brwi wyraźne i łukowate; usta mają nieustanny wyraz wyobraźni i uczucia, których nie przytłumiły cierpienia, — zdaje się, jak gdyby sama śmierć zniweczyć ich nie mogła. Czoło jej wysokie i jasne; oczy, które miały być nadzwyczaj żywe, są nabrzmiałe od łez i bez blasku, ale przedziwnie miłe i pogodne. Z całego oblicza przemawia godność i prostota, która w związku z wdziękiem i głęboką boleścią nadzwyczaj przejmujące wywiera wrażenie. Beatrycze Cenci należała, zdaje się, do tych rzadkich osobistości, w których, bez wzajemnego zwalczania się, mieszkają obok siebie energia i łagodność. Wnętrze jej było proste i głębokie. Zbrodnie i cierpienia, w których czynny brała udział, są jako maska i płaszcz, dane jej przez przypadek z chwilą, gdy weszła na deski tego świata.

Pałac Cencich wielkich jest rozmiarów; a jakkolwiek po części zmodernizowany, posiada jednak piętno ogromnego i posępnego pomnika architektury feodalnej, znajdującego się nieomal w tym samym stanie, jak za czasów, kiedy rozgrywały się w nim rzeczy, będące podłożem niniejszej tragedyi. Pałac ten leży w małym, zaniedbanym

zakątku Rzymu, obok dzielnicy żydowskiej, a z górnych jego okien widać potężne ruiny góry palatyńskiej, na pół ukryte w gęstych konarach drzew. W jednej części tego pałacu znajduje się dziedzi-
niec (zapewne ten, w którym Cenci wznosił kaplicę św. Toma-
sza), oparty na granitowych kolumnach, ozdobiony starożytnymi
przepięknej roboty freskami, według obyczaju starowłoskiego zbu-
dowany z piętrzących się balkonów, wykutych w kamieniu.

Uwagę moją zwróciła przede wszystkim jedna z bram, złożona
z olbrzymich bloków kamiennych: z niej to prowadzi wysoki po-
nury ganek do komnat podziemnych.

Co do zamku Petrelli nie mogłem żadnych innych zasięgnąć
wiadomości ponad te, które znajdują się w rękopisie.



DRAMATIS PERSONAE:

HRABIA FRANCESCO CENCI.

GIACOMO
BERNARDO } jego synowie.

KARDYNAŁ CAMILLO.

ORSINO, prałat.

SAVELLA, legat papieski.

OLIMPIO
MARZIO } bandyci.

ANDREA, sługa hrabiego.

SZLACHTA, SĘDZIOWIE, STRAŻ, SŁUDZY.

LUCREZIA, żona hrabiego, macocha jego dzieci.

BEATRICE, jego córka.

Rzecz dzieje się w przeważnej części w Rzymie;
od czwartego aktu w Petrelli, zamku w Apeninach apulijskich.

Czas: za pontyfikatu Klemensa VIII.

THE HISTORY OF THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

BY SAMUEL JOHNSON

IN TEN VOLUMES

VOLUME THE FIRST

CHAP. I.

THE DEATH OF KING CHARLES THE FIRST

IN THE YEAR 1649

BY SAMUEL JOHNSON

WITH A PREFACE

BY THE AUTHOR

THE HISTORY OF THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

BY SAMUEL JOHNSON

IN TEN VOLUMES

VOLUME THE FIRST

CHAP. I.

THE DEATH OF KING CHARLES THE FIRST

IN THE YEAR 1649

BY SAMUEL JOHNSON

WITH A PREFACE

BY THE AUTHOR

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Pokój w pałacu CENCICH. Wchodzi hrabia CENCI i kardynał CAMILLO

CAMILLO. Mord ten wymazan z pamięci, jeżeli
Jesteście gotów Jego Świątobliwość
Obdarzyć włością — tą przy bramie Pincio.
Wszystkiego wpływu użyłem w konklawe,
By go w tej mierze przekonać: gdyż twierdził,
Że kupujecie swem złotem bezkarność
Wskrós niebezpieczną; że zbrodnie, jak wasza,
Raz pominięte i drugi, zaiste
Bogacą Kościół i mogą od piekieł
Wybawić duszę grzesznika, gdy czasu
Udzielili mu się do skruchy; lecz sława
I korzyść Świętej Stolicy nie ścierpią,
By ją dzień za dniem zmieniać w targowisko

Takiej ohydy, którą wam załedwie
Taić przed ludzi oburzonym wzrokiem.

CENCI. Już to i trzecia z mych włości — niech idzie!

Niedawnom słyshał, że krewniak papieża
Kazał to miejsce zbadać architektom:
Pragnie zbudować willę wśród mych winnic,
Gdybym miał znowu iść w targi z wujaszkiem.
Ani nie myślał, że ze mnie tak zadrwi...
Zaden już świadek — żadne odtąd światło
Nie ujrzy tego, co chciał pies ów zdradzić,
Któremu piasek zatkał dzisiaj gardło.
Czyn, który widział, nie większą miał wartość,
Niż jego żywot nikczemny!... do kata!
Mnie tu wybawiać od piekieł!... Ich dusze
Niech czart tak zbawia od nieba! Tak, Klemens
Będzie się modlił z miłymi krewniakami,
By mi apostoł Piotr i wszyscy święci
Na długie czasy zachować raczyli
Siłę, bogactwo i dumę, ochotę
I tęgość życia, abym spełniał czyny,
Które im zyski przynoszą. Lecz u mnie
Zostanie jeszcze nie jedno, — do tego
Nie będą wiele rościć praw!

CAMILLO.

O Cenci!

Tyle, by zacie żyć wam łatwo było,
Byście się mogli pogodzić z swem sercem,

Ze swoim Bogiem i z skrzywdzonym światem.
O jak ohydnie waszym śnieżnym włosom
Z krwawymi czyny rozwiązej rozpusty!
Dzieci by dzisiaj siadły przy was kołem,
Lecz się boicie wyczytać w ich oczach
Wstydu i żalu, wypisanych przez was.
Gdzie wasza żona? gdzie córka jest piękna?
Mniemam, że wzrok jej, co wszystko zamienia
W rozkosz i szczęście, powinien uśmierzyć
Tego szatana w waszym sercu. Czemu
Przed towarzystwem zamyka się wszelkiem,
Prócz przed swym strasznym, niepojętym żalem?
Mówcież, o hrabio! jać wam dobrze życzę.
Blizki wam byłem w posępnej młodości,
Śledząc jej dzikie, rozhułkane fale,
Jak meteory śledzimy — lecz młodość
Tak nie prysnęła; ja w mężu zuchwalstwo
I zatwardziałość widziałem i dzisiaj
Trzeba mi patrzeć na wiek wasz pohańbion,
Gniecion tysiącem niezgładzonych zbrodni.
Lecz zawszem wierzył w poprawę, w tej wierze
Wszak wam trzykrotnie ocaliłem życie.

CENCI. Przez to zawdzięcza wam Aldobrandino
Włość mą przy Pincio. Owoż, kardynale,
Jedna rzecz, proszę, pomnijcie na przyszłość,
A pogadamy ze sobą swobodniej,
Człęk, co wam mówił, wiecie, o mej żonie

I mojej córce, w dom mój często wchodził.
Nazajutrz jego już się pyta żona
I córka, czym go niewidział, jam śmiał się: —
Sądzę, że już go nie ujrzały więcej.

CAMILLO. Nikczemny człeku, strzeż się!

CENCI.

Was! — to darmo!

Winniśmy znać się nieco lepiej. Prawda?
Moje skłonności, które zbrodnią zowią,
Patrząc, jak służyć swym żądom i prawa
Bronię mojego podstępem lub siłą,
Nazbyt są jawne, abym miał się lękać,
Gdy o nich przy was rozprawiam. Wszak z wami
Mówię jak z własnem sumieniem i sercem;
Przez was, twierdzicie, jam się wpoł poprawił,
Dlatego próżność dziś wam milczeć każe,
Jeśli nie bojaźń; lub obie — nie wątpię.
Wszyscy się w chuciach lubują zmysłowych,
Wszyscy się cieszą z swej zemsty, w największy
Zachwyt zaś ludzi wprawiają tortury,
Których nie znoszą sami: tak cierpieniem
Bliźnich schlebiają swemu spokojowi.
Ale nie w tem jest moja radość. Lubię
Widok agonii, uczucie rozkoszy,
Gdy tamta innych, ta moim udziałem.
Nie mam wyrzutów, mało mam bojaźni,
Które są, mniemam, hamulcem dla innych.

Ta skłonność we mnie tak się dzisiaj wzmogła,
Że gdy zdrażliwa nakreśli fantazyja
Obraz swych życzeń — a tylko to tworzy,
Na coby sarknąć mogli wam podobni —,
Plan ten mą strawą powszednią: odbiera
Spokój, dopóki go nie spełnię.

CAMILLO.

Czyś ty

Nie nieszczęśliwy?

CENCL.

Nieszczęśliwy? czemu?..

Nie, jestem tylko, jak te wasze klechy
Zwią, zatwardziały; co za bezwstydnicy,
By tak zohydzać przysmaki człowieka!
Prawda, szczęśliwszym był, niż dziś, gdy siły
Starczyło jarej, by spełniać, com zechciał;
Kiedy od zemsty była słodsza rozkosz.
Dziś — cóż tu gadać! — starzejem się wszyscy.
Gdybym tu jeszcze nie miał spełnić czynu,
Któryby grozą swą zaostrzył tępszy,
Niż mój, apetyt, prawdziwie, ja nie wiem,
Cobym tu zrobił! niczegom w młodości
Nie czuł innego, prócz miodu rozkoszy.
Lecz — na świętego Tomasza! — gdyś wyrósł
W męża, zbyt trudno jest ci żyć zwyczajem
Pszczoł — i ot, widzisz, jam się też przesycił!
Odtąd, nim wroga zabiłem, nim jego
Jęk usłyszałem i jęk jego dzieci,

Obce mi były rozkosze tej ziemi,
Co mnie dziś mało zachwyca. Przyjemniej
Patrzyć mi w boleść, którą strach źle kryje,
W suchą źrenicę, w zbladłe, drżące wargi,
Które zdradzają, że duch tam we wnętrzu
Roni łzy krwawsze, niż pot Chrystusowy.
Rzadko ja ciało zabijam, gdyż ono
Duszę, jak w kaźni, więzi w mojej mocy,
Abym ją karmił oddechem przestachu
Wśród cogodzinnych męczarni.

CAMILLO.

Piekielny

Duch najstrasliwszy, w obłędzie swych zbrodni,
Do swego serca nie przemawiał nigdy
Tak, jak wy teraz przemawiacie do mnie.
Dziękuję Bogu, że wierzyć nie mogę,
(Wchodzi ANDREA).

ANDREA. Ze Salamanki, Panie, jakiś szlachcic
Chce mówić z wami.

CENCI.

Powiedz, by zaczekał

W wielkim salonie.

(ANDREA wychodzi).

CAMILLO.

Zegnaj! Będę błagał

Wszchemogącego, by dla bluźnierstw twoich
Duch jego całkiem nie opuścił ciebie.

(CAMILLO wychodzi).

CENCI. Trzecia z mych włości!... Trzeba zamknąć kiesę,
Inaczej złoto, ten miecz w ręku starca,
Wypadnie z bladej mi dłoni. Wszak wczoraj
Przysłał mi papież rozkaz, bym poczwórne
Wyplacał pensye mym wyrodnym synom.
Do Salamanki wysłałem ich z Rzymu,
Myśląc, że jaki przypadek ich zmiecie,
Albo, że tam ich zagłodzę, gdy zechcę.
Błagam cię, Boże! Ześlij śmierć im rychłą!
Żonie z Bernardem nie będzie snąć gorzej
Nawet w mogile i w piekle. Beatryks —

(Oglądając się podejrzliwie wokoło).

Sądzę, że nikt mnie nie słucha pod drzwiami.
Cóż?... niechaj słucha!... Jednak milczeć lepiej,
Choć serce samo raduje się głośno.
O nie usłyszysz, ty nieme powietrze,
Co ja zamierzam! posadzko, po której
Do jej komory pospieszę, twe echo
Niech zdradzi kroki me dumne, gardzące
Niespodziankami, lecz niechaj nie zdradzi
Mego zamiaru. Hej! Andrea!

ANDREA. Panie!

CENCI. W swoim pokoju niech czeka Beatryks
Na mnie, wieczorem — nie, północą; sama.

SCENA II.

Ogród w pałacu CENCICH. Wchodzą BEATRICE i ORSINO, rozmawiając z sobą.

BEATRICE. Nie przekraczajcie tak prawdy, Orsino!

Czy pamiętacie, gdzieśmy tę rozmowę
Toczyli z sobą? Patrzajcie, to miejsce
Pod tym cyprysem. Dwa lata minęły,
Gdym w północ kwietnia, pośród pałatyńskich
Gruzów, oblanych miesiącem, przed wami
Mojego serca otworzyła tajnie.

ORSINO. Powiedzieliście, że mnie miłujecie.

BEATRICE. Jesteście księdzem, więc mi o miłości
Dzisiaj nie mówcie.

ORSINO. Wszakże od papieża
Mogę, gdy zechcę, otrzymać dyspensę...
Że jestem księdzem, sądzicie-ż, iż za mną,
Jak za zranioną myśliwiec zwierzyną,
Nie biegnie obraz wasz, czy śpię, czy czuwam?

BEATRICE. Jak wam mówiłam, milczcie o miłości.
Choćby wam dano dyspensę, ja nie mam...
I nie opuszczę tej siedziby nieszczęść,

Pokąd Bernardo i ta zacna pani,
Której zawdzięczam me życie i cnotę,
Będą znosili, co i ja uniosę.
Ach! wszystka miłość, którą czułam ongi
Ku wam, Orsino, zmieniła się w boleść.
Wyście nasz związek młodzieńczy stargali,
Przyjmując śluby, których z was już żaden
Nie zdejmie papież. I dziś ja was kocham
Miłością świętą — siostry lub anioła
I tylko zimną poprzysięgam wierność...
Może i dobrze, że się nie poślubim:
Chytrą wy macie i dwulicą duszę,
Która mnie rani. Ach ja nieszczęśliwa!
Dokąd się zwrócę? Wszak i wy dziś na mnie
Nie jak przyjaciel patrzycie; snać wiedząc,
Że tak was sądzę, fałszywym uśmiechem
Chcecie mi dowieść, że me podejrzenia
Wielce was skrzywdzą! Przebaczcie! Ma troska
Twardszą mnie czyni, niż jestem z natury.
Patrzcie, posępnych dźwigam ciężar myśli,
A te zwiastują — lecz cóż więcej mogą
One zwiastować nad to, co już znoszą!

ORSINO. Wszystko się zmieni. Prośba czy gotowa?

O Beatrice nadobna! Mój zapal

Dla waszych życzeń wy znacie; wierzajcie

Ze najgorętszych nie oszczędzę starań,

By waszej skargi papież chciał wysłuchać.

BEATRICE. Znam ja wasz zapał... biada!... wyście zimny!...
Wasze zabiegil.. Mówcież chociaż słowol...
Ach!... (siada). Mnie nieszczęsnej, opuszczonej, słabej
Z jedynym tak się waśnić przyjaciele!

(Do ORSINA).

Ojciec tej nocy świetną sprawia ucztę,
Orsino; dostał szczęśliwą nowinę
Ze Salamanki o moich tam braciach
I tym zewnętrznym pozorem miłości
Okrywa zawiść wewnętrzną. Nikczemna
To jest obłuda, gdyż wolałby święcić
Śmierć ich, o którą błagał na kolanach.
O wielki Boże! i ten moim ojcem!...
Lecz urządzone już wszystko wspaniale.
I cała Cencich będzie tu rodzina
I wszystka Rzymu znakomita szlachta.
Przytem rozkazał mnie i bladej matce,
By się przystroić w najpyszniejsze suknie.
Biedna kobiet! Szczęśliwszej stąd zmiany
W jego poępnym spodziewa się ducha;
Lecz ja — niczego. Przy stole wam wręczę
Prośbę; aż dotąd — żegnajcie.

ORSINO.

Zegnajcie.

(BEATRICE odchodzi).

Znam ja papieża; wiem, że mnie nie zwolni
Z kapłańskich ślubów, nie zwalniając przytem

Z różnych dochodów. A więc, Beatrice,
Za tańszą cenę myślę posiłąć ciebie.
Nie będzie czytał jej wymownej prośby:
Mógłby ją oddać któremu z swych chudych
Szóstego rzędu krewniaków, jak niegdyś
Zrobił z jej siostrą, mnie zaś wstęp zagrozić.
W tem zaś, co cierpieć ma ze strony ojca,
Zbyt wiele, sądzę, mieści się przesady.
Starość jest zrzedną, chce iść własną drogą.
Gdy człek zabije wroga, albo sługę,
Gdy się upije winem i kobietą,
Wróci podrażnion do pustego domu,
By się posprzeczać ze żoną i dziećmi,
Już to tyranią zwie córka i matka.
Zadowolonym będę, gdy sumienia
Nic mi już więcej nad to nie obciąży,
Co jej zgotują plany mej miłości —
Nawiążę siatkę, z której mi nie umknie.
Jednak mnie trwoży jej duch przenikliwy,
Jej wzrok poważny, co mi nerw za nerwem
Rozkłada swoim promieniem i wnętrze
Moje odsłania i sprawia, że wstydem
Pałą mnie myśli skryte! Niel to dziewczę
Osamotnione mnie się dzisiaj czepia
Jako ostatniej nadziei. — Tak, głupcem
Byłbym i tchórzem, większym od pantery,
Którą przeraża antylopy oko,
Gdyby mi uszła...

SCENA III.

Wspaniała sala w pałacu CENCICH. Wchodzą: CENCI, LUCREZIA, BEATRICE, ORSINO, CAMILLO, SZLACHTA.

CENCI

Witajcie, druhowie

I moi krewni; witajcie, księżęta,
Kardynałowie, podpory Kościoła,
Których obecność zaszczyca mą ucztę!
Za długo żyłem by pustelnik jaki
I od waszego zdala towarzystwa
Niejedno złe mi z ust wybiegło słowo;
Lecz mam nadzieję, że wy, przyjaciele,
Dzisiejszą ucztę podzieliwszy ze mną
I jej pobożną poznawszy przyczynę,
Jedno i drugie wychyliwszy zdrowie,
Chcecie uwierzyć, żem ze krwi i kości,
Tak, jak i inni; tylko grzeszny jestem ~
Toć od Adama my wszyscy grzeszymy ~
Lecz czuły jestem, łagodny, litośny.

PIERWSZY GOŚĆ. Zaprawdę, panie, zbyt się wydajecie
Wesołym, żywym, nazbyt towarzyskim,
Aby to robić, co wam świat zarzuca.

(Do swego sąsiada):

Nigdy tak jawnej nie widział rozkoszy
W oku.

DRUGI GOSĆ. Wypadek nader pożądaný,
Którego rozkosz chcemy wszyscy dzielić,
Przywiódł nas tutaj; opowiesz nam, hrabio!

CENCI. Tak jest, wypadek nader pożądaný,
Bo jeśli ojciec z ojcowskiego serca
Wznosi z tej ziemi do Ojca nas wszystkich
Modły ~ wieczorem, gdy do snu się kładzie,
Nocą, śniąc o tem, i rano, gdy wstaje ~
Błagalną prośbę, pragnienie, nadzieję,
Aby wypełnił to jedno żądanie
Dla synów jego, o które go błaga,
Naraz, najdroższe przechodząc nadzieje,
Wszystko się ziszcza ~ czyż nie ma się cieszyć,
Wołać przyjaciół i krewnych na ucztę,
By ich miłością okrasić swą radość ~ ?
Zróbcie mi zaszczyt ten, bo ~ ja tym ojcem!

BEATRICE (do Lukrecyi).

O wielki Boże! zgroza, co za straszne
Musiało braci nawiedzić nieszczęście!

LUCREZIA. Nie bój się, dziecię, mówi zbyt otwarcie.

BEATRICE. Ach! krew mi krzepnie! trwoży mnie ten uśmiech,
Co mu się wiję naokoło oczu
I czoło marszczy aż po same włosy.

CENCI. Oto tu macie list ze Salamanki.

Przeczytaj matce, Beatrice! Boże,
Dzięki cił w jednej ziściłeś mi nocy
Niedoścignionym wyrokiem, com pragnał.
Me nieposłuszne, buntownicze syny
Nie żyją! — Tak, tak, nie żyją! — Dlaczego
Ta nagła zmiana na twarzach? Wy pewnie
Mnie nie słyszycie? Mówię wam, nie żyją!
Nie potrzebują ni strawy, ni sukni;
Świece, co w czarnej świeciły im drodze,
To koszt ostatni. Mniemam, że nie zechce
Papież, bym o nich starał się w ich trumnach.
Cieszcie się ze mną — serce mi się śmieje!

(LUCREZIA pada wpół zemdląca. BEATRICE ją podnosi)

BEATRICE. To jest nieprawda! Droga pani; prawdą
Gdyby to było — jeszcze Bóg jest w niebie —,
Nie chęłpiłby się z takiego podarku.
Potworny człękul! Ty wiesz, że to fałszem!

CENCI. Nie, jak Bóg miły. Boga tu dziś wzywam,
Ażeby świadczył, że prawdę wam mówię.
Jego opatrność przejawia się nawet
W rodzaju śmierci. Posłuchajcie: Rokko
Kłęczał był na mszy z szesnastu innymi,
W tem strop się wali, gniotąc go na miazgę,
Inni zaś uszli cało. Krystofana
Tej samej chwili i tej samej nocy

Z pomyłki jakiś zabija zazdrośnik,
Którego luba leżała z rywalem...
Snać niebo o mnie szczególnie troskliwie.
Proszę was, drodzy, jeśli mnie kochacie,
Podkreślcie dzień ten w waszym kalendarzu:
Był to dwudziesty i siódmy dzień grudnia;
Czytajcie list ten, jeśli nie wierzycie.

(Zgromadzeni się niepokoją, kilku gości wstaje).

PIERWSZY GOŚĆ. Strasznie! odchodzę!

DRUGI GOŚĆ.

I ja!

TRZECI GOŚĆ.

Nie, zostańcie.

Sądzę, że żart to; chociaż to naprawdę
Trochę za bardzo uroczyste żarty.
Syn jego, mniemam, zaślubił infantkę
Lub minę złota odkrył w El-Dorado.
Okraścić chciał nam nowinę. Zostańcie!
Zostańcie! żarty widzę w tym uśmiechu.

CENCI (napełniwszy kielich winem i podnosząc go).

Szlachetny trunku! twój blask purpurowy
Drga tak i kipię w złocistym kielichu
Przy ogniu świec tych, jak mój duch we wnętrzu,
Słyszając o śmierci mych przeklętych synów!
Gdyby mi wierzyć, żeś ty krwią ich własną,
Jak przenajświętszy piłbym cię sakrament,

A piłbym w ręce piekielnego władcy,
Co, jeśli ojca przekleństwo, jak mówią,
Na żywych skrzydłach ściga dusze dzieci
I od niebieskich odrywa je tronów,
Własny swój tryumf widzi w mym tryumfie.
Lecz tyś zbyt cennym; kroplami rozkoszy
Jam się odurzył i dzisiejszej nocy
Innego wina nie piję. Andrea!
Podaj ten puchar wokoło.

JEDEN Z GOŚCI (podnosząc się). Nikczemny!

Czyż żaden z tego szlachetnego grona
Nie opamięta zbrodniarza?

CAMILLO.

Na Bogal

Każę się rozejść gościom! Oszalałeś!
Zło na cię spadnie.

DRUGI GOŚĆ. Schwycie go, uśmiercie!

PIERWSZY GOŚĆ. Schwycę!

DRUGI GOŚĆ.

Ja także!

CENCI (obracając się do tych, którzy mu grożą). Kto się tutaj rusza?

Kto mówi? Nic to! cieszcie się i mojej

Strzeżcie się zemsty! Albowiem ma zemsta

To ukaz króla tajemny: zabija,
A nikt się pytać nie śmie o zabójcę.

(Przerywa się uczta, kilku gości odchodzi.)

BEATRICE. Szlachetni goście! proszę was, nie chodźcie.

Iżę tyranii i zawistnej zbrodni
Bronią ojcowskie, posiwiałe włosy, —
Ze ten, co w sobie nasze życie chował,
Dziś nas katuje i cieszy się z tego; —
Ze my, umarłe, opuszczone dzisiaj,
Z krwi jego własnej — my, dzieci, i żona,
Które on kochać i bronić powinien —
Więc nam nie znaleźć żadnego przytułku
Na tym bezbrzeżnym, bezlitośnym świecie?
Ach! co za krzywda, pomnijcie, musiała
Zatrzeć wprzód miłość, a potem szacunek
W dziecięcym sercu, że dziś już przemogło
I wstyd i bojaźń! Ach! wielem znosiła,
Całując rękę, co gniotła ku ziemi,
W policzku widząc upomnienie ojca.
Uniewinniałam, wątpiałam, a kiedy
I wątpliwości nie stało, miłością
I cierpliwością i łzami złagodzić
Chciałam gniew jego. Gdy i to napróżno,
Jam wśród bezsennych klękiwała nocy,
Wznosząc do Boga, tego ojca wszystkich,
Gorące modły; gdy i On nie słuchał,
Znosiłam cicho — aż was tu spotykam,

Książęta, krewni, przy tej smutnej uczcie
Za śmierć mych braci. Dwóch jeszcze zostało,
Została żona i ja — nie zbawicie
Wy nas, to znowu złączy was biesiada,
Jaką ojcowie nad grobem swych dzieci
Sprawiają! Książę Colonna, tyś naszym
Blizkim jest krewnym, a ty, kardynale,
Papieżkim jesteś podkomorzym, ty zaś
Najwyższym sędzią, Camillo! zabierzcie —
Precz nas zabierzcie!

(CENCI zajęty był rozmową z kardynałem CAMILLO podczas pierwszej części przemówienia BEATRYCZY; słyszy ostatnie wyrazy i podchodzi naprzód).

CENCI. Sądzę, moi drodzy,
Że pewno lepiej dbać o własne córki —
Może i gardła —, niż zważać na słowa
Szalonej dziewczki.

BEATRICE (nie zważając na słowa ojca). Nikt się nie odważy
Spojrzeć tu na mnie? Nikt mi nie odpowie?
Czy jeden tyran owładnął sercami
Tylu szlachetnych i rozważnych mężów?
Lub może błagam w formie, niezupełnie
Zgodnej z przepisem, i prośba daremną?
O Boże! czemuż nie umarłam z braćmi?
Czemuż mi kwiaty tej ledwie minionej
Wiosny nie więdną na grobie i ojciec
Przecż nie obchodzi stypy po nas wszystkich!

CAMILLO. Gorzkie życzenia w tak młodej i pięknej!
Nam nic nie zdołać?

COLONNA. Nic a nic, ja widzę.
Zbyt krwawym byłby dla nas Cenci wrogiem.
Przecież pomogę każdemu.

KARDYNAŁ. Ja także.

CENCI. Precz do komory, bezwstydną dziewczynol

BEATRICE. Precz ty, zbrodniarzu! Tak, ukryj się, ukryj,
By cię już żadne nie ujrzało oko!
Ty posłuszeństwa i czci naszej żądasz,
By nas katować? Ojcze, nie sądź nigdy,
Ze choćbyś zdołał owładnąć tem gronem,
Zło zła nie zrodzi. — Nie patrz tak ponuro!
Ukryj się, ukryj, by cię z gniazda twego
Nie wypłoszyły karzącą żrenicą
Duchy mych braci. Ukryj twarz przed każdym
Zyjącym okiem i drżij, skoro ludzkie
Posłyszysz kroki. Ciemnego poszukaj
I spokojnego zakątka; tam siwą
Przed obrażonym zegnij głowę Bogiem,
A my uklękniem wokoło, błagając,
By się zlitował nad nami i tobą.

CENCI. Zał mi jest, drodzy, że ta wściekła dziewczka

Tak nam wesołą zaprawiła ucztę.
Bywajcie zdrowi! niechciałbym już dłużej
Widzieć w was świadków domowego swaru.
Za innym razem —

(Odchodzą wszyscy, prócz HRABIEGO i BEATRYCZY.

W mózgu mi się kręci —

(Do ANDREA) Podaj mi wina.

(Do BEATRYCZY) Ty błyszcząca żmijol

Ty bestyol piękna, a taka straszliwa!

O znam ja czary, co cię wnet uśmierzą —

Lecz teraz precz mi z oblicza!

(BEATRICE odchodzi).

Andrea!

Podaj mi kielich greckiego. Mówiłem,

Że pić ten wieczór nie będę, lecz muszę.

Rzecz dziwna, czuję, że mnie duch opuszcza,

Gdy wspomnę o tem, co myślę wypełnić. (Pijąc wino)

Bądź ty ognistym zapałem młodzieńca

W tych moich żyłach; bądź odwagą męża

I starca zimną, wytartą podłością!

Gdybyś ty było tą krwią moich dzieci,

Której tak pragnę. Czar ten dobrze działa...

To stać się musi! stanie się! przysięgam!



AKT DRUGI.

SCENA I.

Pokój w pałacu CENCICH. — Wchodzą LUCREZIA i BERNARDO.

LUCREZIA. Nie płacz, mój chłopcze, wszak on mnie bił tylko,
Com cięższą zniosła już krzywdę. Prawdziwie,
Zabiwszy, większą wyświadczyłby łaskę.
Wszehmocny Boże! zechciej spojrzeć na nas!
Innych nie mamy przyjaciół, prócz Ciebie!
Nie płacz! Choć kocham cię jak swego syna,
Nie jestem prawą twą matką.

BERNARDO. Czems więcej,
 Niżeli matka rodzonemu dziecku,
 Byłaś ty dla mnie! Gdyby on mym ojcem
 Nie był, czyż sądzisz, żebym płakał dzisiaj?

LUCREZIA. A cóż innego byś czynił, mój biedny?
(Wchodzi BEATRICE).

BEATRICE (z niepokojem). Tą on szedł drogą? widziałeś go, bracie?

Ach, nie! na schodach słyhać jego kroki —

Coraz jest bliżej, już chwyta za klamkę.

Matko! jeżeliś tobie kiedy była

Posłusznem dzieckiem, ratuj mnie! o Boże!

Wszak twym obrazem na ziemi jest ojciec,

Czyż mnie naprawdę opuszczasz? Nadchodzi —

Już drzwi otwiera — już widzę twarz jego,

Gniew ma dla innych, do mnie się uśmiecha,

Jak przeszłej nocy uczynił po uczcie...

(Wchodzi SŁUGA).

Wszchemocny Boże! jakiś ty litośny!

To tylko sługa Orsina!... Ty — poco?

SŁUGA. Pan mój wam każe powiedzieć, że prośbę

Odesłał ojciec święty nieotwartą — (Podaje papier).

Przytem się pyta, kiedyby swobodnie

Mógł was odwiedzić.

LUCREZIA.

Na Zdrowaś Marya.

(SŁUGA odchodzi).

Tak, córko, znikła ostatnia nadzieja.

Biada mi! biada! Ty bledniesz! Tyś drżąca!

W strasznej się, córko, pogrążasz zadumie,

Jakgdyby jedna myśl przygniotła cię;

Lodowo błyszczą twe oczy! O, dziecko,

Czyś obłąkana? jeśli nie, to przemów.

BEATRICE. Nie obłąkanam, widzisz — mówię z tobą.

LUCREZIA. Wspomniałaś o czemś, co ojciec uczynił

Po owej uczcie okropnej. Czyż mogło
Być co gorszego nad to, kiedy śmiał się
I wołał: Moi synowie nie żyją!?

I kiedy każdy patrzył w twarz sąsiada,
Czy tak jest bladą, jak twarz jego własna?
Gdy pierwsze słowo wymówił, uczułam,
Jak krew do serca mi bije, jak wszystkich
Zmysł mnie opuszcza. Gdy przeszło, znękana
I przerażona widziałam cię obok,
Mężnem karzącą słowem jego bezwstyd —
I drżał ten szatan, co się w nim zagnieździł.
Tak więc aż dotąd stałaś między nami,
A między ojca zapalonym gniewem,
Jak opiekuńcza opatrność. Ucieczką
I bronią dla nas był twój duch żelazny;
Cóż dziś go zgięło? Cóż dzisiaj ci dało
To lodowate, bolesne spojrzenie?
I skąd dziś tobie ta niezwykła bojaźń?

BEATRICE. Co mówisz, matko? Ja właśnie myślałam,

Czyby nie lepiej zaprzestać już walki.
Byli mężowie, jak ojciec, straszliwi,
Krwawi, lecz nigdy... zanim ma być gorzej,
Rozsądniej umrzeć, w śmierci tylko koniec.

LUCREZIA. O, nie tak, dziecko. Opowiedz mi tylko,

Co ci uczynił lub co mówił ojciec.

Wszakże nie został po nieszczęsnej uczcie
W twoim pokoju ni chwili. Opowiedz.

BERNARDO. O siostró, siostró, proszę cię, opowiedz.

BEATRICE (powoli — z wymuszonym spokojem).

Było to tylko słowo — jedno słowo,
Jedno spojrzenie, jeden uśmiech, matko. (Gwałtownie)
Nieraz mnie deptał, aż mi krew tryskała
Z wybladłej twarzy; kałużą nas poił
I mięso dawał cuchnące z bawołów
I jeść nam kazał albo umrzeć z głodu,
I myśmy jedli: I patrzeć nam kazał,
Jak w wątle ciało drogiego Bernarda
Wzierała rdza się ciężkiego łańcucha —
Nie rozpaczałam jednakże... Lecz teraz!...
Cóż chciałam mówić? (Przychodząc do siebie).

Ach, nic, nic nowego...

Wzburza mnie boleść, którą wszyscy znosim.
On mnie bił tylko i klął mnie, przechodząc:
Nie rzekł nic więcej, nie śmiał się inaczej
I nic nie zrobił nad to, co zwykł czynić —
I to mnie dzisiaj rozdrażnia. O biada!
Wszak zapominam swoich obowiązków.
Dla was powinnam zachować swe zmysły.

LUCREZIA. Tak, Beatrice! Odwagi, me dziewczę.

Prędzej mnie dzisiaj rozpaczać, niż innym;

Jam go kochała; dziś mi żyć z nim trzeba,
Aż Bóg łitośny weźmie mnie lub jego.
Ty sobie znajdziesz, jak twa siostra, męża
I patrzeć będziesz po latach z uśmiechem
Na dzieci wkoło twych kolan, a o mnie
I o tych ciosach straszliwych, gdy umrę,
Będziesz wspominać, jak o śnie minionym.

BEATRICE. Nie, droga pani! nie mów mi o mężu.

Któż mnie wychował, gdy matka umarła?
I któż mnie bronił? i to dziecko drogie?
Mieliśmy-ż innych przyjaciół, prócz ciebie,
W naszej młodości? Któż słowem, spojrzeniem
Łagodził ojca, gdy nas chciał zabijać?
I mnie opuszczać dziś ciebie? Niech raczej
Duch zmarłej matki oskarży mą duszę,
Niżeli rzucę tę, co dziś w jej miejscu
Dała mi więcej, niżli miłość matki.

BERNARDO. I ja to myślę, co siostra. Prawdziwie,

Nie rzuciłbym cię i wówczas w tej doli,
Gdyby mi papież kazał żyć w wesołem
Miejsku, jak innym w mym wieku, wśród zabaw,
O białym chlebie i w zdrowem powietrzu —
O, nie myśl nigdy, że cię rzucę, matko.

LUCREZIA. Drogie me dzieci!

Niespodziewanie wchodzi CENCI.

CENCI.

Co? Beatrice tutaj?

Chodź tu! O, nie kryj tej twarzy, jest piękną.
Spójrz! Tak, nocy wczorajszej ty śmiałaś
Z bezczelną na mnie patrzeć zuchwałością
I brwią ściągniętą i zmarszczonem czołem
Pytać się o me zamiary. Jam pragnął
Skryć, czego żądam od ciebie — daremnie.

BEATRICE (nawpół omdlała zwraca się ku drzwiom).

Rozstąp się, ziemiol o ukryj mnie, Boże!

CENCI. Niepewne wtedy płynęły mi słowa

Z ust i chwiejącym jam uciekał krokiem
Przed twem obliczem, jak ty dziś przed mojem.
Stój, ja ci każę! Od dzisiejszej chwili
Nie będziesz ty już zuchwałą żrenicą
I brwią wyniosłą i licem spokojnem
I temi wargi, co są, aby pieścić
Albo się gniewem rozpalać — nie będziesz,
Sądzę, oniemiać najniższego z ludzi;
Mnie najmniej... Teraz do swojej komory,
I ty, (do Bernarda) obrazie wstrętny twej przeklętej
Matki! to młeczne tve liczko przyprawia
Mnie o chorobę — tak go nienawidzę!

(Wychodzą BEATRICE i BERNARDO).

(Na stronie) Tyle już zaszło między nami — tyle,
Ze mnie dodaje męztwa, ją zaś w bojaźń
Wprawia. Rzecz straszna, dotykać się grozy,

Jaką ja w własnej wymyśliłem duszy:
Tak ludzie siedzą nad zdroju krawędzią
I drżą, dotknąwszy stopą zimnej wody —
Wejdziesz w nią, jak serce śmieje się z radości!

LUCREZIA. O mężu, proszę, przebac Beatryczy —
Wszak nie myślała nic złego.

CENCI. I ty nic?

Ani ten bękart, coś go z abecadłem
Uczyła ojcobójstwa? Ni Giacomo?
Ni dwaj synowie wyrodni, co na mnie
Taką ściągnęli nieprzyjaźń papieża,
A Bóg litośny zmiotł ich w jednej nocy?
Nic nie myśleli, niewinne jagnięta!
Może i wy się nie zmówili tutaj,
By mnie uwięzić jako obłąkańca
Lub oddać katu za zbrodnię jakowąś,
O której świadczyć pragniecie wy sami? —
Gdyby to nieszło, jakżeż sprawiedliwem
Byłoby nająć zabójców, lub naraz
Domieszać jadu w mój trunek wieczorny,
Albo zadusić, gdy mnie wino zmoże?
Że innych sędziów nie ma, oprócz Boga,
Że on mnie skazał, i że wy jedyni
Winniście spełnić na mnie te wyroki,
Które on w swoich zapisał niebiosach?
O, nie!... Czy wyście nie mówili tego?

LUCREZIA. O, tak mi Boże dopomóż, że nigdy
Tego nie myślę, co na karb mój kładziesz.

CENCI. Odważ się jeszcze powtórzyć to kłamstwo,
A zamorduję! Czyż nie za twą radą
Wczorajszą ucztę zakłóciła córka?
Czyż nie pragnęłaś, powiedz, kilku wrogów
Przeciw mnie podszczuć, uciec i uragać
Temu, co dziś ci każdym wstrząsa nerwem?
Przeceniasz ludzką odwagę: nie wielu
Między mną stanie, a swym własnym grobem.

LUCREZIA. Nie patrz tak strasznie! Na zbawienie duszy!
Jam Beatryczy nie знаła zamiarów,
Ani też sądzę, miała jaki zamiar,
Nim jąłeś mówić o jej zmarłych braciach.

CENCI. Błazniercze kłamstwo! Bóg cię piekłem skarże —
A ja zawiodę tam, gdzie błagać będziesz
Tych zimnych gładów, których stopą dotkniesz,
By cię zbawiły — gdyż ludzi tam innych
Niema, prócz takich, co nie drżą przed niczem
I, nie pytając, spełniają mój rozkaz.
Na przyszłą środę wyruszę. Znasz pewno
Dziki kamieniec, znasz zamek Petrellę.
Więzienne lochy i warowne turmy
Nie wygadały niczego, choć widzem
O i słuchaczem były takich rzeczy,

Na które skały przemówić gotowe.
Czemu się wahasz? spiesz się! gotuj w drogę.

(LUCREZIA wychodzi).

Wszechwidne słońce jeszcze świeci. Słyszę
Głośnie pogwary ludzi po ulicach;
Błękit niebieski zagląda mi w okna:
Dzień to wesoły, śmiały i ciekawy,
Głośny, rażący, podejrzliwy, oczu
I uszu pełen. W każdy kącik, w każdą
Wciska się szparę bezwstydną blask światła.
Zbliź się, ciemności! Lecz cóż dzień mi szkodzi?
I czemuż miałbym ja tęsknić za nocą,
Ja, co czyn spełnię, na który zarówno
Dzień i noc zadrzą? Niech ona się wije
Śród mgły niepewnej — ze zgrozy! Jeżeli
Jest już na niebie to słońce, nie jej to
Ku jego blaskom spoglądać i nie jej
Czuć jego ciepło. Jej za nocą tęsknić!
Czyn, który spełnić zamierzam, wnet wszystko
Dla mnie przygasi. Ciemniejsze, straszliwsze
Stworzę ja mroki, niżli cienie ziemi,
Niżeli niebo na nowiu, niż zachód
Gwiazd, które gasną w najczarniejszej chmurze.
Śród nich to spieszę, pewien i niewidzian,
Do swego czynu. Oby był już spełnion.

SCENA II.

Pokój w WATYKANIE.

Wchodzą kardynał CAMILLO i GIACOMO, zajęci rozmową.

CAMILLO. Jest przestarzałe i wątpliwe prawo,
Co wam niezbędne zapewnia potrzeby
Względem odzieży i strawy.

GIACOMO. Nic więcej?
Jak nędznym chleb ten, który mi przyznaje
Prawo, bogacąc brudne skąpstwo starca.
Czemuż mnie ojciec nie kazał wyuczyć
Jakiegokolwiek rzemiosła? Wszak wówczas
Nie byłbym przywykł do potrzeb niezwykłych,
Którym dziś własną niedogodzę pracę.
Tak, syn najstarszy wielkiego magnata
Jest jego wszystkich słabości dziedzicem —
Wielkie potrzeby przy zbyt małych środkach.
Cóż, kardynale, gdyby wam tak naraz
Zamiast puchowych kołdr i miałkiej strawy
Stu służebników i sześciu pałaców,
Przyszło się tylko ograniczyć na tem,
Co za niezbędne uważa natura?

CAMILLO. Tak, słuszna skarga, byłoby to przykrem.

GIACOMO. I najsilniejszy mąż nie zniesie tego!

Lecz ja mam żonę wysokiego rodu;
Posag jej dałem w nieszczęśliwą chwilę
Ojcu, bez świadków, bez poręki żadnej...
Mam dzieci, które szlachetną jej duszę
Odziedziczyły — najmiłsze istoty
Na żywym świecie; i żadne mi tego
Dziś nie wyrzuca. Kardynale, papież
Czyżby nie wkroczył w tą sprawę i woli
Swej nie postawił ponad prawo stare?

CAMILLO. Choć położenie wasze nazbyt twarde,
Wątpię, czy papież drogę prawa zmieni.
Po strasznej uczcie tej ubiegłej nocy
Chciałem go nagiąć, ażeby powstrzymał
Waszego ojca krwawą dłoń. On gniewnie
Odrzekł mi na to: „krnąbrnem są dzieci
I aż do szaleństw i rozpaczy kłują
Ojcowskie serca, długoletnią troskę
Wynagradzając im hańbą — niestety!
Mnie hrabia Cenci budzi litość w sercu;
Zraniona miłość zrodziła w nim zawiść
I do haniebnych popycha go czynów.
W boju pomiędzy starcem a młodymi,
Ja, co włos siwy i drżące mam kości,
Pragnę zachować przynajmniej bezstronność.
Wszak słyszeliście te słowa, Orsino? (Wchodzi Orsino).

ORSINO. Jakież to słowa?

GIACOMO.

O nie powtarzajcie!

Dla mnie tu żadnej niema już pomocy ~

Chyba że pomoc sobie sam zgotuję,

Do ostatecznej doprowadzon chwili.

Lecz moja siostra i mój brat jedyny

Więdną niewinnie pod ojca oczami.

Wszak osławieni kaci tego kraju,

Galaz Visconti, Borgia i Ezzelin,

Tak najniższego nie karali sługi,

Jak on ich karze. Czy i dla nich dzisiaj

Nie znaleźć żadnej opieki?

CAMILLO.

Dlaczego?

Gdyby zechcieli poprosić papieża,

Mniemam, że chętnie wysłucha ich prośby.

Ale za przykład stawia niebezpieczny

W czembądz osłabiać ojcowską powagę,

Będącą jego powagi obrazem.

Proszę, przebaczcie, czekają mnie sprawy,

Co żadnej zwłoki nie cierpią. (CAMILLO odchodzi).

GIACOMO.

Orsino,

U was jest prośba, przecz jej nie oddacie?

ORSINO. Jam ją przedłożył i poparł ją słowy

Najgorętszemi, lecz prośbę zwrócono

Bez odpowiedzi. Nie wątpię, że straszne

I krwawe czyny, o których w niej mowa ~

Zaistel czyny, z których śmiać się łatwiej,
Niżli w nie wierzyć — niełaskę papieża
Ściągnęły raczej na oskarżycieli,
Niż na zbrodniarza; przynajmniej tak sędzę
Z tego, co właśnie Camillo tu mówił.

GIACOMO. Mój drogi, złoto, ten czart, co się wciska
Za próg pałaców, podszeptало tutaj,
Ażeby zamilkł Jego Świątobliwość.
Dziś nasze losy jak skorpion w ogniu:
Cóż nam zostało, oprócz samobójstwa?
Albowiem tego, który dla nas krwawym
Był prześladowcą, strzeże święte imię
Ojca, inaczej, jabym... -

ORSINO. Co? Bez strachu
Myśl swą wyjawcie. Słowa tylko święte,
Jeśli i czyny, które kryją, święte.
Kapłan, co swego zaprzedał Boga,
Sędzia, co prawdę w swych wyrokach krzywdzi,
Przyjaciół, który — jak ja tu — swej rady
Udziela tylko dla własnej korzyści
Ojciec, będący tyranem we wszystkim,
Kalają tylko swoje święte imię.

GIACOMO. Przestańcie pytać, com myślał; częstokroć
Mimo swej woli płodzi mózg zamiary
I wyobrażenia takie stwarza widma,

Którychby język nie wyrzeźbił w słowach,
Dla których niema słów żadnych — ich groza
Topi je w zmroku przed duszy żrenicą:
Me serce wzdryga się na myśl, o którą
Wy mnie pytacie.

ORSINO. Lecz pierś przyjaciela
Jest duszy naszej tajemną kryjówką:
W niej się chowamy przed dnia przenikliwym
Wzrokiem i przed tem wymownem powietrzem.
Treść mych podejrzeń widzę w waszych oczach.

GIACOMO. Oszczędźcie dziś mnie! Jestem jako człowiek,
Który północą zabił wśród lasu
I spokojnego spotkawszy przechodnia
W tej puszczy, nie śmie o tór się zapytać,
Ażeby nie był, jak myśl ma — zabójcą!
Znam waszą przyjaźń i wszystko, co duszy
Swojej wyjawię, i wam bym powierzył.
Lecz moje serce dziś ciężkie; samotne,
Chciałoby rady zasięgnąć u nocy
Bez trosk bezsennych. Przebaczcie mi zatem,
Że się już z wami pożegnam... Zegnajcie.
Obym do swojej podejrzliwej duszy
Mógł zwrócić słowa, tak pełne spokoju!

ORSINO. Zegnajcie!... Myślcie szlachetniej lub śmielej!
(GIACOMO wychodzi).

Kardynałowi Camillo zleciłem,
Aby, na zimno dodawając mężstwa,
Podniecał jego nadzieje. Niezwykłą
Świadczy usługę mym tajnym zamiarom
Skłonność rodziny, każąca im ciągle
Rozcząstkowywać swe i obce serca.
Ta anatomia odsłania zaś woli
Wskrósł niebezpieczne tajniki, na próbę
Wystawia siłę życiową i uczy,
Jak powinniśmy myśleć i jak działać —
Aż przy najgłębszej ciemni naszych planów.
Tak Cenci popadł w te sidła; a ja zaś,
Odkąd Beatryks mnie przedemną samym
Odkryła, każąc mi blednąć na myśl tę,
Przed którą uciec nie mogę — zbyt nędzną
Jestem postacią, bym się sam szanował.
Jednak w połowie jam się z tem pogodził.
Będę się starał, aby jak najmniejszą
Popełnić zbrodnię: ta myśl niech przekupi
Oskarżyciela-sumienie. (Po chwili) Cóż złego,
Choćby Cenciego zabito? Lecz znowu
Czyliż koniecznie ja mam być zabójcą?
Czyż ja nie mogę wyciągnąć korzyści
Z pełnego czynu, unikając grzechu
I niebezpieczeństw? Ze wszystkich śmiertelnych
Najbardziej boję się tych, co działają
Prędzej, niż mówią, a takim jest Cenci.
Jeśli zaś Cenci zostanie przy życiu,

To posag córki będzie skrytym grobem
Dla mnie, kapłana, gdybym ją pozyskał.
Piękna Beatryks! Obym cię był nigdy
Tak nie ukochał! lub kochając ciebie,
Obym był umiał pogardzić na zawsze
Niebezpieczeństwem i złotem i wszystkim,
Co między mojem sroży się pragnieniem,
A jego celem, albo się uśmiecha
Za tą granicą... Tu niema już wyjścia.
Jej postać klęka ze mną przy ołtarzu
I wręcz mnie ściga śród natłoku ludzi
I sen mój widmy napęlnia dzikimi —
Ze, zbudzon, czuję, miast krwi, ogień płynny.
A gdy spotniałej, obłąkanej skroni
Dotknę się ręką, ręka snąć ją spali;
Na samo imię, gdy je obcy powie,
Drży moje serce boleścią. I tak to
Ściskam rozkoszy niedoznanych widmo,
Aż nie uwierzy chora wyobraźnia,
Że już posiadała marę — plód swój własny.
Dłużej nie myślę już karmić swej duszy
Strawą febrycznych widziadeł. Z Giacoma
Rozwitej myśli mój się plan rozwinie.
Patrzę, jak z wieży, na koniec wszystkiego.
Jej ojciec umrze, bratam zobowiązał
Już tajemnicą, niż sam grób, pewniejszą;
Matka wciąż w strachu, skrępowana własnych,
Spełnionych pragnień straszliwym rodzajem;

A ona... mężstwa dziś jeszcze, o serce!
Na cóż samotne odważy się dziewczę,
Złączone z tobą?... Widzę skutek pewny.
Kiedy się straszne zbliżają wypadki,
Jakoweś bóstwo niewidzialne wlewa
W duszę człowieka posępne zamiary;
A tu najlepsze zbierają owoce
Nie ci, co złego stają się narzędziem,
Lecz ci, co póty czarnemu duchowi
Umieją schlebiać, aż ten duch, czyniący
Łup swój z serc innych, pójdzie do nich w służbę —
To jest jedyna droga, którą pójde.

AKT TRZECI.

SCENA I.

Pokój w pałacu CENCICH. — LUCREZIA. wkrótce potem BEATRICE
chwije się i mówi wzburzona.

BEATRICE. Podaj mi chustkę. Mózg mój srodze ranny,
Oczy krwi pełne — otrzyj łzy mi krwawe! —
Mgłą mi zachodzą źrenice!

LUCREZIA. O dziecię,
Nie jesteś ranną! wszak to tylko zimna
Sączy się kropla z drogiej skroni. — Biada!
Cóż się to stało?

BEATRICE. Któż mi rozplótł włosy?
Wzrok mi zasłania warkocz rozwinięty,
A jednak jam go związała. — O strasznie!
Posadzka drży mi pod stopą i ściany

Kręcą się w koło. Przedemną kobieta
Stoi płacząca, martwa, nieruchoma,
A mnie jakgdyby świat porwał w swe wiry.
Krwia obryzgane to przezrocze niebios
I słońce czarnym wije się promieniem
Po tej posadzce. Powietrze zmieniło
W trupi się zaduch, co z grobowców wieje.
Ach! ja się duszę! Zaraźliwa, czarna
Mgła mnie objęła, a ciężka i lepka,
Jak z krwi i kości. Nie umiem jej strząsnąć,
Tak mi zlepiała te palce i członki,
I tak się w żyły mi wżera i ciało
W ciecz mi rozkłada obmierzłą i truje
Ten mój najczystszy, wewnętrzny dech życia.
Mój Boże! dawniej jam wcale nie znała
Uczuć szaleńca, dziś samam szalona!
(Coraz gwałtowniej). Nie! jam umarła! te spróchniałe kości
Zamknęły w sobie, jak w trumnie, mą duszę,
Co się tak pragnie wyłamać w przestworze,
(Po chwili) Jakaż myśl straszna przyszła mi w tej chwili —
Znikła! lecz jeszcze pozostał jej ciężar
Na sennych oczach — na znużonem sercu!
O świecie! życie! o ty dniu! o doło!

LUCREZIA. Cóż cię tak boli, moje dziecko? Milczy.

Jej duch utonął w uczuciu boleści,
Lecz nie w przyczynie: boleść wysuszyła
Swe własne źródło.

BEATRICE (jak obłąkana). Jakby ojcobójstwo —
Nieszczęście ojca zabiło swojego,
Lecz jego ojciec nie był nigdy memu
Podobien ojcu. Boże! czemże jestem?!

LUCREZIA. Drogie me dziecko, cóż ci ojciec zrobił?

BEATRICE. (Podejrzliwie). Kto mi się pyta? wcale nie mam ojca.
(Na stronie) To dom szalonych, a ona w nim stróżem.
Strzeże mnie tutaj; mizerna to służba.

(Do LUCRECYI głosem powolnym, przytłumionym).

Otóż myślałam, żem jest Beatryczą —
Na uściech ludzi żyjącą, — nieszczęsną,
Tą, którą ojciec od sali do sali
Nieraz za włosy szarpie rozplecione
Lub nagą w stęchłej zamyka komorze,
Gdzie łuskowate wiją się padalce,
I gdzie ją mięsem cuchnącem zamarza.
Smutne to, w białych tak utonąć marach,
Zem pomyślała — nie to być nie może...
Straszne już rzeczy były na tym świecie,
Dziwne złączenia, dziwne powikłania
I zła i dobra; niejednen haniebny
Powzięto zamiar, którego wykonać
Żadneby serce nie śmiało, lecz nigdy
Nie wytworzyła wyobraźnia czynu
Tak — (Przerywa, przychodząc do przytomności).
Kto ty jesteś? przysięgnij, nim umrę

Sród oczekiwań straszliwych, że przecież
Nie jesteś wcale, czem się zdajesz — matką!

LUCREZIA. O lube dziecko, czy wiesz —

BEATRICE.

Nic już nie mów;

Gdyby to bowiem było prawdą, wówczas
Byłoby prawdą i tamto, stanowczą,
Żywotną prawdą, spójoną z wszystkimi
Życia przypadki — niezmienną, niezmarłą.
Tak, wszystko prawda: to jest pałac Cencich,
Tyś jest Lukrecją, a ja Beatryczą.
Jam powiedziała kilka słów szalonych —
Lecz już nie powiem. Matko, zbliż się, odtąd
Jestem... (Głos jej zamiera).

LUCREZIA. O biada! cóż się stało, dziecię?
Coć zrobił ojciec?

BEATRICE.

Co ja uczyniłam?

Czyliż nie jestem niewinną? Czyż moją
Ma to być zbrodnią, że ktoś z włosem starca
I z czołem pana, co od niepamiętnych
Lat mnie katował — bardziej, niż rodzice
Katować zdolni — zwie się moim ojcem,
A jest... o biada! czem jestem? Czem będzie
Imię i byt mój? i czem pamięć o mnie?!
Czem me wspomnienia, choć rozpacz przeżyję?!

LUCREZIA. Prawda, me dziecko, gwałtowny to tyran;

I śmierć nas tylko wyswobodzić może —
Jego lub nasza. — Lecz czyż mógł straszniejszą
Wyrządzić hańbę? wyszukańszą krzywdę?
Tyś sobie samej niepodobna; z oczu
Jakiś niepewny, błędny blask ci strzela.
Mówże — rozerwij te wybladłe ręce,
Co niby w palcach się zrosły.

BEATRICE.

To życia

Tak ją katuje niepokój. Przemówię,
A oszaleję. Tak, coś czynić trzeba,
Lecz co? ja nie wiem — coś, co krzywdę moją,
Której doznałam, w nikły cień zamieni
Wobec straszliwych błyskawic mej zemsty;
Coś, co gwałtownie, niewzruszenie działa,
Co zniszczy skutki tych przyczyn, dla których
Dziś już nie znaleźć żadnego lekarstwa.
Coś, co mi cierpieć lub wypełnić trzeba.
Spokojną będę, gdy to coś już poznam,
Lecz teraz — o krwi ze krwi mego ojca,
Ty, która krążysz wśród tych żył splamionych —
Gdybyś ty, cieknąc na skażoną ziemię,
Mogła zmyć zbrodnię i hańbiącą mękę,
Którą tu znoszę — nie! to być nie może!
Nie jeden, wątpiąc, zali Bóg jest w niebie,
Widząc i znając nیکczemność, sam gotów
Śmierć sobie zadać, lecz we mnie tej wiary
Żadna już boleść zaciemnić nie zdoła,

LUCREZIA. Zaprawdę, gorzka to musi być krzywda —
Lecz co, ja nawet pomyśleć nie umiem.
Nieszczęsne dziecko, nie kryj w tym zamkniętym
I dumnym smutku swojego cierpienia
Przed moją trwogą.

BEATRICE. Nie kryję go wcale.
Jakiemiż słowa mam ci to powiedzieć?
Ja, co nie umiem wytworzyć w swej duszy
Obrazu takiej przemiany — ja, której
Myśli w swą własną chowają się grozę,
Jako upiory w swój całun! Z słów wszystkich,
Które śmiertelnym służą do wynurzeń,
Jakie chcesz słyszeć? Tu niema słów żadnych
Dla mojej krzywdy. Gdyby jakaś inna
Doznała rzeczy podobnej, zmarłaby,
Jak ja chcę umrzeć i zbrodni by miana
Nie zostawiła, jak ja nie zostawię!
Śmierci! o śmierci! prawo i religia
Zwią cię nagrodą lub karą. Cóż sobie
Ja zasłużyłam?

LUCREZIA. Spokój niewinności,
Aż w swoim czasie odwoła cię niebo.
Cokolwiek tylko musiałaś tu cierpieć,
Nie popełniłaś nic złego! Śmierć tylko
Karą za zbrodnie, nagrodą za ciernie,
Które sam Bóg nam podesłał pod stopy
W drodze, wiodącej do wiecznego życia.

BEATRICE. Tak, śmierć to kara za zbrodnię. O Boże!

Nie daj, bym była obłąkanym sędzią!

Jeśli dzień za dniem trzeba żyć, jeżeli

Trzeba zachować to ciało, niegodny

Twojego ducha przybytek — jaskinię,

Dzisiaj splamioną, w której wszystko, wszystko,

Na co ty grozę uczuwasz, bezkarnie

Urąga tobie — nie! to być nie może!

Co? samobójstwo? — nie! i to nie zbawi.

Twoje przykazanie, jak przepaść piekielna,

Miedzy niem ziele, a wołą człowieka.

Ach! na tym świecie nie szukać wyroku,

Nie szukać prawa, ażeby osądzić

I skarać krzywdę, która mnie dotknęła.

(Wchodzi ORSINO. — BEATRICE zbliża się do niego w uroczysty sposób).

Witajcie do nas, przyjacielu! Odkąd

Rozstaliśmy się za ostatnim razem,

Jam tak niezwykle doznała boleści,

Ze mi spokoju nie da śmierć ni życie!

Lecz nie pytajcie, co było, gdyż tutaj

Są takie rzeczy, dla których nie znaleźć

Kształtów wam żadnych, i takie cierpienia,

Dla których niema ludzkiego języka.

ORSINO. A któż was skrzywdził?

BEATRICE.

Człowiek, co się zowie

Rodzonym ojcem. Straszliwe to imię.

Może czy nie może,

O zimny doradco!

n ~

ORSINO. Chcecie więc cierpieć?

BEATRICE.

Cierpieć? — o Orsino!

Z waszej mi rady nie zbyt wielka korzyść. (Odwraca się od niego).
Trzeba raz zacząć i raz już zakończyć.
Jakaż to wznosi mgła się niepochwytna,
Uwita z myśli, że, by cienie w cieniach,
Jedna się w drugiej zanurza?

ORSINO.

Czyż miałby

Zyc ten złoczyńca? cieszyć się z swych czynów
I jakąkolwiek bądź zbrodnię (straszną
Zbrodnię zapewne) urobić w swój zwyczaj,
Aż ty zupełnie zaginiesz, zniżywszy
Do tych się rzeczy, na które zezwolisz?

BEATRICE (do siebie). Potężna śmierci! ty dwulicy cieniu!

Jedyny sędzio! ty najsprawiedliwszy
Rozjemco! (Odwraca się, zatopiona w myślach).

LUCREZIA. Oby tutaj piorun Boga

Spłynął na ziemię i mścił się —

ORSINO.

Nie bluźnić!

Jego nadziemska opatrność powierza
Chwałę swą ziemi, a jej krzywdę w rękę
Ludzi złożyła — jeśli ludzie zbrodni
Karać nie będą —

LUCREZIA. Lecz jeśli zbrodniarze,
Jak ten, swem złotem przekupują siłę,
Prawo i język ogółu? jeżeli
Nie znaleźć nam już pomocy u tego,
Przed którym nawet drżałby najwinniejszy.
Jeśli dla tego, że nasze cierpienie
Nienaturalne, niepojęte — Boże!
Jeśli z tych samych powodów, dla których
Bronić nas winien, kat tryumf odnosi?
A my, ofiary, znosim cięższe plagi,
Niż te, co dotknąć winny dręczyciela?...

ORSINO. Wierzajcie, krzywda znajdzie rychłą pomoc,
Jeśli ją tylko podchwycim odważnie.

LUCREZIA. Co? gdyby był tu jaki środek pewny,
Lecz ja nie widzę — może dobrze będzie —

ORSINO. Ostatnia zbrodnia względem Beatryczy
Jest, choć się ledwie domyślam, tej miary,
Że skrucha tutaj brakiem własnej cześci;
I tylko jeden został obowiązek:
Dla córki — zemsta; dla was — z złem się zgodzić,
Ażeby uciec przede złem, a dla mnie —
Tylko porada —

LUCREZIA. Nie możemy tuszyć,
Ze dla nas pomoc, ratunek, zbawienie

Wyłyną stamtąd, gdzie je kaźden inny
Znajdzie bez trudu. — (BEATRICE zbliża się).

ORSINO.

Wówczas —

BEATRICE.

Milcz, Orsino.

I was tu proszę, o szlachetna pani,
Rzućcie, gdy mówię, jako szmat zużyty
Wzgląd i wstyd wszelki, wyrzuty i bojaźń
I wszystkie więzy powszedniego życia,
Które dźwigamy od lat niemowlęcych,
Lecz które dzisiaj dla mej skargi świętej
Uragowiskiem by były. Jak mówię,
Doznałam krzywdy, która zemsty pragnie —
Nie tylko za to, co przeszło, lecz także,
Abym już więcej nowymi występki
Nie obarczała przygniecionej duszy,
Aby tem nie być, o czym wam zamarzyć
Nawet za trudno! Jam Boga prosiła
I ze swem własnem rozmawiałam sercem,
I rozgmatwałam zagmatwaną wolę,
I umiem dzisiaj rozróżnić, co słuszne.
A ty, Orsino, wiernys czy fałszywy?
Przysięgnij na swe zbawienie, nim zacznę.

ORSINO. Przysięgam tobie, że poświęcę chytróść
I siłę swoją, wszystko, co jest we mnie,
Twoim rozkazom!

LUCREZIA. Myślicie że jego
Śmierć uchwalimy?

BEATRICE. Że spełnisz bez wahań,
Co postanowim. Działajmy odważnie
I prędko:

ORSINO. Lecz i rozważnie.

LUCREZIA. Surowe
Prawa przyniosłyby nam śmierć i hańbę
Za to, co same wypełnić powinny.

BEATRICE. Bądźcie rozważnym, ile tylko chcecie,
Ale i prędkim. A teraz, Orsino,
Wskażcie mi środki.

ORSINO. Znam ja dwóch ponurych,
Groźnych bandytów, co duszę człowieka
Nie wyżej cenią od płazu. Z kaprysu
Zgniotliby życie szlachetne czy podłe.
Tani ci kupcy w tym Rzymie: Sprzedadzą,
Co nam potrzeba.

LUCREZIA. Jutro, nim zaświta,
Chce w apulijskie wieść nas Apeniny,
Do swej samotnej warowni, Petrelli.
Gdy tam przybędzie...

BEATRICE. Nie powinien przybyć.

ORSINO. Czy zmrok zapadnie, nim będziecie w zamku?

LUCREZIA. Słońce zaledwie będzie gasnąć.

BEATRICE,

Pomnę,

Ze, o dwie mile od twierdzy, śród jarów
Prowadzi droga głębokich; nierówna
I wązka, stromą wije się krawędzią.
Olbrzymia skała sterczy w tej głębinie
I, niby z strachu, od lat niepamiętnych
Drży nad przepaścią i, wpiąwszy się w ziemię,
By śród ostatnich, śmiertelnych wyteżeń,
Zdaje się spadać powoli — powoli.
Tak samo wpina grzesznika się dusza
W bryłę żywota. Lecz wpiąwszy się, skała
Gnie się i chyli i przez to czarniejszą
Czyni tę bezdeń, w którą zapaść grozi.
Dołem, pod skałą, olbrzymia, jak rozpacz,
I niby senna, zije smutna góra.
A jeszcze niżej słychać rwisty potok,
Huczący pośród otchłani: jej brzegi
Most jakiś łączy. Górą, nad przepaścią,
Rosną, od wierchu do wierchu, posępne
Cedry i cisy i jodły i gęste
Splatają liście w grubą przędzę cieniów,
Łącząc się z bluszczu omrocznymi sploty.
W południe tutaj ledwie świt przebija,
A o zachodzie włada noc najgłębsza.

ORSINO. Zanim dotrzecie do mostu, zostańcie
Pod tym pozorem, że muły wam pognać
Lub czekać trzeba! aż...

BEATRICE. Co to za odgłos?

LUCREZIA. Cyt!... to nie służy są kroki, to Cenci
Niespodziewanie powrócił; wymyślcie,
Z jakiej przyczyny jesteście tu z nami.

BEATRICE. Stopa, co ku nam się zbliża, nie może
Nigdy przestąpić znanego nam mostu.
(BEATRICE i LUCREZIA wychodzą).

ORSINO. Co tutaj począć? Cenci mnie tu znajdzie
I ja znieść muszę... to wyniosłe śledztwo
Jego spojrzenia, po com przybył dotąd?
Maską mi będzie obojętny uśmiech.
(Wchodzi GIACOMO).

Jakto? mieliście odwagę tu przybyć?
Więc pewno wiecie, że Cenci u siebie?

GIACOMO. Szukam go tutaj i poczekać muszę,
Pokąd nie wróci.

ORSINO. O ty wielki Boże!
Rozważyliście-ż skutki tej śmiałości?

GIACOMO. Czyż ten oprawca wie już, co mu grozi?

My dziś do siebie — nie jak syn do ojca:

Jak mąż do męża, jako wróg do wroga!

Jak ciemieżony do swego ciemieżcy,

Jak spotwarzony do potwarcy swego.

Zdeptał naturę, co mu bronią była,

Dziś go natura zdeptała shańbiona!

Ja gardzę jednym i drugim. Bo czyliż

Ojca to gardło, które dławić będę,

Mówiąc: nie złota ja pragnę, nie pragnę

Tych lat wesołych i nie pragnę wspomnień

Cichej młodości; nie dla mnie już miłość,

Której w rodzinnym zażywamy domu;

Choć mi zabrałeś to wszystko i więcej,

Ządam jednego: zwróć mi dobrą sławę,

Ten skarb pokoju, o którym sądziłem,

Ze go już twoja nie wyszuka zawiść

Z pod krzywd tych ciężkich, doznanych od ciebie,

Inaczej ja cię... O, Bóg mnie zrozumie

I Bóg przebaczy... po co mówić ludziom!

ORSINO. Cicho, mój drogi.

GIACOMO. Dobrze, powiem cicho,

Co mi uczynił. Jak wiecie, ten stary

Francesko Cenci pożyczył odemnie

Posagu żony, a potem zaprzeczył

I wepchnął w nędzę; pragnąłem się wyrwać,

Przyjmując jaki mały urząd w państwie.
I przyrzeczono mi miejsce; kupiłem
Nowych sukienek dla obdartych dzieci,
I żona mi się uśmiecha i serce
Znalazło spokój stracony. Wtem Cenci
Jakiemuś szui wyrobił ten urząd,
Płacąc urzędem nikczemną przysługę.
Gdym wrócił z smutną nowiną, siedliśmy,
Aby ukoić naszą rozpacz łzami
Owej miłości i niezgiętej wiary,
Które łagodzą najprzykrszejsze żółcie.
Wtem on, jak zwykle, wszedł pełen złorzeczeń
I jął wyszydzać naszą nędzę, twierdząc,
Iż to bicz boży na wyrodnym synów —
A gdym wyrzucił posag mojej żony,
By usta wstydem mu zamknąć, wynalazł
Krótką i czelną opowieść, że grosz ten
Zmarnotrawiłem na tajemne grzechy,
I zobaczywszy, że żonę ugodził,
Odszedł z uśmiechem. I ja, kiedym spostrzegł,
Jakie wrażenie swoim kłamstwem wywarł,
Jak żona gniewem wyszydza milczącym
Żar mych zaprzeczeń i mierzy mnie chłodem —
I ja wyszedłem, lecz rychło wróciłem —
O, nie tak rychło, by żona nie mogła
Serca mych dzieci podburzyć. I dzieci
Moje wołały: Ojcze, daj nam sukien,
Daj-że nam chleba lepszego! coś w jednej

Przetrawił nocy, na miesiące starczy!
I tak, miast domu, zobaczyłem piekło,
I nie powrócę do tych piekieł prędeż,
Póki ten wróg mi nie uczyni zadość,
Albo, jak on mi to marne dał życie,
Ja, depcąc prawa natury...

ORSINO. Wierzajcie,
Nie tu wam szukać zadosyćczynień ~

GIACOMO. Wtedy ~ czy wyście nie mym przyjacielem?
Nie podaliście mi znaku ostatnich
Już postanowień ponad tą przepaścią ~
Ostatnim razem rozmawiając ze mną?
Wówczas ma dola była lżejszą. Grozą
Dziś mnie napełnia wyraz „ojcobójstwo“,
Jakkolwiek kroku nie cofnę.

ORSINO. To strachy,
Strachy, nic więcej: samo bowiem słowo
Jest tylko pustą igraszką. Patrzajcie,
Jak, do jednego sprowadzając kłębka
W swojej mądrości te nici wyroków
Najsprawiedliwszych, uświęca je bóstwo:
Co wyście w swoim postawili sercu,
To już nieledwie spełnione...

GIACOMO. Nie żyje?

ORSINO. Grób dłań gotowy. Gdyśmy się rozstali,
Cenci popełnił zbrodnię na swej córce.

GIACOMO. Jakąż to zbrodnię?

ORSINO. Nie chciała jej nazwać,
Lecz wam nie trudno będzie wpół odgadnąć
Z zsiniałej twarzy i z troski głębokiej,
Osiadłej w zmarszczkach jej czoła, z źrenicy,
Patrzacej niemo i błędnie, i z głosu
Przytępionego, co miłość i bojaźń
Zarówno tłumí, nareszcie i z tego:
Kiedy, nie mogąc ochłonać ze zgrozy,
Ja z jej macochą, zajęci rozmową,
Ledwie, że z ciemnych, nieokreślonych znaków
Oraz niepewnych podejrzeń do prawdy
Chcieliśmy dotrzeć i, choć chwiejni w sądzie,
Zemścić się za nią, przerwała nam ona
Nasze domysły — i to takim wzrokiem,
Który nam mówił: on umrzeć powinien!

GIACOMO. Dość, jam wątpliwość swą już zaspokoił:
Wyższą tu widzę przyczynę, niż moja,
Aby to spełnić; sprawiedliwszy sędzia
Niepokalanym będzie tu mścicielem.
O Beatryczel! Ty od lat najmłodszych
Nie mogłaś zdeptać robaka ni kwiatu
Zerwać świeżego, by nad nim nie ronić

Tych łez dziewiczych. O siostró nadobna!
Miłość i mądrość złączyły się w tobie
Aż do podziwu, że jedna nad drugą
Nie zapanuje! I ty masz być tutaj
Łupem zniszczenia. Serce! nie chcę więcej
Usprawiedliwień! Czyż czekać, Orsino,
I tu u drzwi tych zadać cios oprawcy?

ORSINO. Nie. Tu przypadek mógłby jaki wkroczyć
I tak go zbawić od pewnych przeznaczeń,
A przytem gdzież wam uciekać i jak się
Usprawiedliwić i ukryć? Słuchajcie:
Wszystko gotowe i skutek tak pewny,
Że... (Wchodzi BEATRICE).

BEATRICE. To głos brata! Czy mnie niepoznajesz?

GIACOMO. O siostró! siostró zgubiona.

BEATRICE.

Zgubiona!

Widzę, że z tobą rozmawiał Orsino
I że domyślasz się rzeczy zbyt strasznych,
By znaleźć słowa, a jednak mniej strasznych,
Niż prawda sama. Odejdź, mógłby wrócić.
Wprzód mnie pocałuj, a to mi dowodem
Będzie, żeś z jego pogodził się śmiercią.
O, żegnaj, żegnaj. Niechaj cześć dla Boga
I miłość bratnia, sprawiedliwość, litość

I wszystkie rzeczy, co najtwardsze serca
Mogłyby zmiękczyć, tve serce, o bracie,
Twardszem uczynią! Nie mów nic — i żegnaj!
(Wychodzą w różnym kierunku).

SCENA II.

Uboga izba w domu GIACOMA. — GIACOMO sam.

GIACOMO. Północ. Orsino nie przychodzi. Cóż to?

(Słuchać grzmot i wycie burzy).

Czyliżby miały wieczyste żywioły
Czuć wespół z takim robakiem, jak człowiek?
Nie! wszak pociski litośnych błyskawic
Nie godziłyby tylko w głaz i drzewo.
Żona i dzieci moje śpią, w niewinnych
Snach zatopione, mnie zaś czuwać trzeba
Śród niemych zwątpień, czy czyn ten niezbędnym
Będzie i słuszny zarazem. Ty lampo
Niepodsycana! tve wątle iskierki
Wicher rozwiewa; na krawędzi twojej
Legł zmrok zgłodniały. Ty wązki płomyczku,
Co tak się wznosisz i spadasz, migocąc,
Jak konający puls, — zbyt prędko zgaśniesz,
Gdy cię przestanę podsycać; zbyt prędko
W to się zamienisz, czem nigdy nie byłeś!
Tak dzisiaj zgaśnie i zginie to życie,
Co niegdyś moje wznieciło. Lecz żadna

Już nie potrafi napełnić potęga
Olejem życia lampy tego ciała,
Gdy się raz stłucze. Ha! to krew ta płynie,
Co zasycala te żyły, aż wszystko
Złodowacieje. To ciało, co niegdyś
Mnie zapłodniło, w zsiniałych i żółkłych
Wije się kurczach śmiertelnych. To dusza,
Co nieśmiertelne wyryła mi piętno,
Podobne Bogu, staje dzisiaj nagą
Przed tym niebieskim, sprawiedliwym sędzią.
(Zegar bije). Raz! dwa! godziny wloką się powoli.
Ach kiedy włos mój zbieleje, i syn mój
Może, jak ja dziś, będzie liczył chwile,
Trapiiony słuszną zawiścią i serca
Płonny wyrzutem, będzie tak złorzeczył
Późnym zwiastunom upragnionych nowin!
Niemalbym pragnął, ażeby żył jeszcze,
Choć moje krzywdy nadmierne. Jednakże —
To krok Orsina. (Wchodzi Orsino). O mówcie.

ORSINO.

Powiedzieć

Chciałem wam tylko, że uszedł.

GIACOMO.

Co? uszedł?...

ORSINO. Zdrow — do Petrelli. Wcześniej o godzinę
Przybył na miejsce, gdzie miał czyn być spełnion.

Gdy raz zagaśnie. Czy wy nie myślicie,
Ze jego duch mnie oskarży przed Bogiem?

ORSINO. Co raz już przeszło, to przeszło: zaprawdę,
Nie odwołacie już spokoju siostry,
Zgasłej nadziei, młodości i gorzkich
Słów waszej żony ni tych wszystkich szyderstw,
Którymi waszym urągał nieszczęściom
On — w swoim szczęściu, ani zmarłej matki
Ani —

GIACOMO. Nie mówcie już więcej! Jam gotów,
Chociażbym własną miał zadławić ręką
Tego, co dał mi to życie.

ORSINO. Nie trzeba.
Słuchajcie. Znacie Olímpia: burgrabią
Był niegdyś w zamku Petrelli, za czasów
Colonny, — wiecie, ten, co go wasz ojciec
Pozbawił miejsca? Znacie też i Marzía,
Tego zbrodniarza, któremu nagrody
Za jakąś krwawą odmówił przysługę!

GIACOMO. Tak, znam Olímpia. Podobno starego
Tak nienawidzi, że aż w niemym gniewie
Wargi mu bledną, gdy go tylko ujrzy.
Co zaś do Marzía — nic niewiem.

ORSINO. Z pewnością

Nienawiść Marzia równa się zawiści
Olimpia. Obu tych ludzi wysłałem —
W waszem imieniu i niby na wasze
Własne życzenie — by się rozmówili
Wraz z Beatryczą i Lukrecją.

GIACOMO.

Tylko

By rozmówili się z niemi?

ORSINO.

Niech chwile,

Co do jutrzejszej upłyną północy,
Potok swój śmiercią zaznaczą. Umówić
Trzeba się przedtem, a może i przywieść
Czyn swój do końca.

GIACOMO.

Słuchajcie, ten odgłos!

ORSINO. Pies tylko wyje i trzeszczą wiązadła,
Ale nic więcej.

GIACOMO.

To żona ma płacze

We śnie. Z pewnością nie jedną rzecz gorzką
Mówi tam o mnie, a dzieci wokoło
Śnią, żem ich chleba pozbawił —

ORSINO.

Gdy człowiek,

Co im go odjął naprawdę, co nędzny
Spokój zaprawia im żółcią, w lubieżnej

Tonie rozkoszy i, pełen radości,
Szydzi z nich groźnej zawiści widmami.
Co są aż nazbyt rzeczywistą prawdą.

GIACOMO. Nim on się jeszcze raz zbudzi, nie myślę
Czekać już więcej na rękę najemną.

ORSINO. Byłoby dobrze. Mnie czas iść: dobranoc!
Gdy się raz drugi zobaczymy ~

GIACOMO. Wszystko
Ma być spełnione ~ lecz i zapomniane!
O gdybym nigdy nie był się urodził!...
(Wychodzą).



AKT CZWARTY.

SCENA I.

Pokój w zamku Petrella. — Wchodzi CENCI.

CENCI. Jeszcze nie idzie. Wszak ją zostawiłem
Przezwyćzioną, omdlałą. Zapewne
Zna karygodność swej zwłoki. Lecz jeśli
Byłyby płonne me groźby? Cóż z tego?
Czyliż nie jestem wśród murów Petrelli?
Czyliż mam bać się ocz i uszu Rzymu?
Czyż jej nie mógłbym wlec za włos złocisty?
Deptać i snu ją pozbawiać, aż umysł
Jej się zamąci? Oswoic ją głodem
I kajdanami? Tu i mniej wystarczy.
Lecz wtenczas płonne to, czego tak pragnę!
Nie! niech jej upór zegnije się tak nisko
Sam, z własnej woli, jak to, co ku ziemi
Dziś go nagina. (Wchodzi LUCREZIA). Ty wstrętne nędznico!

„Cenci niech umrze! Niechaj spowiedź czyni!
Duch-oskarżyciel tylko jeszcze czeka,
Czy Bóg, chcąc skarać bezmiar jego zbrodni,
Mrącemu sercu nie każe zatwardzieć!”

CENCI. Tak — takie rzeczy się dzieją. Bezsprzecznie,
Boskich objawień prawdziwość możliwa —
I ja sam także doznałem ich łaski.
Przekląłem synów, synowie pomarli!
No — tak — a zresztą prawo i bezprawie
To puste słowa! — Skrucha... otóż skrucha
Jest dziełem chwili i więcej od Boga,
Niżli odemnie zależy. Tak — trzeba
Poświęcić większy plan, który miał zatruć,
Który miał zniszczyć jej duszę. (Pauza). Tak — jeden...
(LUCREZIA zbliża się ze strachem. Przy ostatnich słowach cofa się
przerażona).

Dwu... Kristofana i Rokka ma klątwa
Już zadławiła. Giacomo, sądzę,
Większe ma piekło, niżli to za grobem.
Beatryks, jeśli ma zawiść się spełni,
Umrze z rozpaczy, shańbiona: Bernardo —
On tak niewinny! — o, jemu przekażę
Pamięć tych czynów i młodość w nadziei
Grób mu zamienię, gdzie myśli haniebne
Wyrastać będą, jak zielsko, na dawno
Już zapomnianej mogile. A kiedy
Wszystko się skończy, w dalekiej Kampanii

I srebro swoje zgromadzę i złoto,
Suknie, kobierce, drogie malowidła
I pergaminy i wszelkie świadectwa
Bogactw i w dzikiej rozkoszy rozpale
Ogień świąteczny, by z mojej własności
Nie pozostało już nic, prócz nazwiska —
Które dla niego będzie spadkobiercy
Znamieniem hańby, A potem mą duszę,
Co była biczem, zwrócę w ręce Tego,
Co go używał. Nie wiem, czy na moją,
Czy też na innych karę, On nie prędzej
Będzie jej żądał, aże to biczysko
W swej się ostatniej i najgłębszej ranie
Złamie — aż wszystka wyczerpie się zawieść.
A teraz, niechcąc, by moje zamiary
Śmierć wyprzedziła, pragnę, by me dzieło
Było i szybkim i pewnem. (Chce wyjść).

LUCREZIA.

Zaczekaj!

To tylko było zmyślenie; żadnego
Nie miała ona widzenia i głosu
Nie usłyszała żadnego. Mówiłam,
By cię nastraszyć.

CENCI.

Dobrze! Niech twą duszę,

Podła! co igrasz z świętem słowem Boga,
Udusi własne tve bluźniercze kłamstwo!

Dla Beatryczy mam straszniejsze środki,
By ku mej woli ją nagiąć.

LUCREZIA.

Ku jakiej?

Czyż krwawszą możesz dotknąć ją boleścią
Nad to, co zniosła?

CENCI.

Andrea! zawołaj

Mojej tu córki; a jeśli nie przyjdzie,
Wówczas jej powiedz, że ja przyjdę do niej. —
Co za boleści?... Ja ją wlec tu będę,
Tak krok za krokiem, pośród takiej hańby,
O której żaden nie zasłyszał człowiek.
Będzie mi stała bez dachu w publicznych
Szyderstw pałace południe, za czyny,
Które wszem wobec otrąbią, wśród których
Czy wiesz, czem będzie?... Czy możesz odgadnąć?
Tem mi dziś będzie, do czego największą
Czuję odrazę, a co dla niej czarem
Niechaj się stanie, który otumani
Jej wstrętną wolę — w świadomości swojej
Tem mi dziś będzie, czem się już wydaje
Innym; a kiedy przyjdzie jej umierać,
Niech bez przebaczeń umiera, bez skruchy,
W ohydny buncie przeciw swemu ojcu —
I przeciw Bogu swojemu. Jej ciało
Niechaj się stanie marną pastwą psiarni,
A jej nazwisko postrachem na ziemi,

A duch jej niechaj pójdzie przed tron Boga,
Klątwy mej straszną owrzodziały dżumą!
Ciało i duszę zmienię w kupę gruzów... (Wchodzi ANDREA).

ANDREA. Panna Beatryks ~

CENCI. Mów, błądy służalcze!
Cóż powiedziała?

ANDREA. Zmierzyła mnie wzrokiem,
A potem rzekła: idź i powiedz ojcu,
Ze całe piekło ziele między nami:
Chce, niech przekroczy tę przepaść, ja ~ nigdy,
(ANDREA odchodzi).

CENCI. Idź ty, Lukrecyo! ~ powiedz, niech tu przyjdzie,
Ale zarazem niechaj wie: jej przyjście
To przyzwolenie! a przytem jej powiedz,
Że, gdy nie przyjdzie, przeklnę ją. (LUCREZIA wychodzi).
Ha! wszakże

Ojca przekleństwem Pan Bóg popłoch wzbudza
W hufcach zwyciężkich i miastom drżyć każe,
Gdy są szczęśliwe. Wszak ojciec wszechświata
Musí wysłuchać tych próśb, które rodzic
Za swoje dzieci zanosí, chociażby
Nawet był takim, jakim mnie świat zowie!
Czyż w niej śmierć braci ~ wstrętnych buntowników ~
Nie wzbudza strachu, nim ja sam przemówię?

Dla niej ja rychły wybłagałbym koniec,
I koniec pewnoby przyszedł. (Wchodzi LUCREZIA). Cóż? nędzna!
Mów!...

LUCREZIA. Powiedziała: ja przybyć nie mogę.
Idź, rzeknij ojcu, że pomiędzy nami
Krwi jego własnej widzę potok wrzący.

CENCI (klękając). O Boże! słuchaj!... jeżeli ten mięsa
Przecudny kawał, z którego ty córkę
Moją stworzyłeś, jest mą krwią; jeżeli
Jest częścią mojej podzielnej istoty;
Lub raczej moją trucizną, chorobą,
Co mnie zaraża i truje; ten szatan,
Który snąć ze mnie, jak z bezdni piekielnej,
Wyskoczył tutaj, jeżeli stworzony
Został na dobro jakoweś; jeżeli
Jej czar promienny zapalił się na to,
Ażeby świat ten rozjaśnić ponury;
Jeśli miłości najwybrańszą rosą
Karmione cnoty zakwitnąćby miały
W niej, aby w spokój zamienić jej żywot:
O, przez wzgląd na mnie, ja dziś błagam Ciebie,
Coś wspólnym Bogiem i ojcem jej, moim
I wszystkich innych, cofnij ten swój wyrok!
O ziemio! ty jej w imię Boga podaj
Jadu na strawę, aż cała odwrzodów
Oskorupieje! Niebo! na jej głowę

Spuśćże jej rosę cuchnących marenków,
Niech, jak ropucha, plam dostanie wstrętnych ~
Wysusz jej wargi, jeżeli miłością
Kiedy zapłoną; te piękne jej członki
W najobrzydliwsze poskręcaj kalestwo.
Słońce, co patrzysz na wszystko! w jej oczy,
Życiem iskrzące, ugódź nienawistnie
Oślepiającym pociskiem!...

LUCREZIA.

Ach! przestań!

Przez wzgląd na siebie cofnij straszne słowa!
Bo jeśli klątw twych wielki Bóg wysłucha,
Ukarze ciebie.

CENCI (wstając gwałtownie i podnosząc rękę ku niebu).

Niech On swoją spełnia

Wolę, ja swoją! A jeszcze to jedno!

Jeżeli kiedy porodzi ~

LUCREZIA

Myśl straszna!

CENCI. Jeżeli kiedy porodzi ~ Naturo!

Ja cię na twego zaklinam tu Boga,
Bądź przez nią płodną, rośnij ty i mnoż się,
Spełniając jego rozkazy i moją
Prośbę najgłębszą ~ niech dziecko to będzie
Wynaturzonym odbiciem jej samej;
Niechaj, jak obraz w spaczonym zwierciadle,

Z największą dla niej stopione ohydą
Spogląda na nią, śmiejąc się u piersi.
Niechaj to dziecko od pierwszej młodości
Coraz złośliwsze, obrzydliwsze wzrasta,
W zgrozę zmieniając macierzyńską miłość;
Ona i ono niech żyją, dopóki
Dziecko nie spłaci zawiścią matczynych
Trosk i kłopotów, dopóki nie spełni
Rzeczy, na jaką natura się wzdrygnie.
Tak wśród uragań złośliwego świata
Niech w łezczeszczoną wpędzi ją mogiłę.
Mamże odwołać? Idź, niech tutaj przyjdzie,
Nim moje słowa zapiszą w niebiosach.

(LUCREZIA wychodzi).

Mnie się dziś zdaje, żem nie jest jak człowiek,
Lecz jako szatan, powołan, by karać
Zbrodnie jakiegoś nieznanego świata.
Krew w moich żyłach burzy się i pieni,
Wre, skrzy się z jakiejś szalonej rozkoszy;
Owładł mną zawrót dziwnego przestachu:
Serce me bije, pełne oczekiwań
Strasznej radości. (Wchodzi LUCREZIA).

Co? powiedz.

LUCREZIA.

Mówiła:

Niechaj przeklinal... A gdyby twa kłątwa
Nawet jej duszę — co stać się nie może —
Mogła dziś zabić —

CENCI. Nieprzyszlaby jeszcze!

Dobrze! ja jedno i drugie uczynię.

Najprzód osiągnę, czego chcę, a potem

Sam przyzwolenie wymuszę! Precz z oczu!

Precz, nim cię gniew mój rozkruszy. A strzeż się

Stawać na poprzek mym krokom tej nocy.

Między tygrysem a jego zdobyczą

Stanać bezpieczniej! (LUCREZIA wychodzi).

Zapewne już późno;

Oczy się kleją; ciężar snu niezwykły

Spada mi oto na słabe powieki.

O ty sumienie, z kłamstw najbezwstydniejsze!

Sen, ta, jak mówią, rosa z nieb zesłana,

Orzeźwiającym balsamem nie koi

Ducha, co ciebie nazywa oszustem.

Pójdę... godziną spoczynku głęboką —

O, ja to czuję — i cichą dowiodę,

Że jesteś kłamcą; a potem — o piekła!

Wasze sklepienia wstrząsną się od dzikiej,

Niewysłowionej radości szatanów!

Gór niebiosą niech zadrżą skargami,

Jak nad upadkiem anioła; na ziemi

Niech wszystko dobre zwarzy się i zwiędnie;

A w tem, co złe jest, niech tchnieniem swem żywot

Wynaturzony rozbudza przebudny

Rozkwit i siłę — jak we mnie tej chwili!... (Wychodzi).

SCENA II.

Przed zamkiem PETRELLA. — BEATRICE i LUCREZIA na wałach.

BEATRICE. Jeszcze nie idą.

LUCREZIA.

Zaledwie jest północ.

BEATRICE. O jak leniwo za polotem myśli,
Snać więdącemi z wielkiego pośpiechu,
Ołowianymi kroki czas się wlecze!

LUCREZIA. Minuty nikną... A gdy się przebudzi,
Nim czyn swój spełni?

BEATRICE. O matko, przenigdy
Niech się nie zbudzi! To, co mi mówiłaś,
Wzdyć przekonuje, że czyn nasz wygania
Tylko szatana z tych głębin piekielnych
Ludzkiego ciała.

LUCREZIA. Prawda! z nazbyt dziwną,
Jak na złoczyncę, wspominał pewnością
Sąd ostateczny i śmierć; jest to człowiek,
Co wierzy w Boga, lecz o złe i dobre
Troszczyć się nie chce... Lecz tak bez spowiedzi
Umierać!...

BEATRICE. Wierzaj, niebioso litośne
I sprawiedliwe; na karb jego zbrodni
Tej naszej strasznej konieczności dzisiaj
Wzdyć nie doliczą ~ (wchodzą dołem OLIMPIO i MARZIO).

LUCREZIA Patrzaj! oto idą ~
BEATRICE. Wszystko śmiertelnie dąży tak do swoich
Ukrytych celów. Ale zejdzmy na dół.
(LUCREZIA i BEATRICE znikają z wałów).

OLIMPIO. Jak się czujecie wobec tego czynu?

MARZIO. Myślę: za głowę starego zbrodniarza
Ten tysiąc koron to święta zapłata ~
Twarz wasza blada?

OLIMPIO. Co zwiecie bladeścią,
Pewnie to lica waszego odbicie.

MARZIO. Czy to jest zwykły wasz kolor?

OLIMPIO. Zapewne
Moja nienawiść i dawno tłumione
Pragnienie zemsty krew wygnały z twarzy.

MARZIO. Więc się na rzecz tę godzicie?

OLIMPIO. A jakże!

Gdyby mi tysiąc posypano koron,
Bym zabił węża, co mi dziecko zranił,
Mniej byłbym chętny. (BEATRICE i LUCREZIA zjawiają się dołem).
Witajcie nam, panie!

BEATRICE. Czyście gotowi?

OLIMPIO. Śpi on?

MARZIO. Cicho-ż wszędzie?

LUCREZIA. Opium do jego domieszałam trunku:
Śpi tak głęboko ~

BEATRICE. Że ta śmierć mu będzie
Jedynie zmianą jego snów bezwstydných,
Ponurym ciągiem piekła jego duszy;
Niech Bóg je zgasi! Wyście czy gotowi?
Wiecie, że czyn ten wzniosły jest i święty.

OLIMPIO. Myśmy gotowi.

MARZIO. Lecz wy odpowiecie
Za całe dzieło.

BEATRICE. Dobrze... teraz za mną!

OLIMPIO. Cyt! co za szelest?

MARZIO.

Ktoś się tutaj zbliża,

BEATRICE. Tchórze! więzami sumienia splątani,

W sen ukołyszcie dziecinniałe serca ~

Brama żelazna, którą wy otworem

Zostawiliście, tak skrzypí w szyderczych

Pogwizdach wiatru. Za mną ~ dalej za mną

Lekko i prędko, jak ja, i odważnie. (Wychodzą).

SCENA III.

Pokój w zamku.

LUCREZIA. Teraz spełniają swe dzieło.

BEATRICE.

Już koniec.

LUCREZIA. Ja nie słyszałam, by jęczał.

BEATRICE.

Nie będzie!

LUCREZIA. Cóż to za odgłos?

BEATRICE.

To odgłos ich kroków

Wokoło łóżka.

LUCREZIA.

Boże! teraz pewno

Ciało już zimne ~

BEATRICE. O nie bój się tego,
Co się spełniło, lecz tego, co teraz
Nie wypełnionem zostało; to dzieło
Przypieczętuje dziś wszystko.
(Wchodzą OLIMPIO i MARZIO).

MARZIO. Skończone?
Co?

OLIMPIO. Czyście wy nas nie wołali?

BEATRICE. Kiedy?

OLIMPIO. Teraz.

BEATRICE. Ja pytam, czy wszystko skończone?

OLIMPIO. Jam się nie ważył zabić starca we śnie.
Te włosy siwe, to czoło poważne,
Te chude ręce, złamane na piersiach,
Ten sen niewinny, w którym był pogrążon,
Zabiły moją odwagę. Zaprawdę!
Nie mogłem tego uczynić.

MARZIO. Jam za to
Był odważniejszy; zelżyłem Olimpjo'a,
Każąc mu krzywdę znosić aż do grobu,
A mnie zostawić gardłowe. I nóż swój

Do pomarszczonej przyłożyłem grdyki,
W tem starzec we śnie się ruszył i wołał:
Boże! ty Boże! słuchaj przekleństw ojca,
Bo czyliż ojcem nie jesteś ty naszym?
Potem się zaśmiał. I mnie się zdawało,
Że duch mojego umarłego ojca
Przez jego usta przemawia i zabić
Ja go nie mogłem.

BEATRICE. Nikczemni służalce!
Gdy wam odwagi zabrakło, by zabić
Śpiącego starca, mieliścież odwagę
Stanąć przedemną, nie spełniwszy czynu?
Podli oszuści! wy tchórze i zdrajcy:
Co? to sumienie? które wy kładzicie
Na wagę złota i zemsty? Śpi ono,
Gdy o tysiące idzie takich łotrostw,
Które człowieka okrywają hańbą!
A tu, gdzie litość shańbiłaby niebo —
Ha! co ja mówię?

(Wrywa jednemu z nich sztylet i podnosi go).

Choćbyś ty miał czelność
Rzec: ona ojca zabiła własnego,
Jeszcze to zrobię! Ale wy nie sądźcie,
Iżę zbyt długo możecie go przeżyć.

OLIMPIO. Stójcie! na boga!

MARZIO. Pójdę i zabiję!

OLIMPIO. Oddajcie sztylet, spełnim waszą wolę.

BEATRICE. Oto go macie! idźcie i wracajcie!

(OLIMPIO i MARZIO odchodzą).

Jakaś ty błada; a przecież spełniamy
Dzieło, którego nie spełnić śmiertelną
Byłoby zbrodnią.

LUCREZIA.

Oby już był koniec!

BEATRICE. Oto w tej chwili, kiedy wam zwątpienie

Ogarnia duszę, świat doznał przemiany:

Zmroki i piekło pochłonęły wyziew,

Który zesłały, by życia urocą

Przyciemniał światłość. I mnie się wydaje,

Ze lżej mój oddech się wznosi; że krew ta

W żyłach faluje swobodniej... Słuchajcie!

(Wchodzą OLIMPIO i MARZIO).

On ~

OLIMPIO. Już zabity!

MARZIO.

My go zadusili,

Aby nie było żadnej krwi i w ogród

Z balkonu ciężkie rzuciliśmy zwłoki,

By się zdawało, że wypadł.

BEATRICE (podając sakiewkę z pieniędzmi). Tul... złoto!

W dniach szczęścia

RODZINA CENCICH

SCENA IV.

Inny pokój w zamku. Jedną stroną sługa wprowadza legata SAVELLĘ,
drugą wchodzi LUCREZIA i BEATRICE.

SAVELLA. Szlachetna pani! urząd mój przy Jego
Świątobliwości niech mnie uniewinni,
Że tak nie wporę przerywam spoczynek.
Trzeba mi mówić z hrabią Cenci; może
Śpi już?

LUCREZIA (zmieszana i niespokojna).

Z pewnością, że już śpi; lecz błagam
Nie budźcie wy go; oszczędźcie mnie chwilę.
Zły to zaprawdę i sromotny człowiek;
Tak noc mu przerwać i zbudzić go ze snów,
Które, jak mniemam, są bezdną piekielną,
Nie będzie dobrze! o nie będzie dobrze!
Raczej czekajcie do świtu. (Na stronie).
Umieram!

SAVELLA. Boli mnie bardzo, że was męczę, pani!
Lecz hrabi trzeba na ciężkie zarzuty
Dziś odpowiedzieć — i to zaraz; taki
Dano mi rozkaz.

LUCREZIA (z wrastającym niepokojem). Ja się nie odważę
Zbudzić i nie znam, ktoby się odważył;

To niebezpiecznie. Bezpieczniej wam zbudzić
Zmiję; bezpieczniej zbudzić martwe zwłoki,
Gdzie zły duch jakiś zamieszkał uśpiony.

SAVELLA. Pan! me chwile policzone; muszę
Sam go obudzić, gdy nie śmie nikt inny.

LUCREZIA (na stronie).

O ty przestachu! o rozpaczy! (Do BERNARDA) Prowadź,
Bernardo, pana legata do Twego
Ojca pokoju.

(SAVELLA i BERNARDO wychodzą. — Wchodzi BEATRICE).

BEATRICE. Oto jest posłaniec,
Aby uwięzić zbrodniarza, co teraz
Stoi przed tronem najwyższego Boga.
Niebo i ziemia, dziś zgodni sędziowie,
Zdejmują wszystką z nas winę.

LUCREZIA. Śmiertelny
Przestachu! Czemuż on jeszcze nie żyje!
Właśnie słyszałam, jak szeptali z sobą
Ci towarzysze legata, mówiący,
Iż mają rozkaz na miejscu go zabić.
Dozwolonymi chciano sprawić środki,
Co drogo będzie nam trzeba okupić.
Oto już zamek przetrząśli i ciało
Oto znaleźli; oto całą prawdę

Podęrzywają; oto radzą teraz,
Zanim powrócą, by nam dowieść czynu.
O zgrozo! wszystko odkryte!

BEATRICE.

O matko!

To, co zrobiono rozsądnie, zrobiono
Dobrze. Bądź mężną, tak jak prawą jesteś.
Wszak to dzieciństwem obawiać się teraz,
By naszych czynów nie odkryli inni,
Właśnie dla tego, że duszę nam trapi
Wyrzut sumienia i kiedy żrenicą
Błędną i licem zmienionem zdradzamy
To, cośmy ukryć pragnęli. Być wiernym
Samemu sobie i świadków się innych
Nie bać, prócz własnej bojaźni! A gdyby,
Co być nie może, okoliczność jaka
Miała nas zdradzić, nie łatwoż zamydlić
Oczu podejrzeń wyrazem żdziwienia,
Łub się postawić z tak niewinną dumą,
Jakiej zbrodniarze uczuwać nie zdolni?
To co się stało, to się stało; o to,
Co stąd wyniknie, pytać się nie myślę.
Nieskrępowaną czuję się jak światłość,
Wolną się czuję, jak ten krąg powietrza,
Co ponad ziemią zawisnął, a pewną
Jak środek świata. Dla mnie wszystkie skutki
To jak ten wichur, co smaga opokę,
Ale nią wstrząsnąć nie może. (Słychać krzyk i hałas).

GŁOSY.

Morderstwo!

Morderstwo! (Wchodzi BERNARDO i SAVELLA).

SAVELLA. Zamek obejdźcie wokoło;

Bijcie na alarm; zamknijcie bronice,

By nikt nie uszedł.

BEATRICE.

A cóż tam?

BERNARDO.

Ja nie wiem,

Co mam powiedzieć. Mój ojciec nie żyje.

BEATRICE. Co? on nie żyje? ty się mylisz, bracie,

On śpi; sen jego zaprawdę głęboki!

Sen jego śmierci podobien — zaprawdę!

Dziwna, że tyran może spać spokojnie!

On żyje, żyje.

BERNARDO. Nie żyje! zabity!

LUCREZIA. O, nie zabity, choć może nie żyje;

Sama mam klucze od jego pokojów.

SAVELLA. Ha! więc to tak jest?

BEATRICE.

Mój panie! przebacźcie!

My się wrócimy; nie dobrze jest matce —

Przestrach ją przemógł, zdaje się, zupełnie.

(Wychodzą LUCREZIA i BEATRICE).

SAVELLA. Podejrzycie, ktoby mógł go zabić?

BERNARDO. Nie wiem, na kogoby myśleć.

SAVELLA.

Możecież

Nazwać mi kogo, coby w śmierci jego
Miał swoją korzyść?

BERNARDO.

O! trudniej tu nazwać,

Ktoby jej nie miał; a pewno największą
Ci, co nad śmiercią tą płaczą najwięcej;
Matka i siostra i ja sam.

SAVELLA.

Rzecz dziwna!

Ślady tu gwałtu wyraźne. Znalazłem
Zwłoki starego w księżycowym świetle:
Tuż pod oknami pokoju wisiały
W gałęziach jodły; nie podobno wszakże,
Ażeby spadły, wszystkie bowiem członki
Leżały zwisłe, bezsilne; choć, prawda!
Krwi tam nie było. Zechciejcie, mój panie —
Dla dobra domu waszego potrzeba
Aby dokładnie wyjaśniono wszystko —
Powiedzieć paniom, że ja życzę sobie
Ich obecności.

(BERNARDO wychodzi. — Wchodzą strażę, prowadząc MARZIA).

STRAZNIK.

Prowadzim jednego.

LUCREZIA (zachowanie jej w ciągu całej sceny dowodzi największego
niepokoju) Gdzież to znaleziono?

Cóż to jest? Ręka to niby Orsina?

List opowiada o tej strasznej groźbie,

Dla której nie ma wyrazu: o groźbie,

Która stworzyła czarną nienawiść

Przepaść pomiędzy tem nieszczęsnem dzieckiem,

A między ojcem.

SAVELLA. Tak to jest? Czy prawda,
Pani! że ojciec uczynił wam krzywdę,
Co w was nienawiść wznieciła wyrodną?

BEATRICE. To nie nienawiść; więcej niż nienawiść:
Wielka to prawda, lecz skąd te pytania?

SAVELLA. Coś się tu stało, co żąda tych pytań;
Masz tajemnicę, której nie chcesz zdradzić.

BEATRICE. Co wy mówicie? Panie! wasze słowa
Śmiałe i prędkie.

SAVELLA. Aresztuję wszystkich
W imię Papieża Świątobliwej Mości.
Do Rzymu z nami.

LUCREZIA. O nie! nie do Rzymu!
Zaprawdę! my tu nie jesteśmy winne.

BEATRICE. Winne? Któż śmiałby mówić tu o winie?

Panie! mniej jestem winną ojcobójstwa,
Niżli to dziecko, które na świat przyszło
• Bez ojca! Matko, ta łagodność twoja
I twa cierpliwość nie obronią ciebie
Przed światą sądem surowym — przed światem,
Tem obosiecznem kłamstwem, co się zdaje,
Nie jest. Czyż prawa ludzkie — czyż wy raczej,
Wy, coście praw tych sługami, pragniecie
Nasamprzód odciąć wszelką drogę pomsty?
Potem, gdy niebo wkroczy w to, co wyście
Wskroś zaniedbali — gdy, zwykle narzędzie
Biorąc w posługę, pomści straszną zbrodnię,
Chcecież ofiary, które wyprosiły
Zemstę tych niebios, uczynić winnemi?
To wyście winni! Ten biedak, co stoi
Przed wami blady, drżący, pomieszany,
Choćby naprawdę zamordował hrabię,
Był tylko mieczem w tej prawicy Boga
Sprawiedliwego. Przecz jabym go miała
Podnieść, gdy zbrodni, których język ludzki
Nie śmiałby nazwać, sam Bóg się nie wahał
Pomścić?

SAVELLA. Wy zatem przyznajecie sama,
Że jego śmierci życzyliście sobie?

BEATRICE. Pewno nie większą byłoby to zbrodnią

Od jego zbrodni, gdyby choć na chwilę
W sercu mem zgasła ta żądza gorąca!
Prawda! wierzyłam, żywiłam nadzieję;
Błagałam o to — i zawsze wiedziałam —
Bo Pan Bóg mądry jest i sprawiedliwy —,
Ze śmierć zawisła, nad nim niespodziana
Gwałtowna. Prawdą, że to dziś się stało,
Lecz większą prawdą, że dla mnie innego
Już na tej ziemi nie było spokoju,
Ni innej w niebie nadziei — lecz cóż to?

SAVELLA. Niezwykłe myśli płodzą też niezwykłe
Czyny; a widzę tu jedno i drugie.
Ja was nie sądzę.

BEATRICE. Jednak wy, mnie więżąc,
Jesteście sędzią i spełniacie wyrok
Nad tem, co życia jest życiem. Już tchnienie
Oskarżeń imię zabija niewinne,
Uniewinnionym zostawiając tylko
To nędzne życie, co maską jest życia
Bez niego. Fałszem największym, zaprawdę!
Żem ohydneho winna ojcobójstwa,
Choć czuję rozkosz — a słuszny mam powód —,
Że inne ręce wysłały tam duszę
Mojego ojca — tam, gdzie dziś jej żebrać
Litości, której nie miała tu dla mnie.
Puśćcie nas wolno i domu zacnego

Nie chcecie kłaść płonnem podejrzeniem
Ohydnej zbrodni; do naszych boleści
I do tej waszej niedbałości większych
Nie dodawajcie ciężarów; dość tego.
Zostawcie nam te okruchy.

SAVELLA.

O pani!

Ja się nie ważę. Proszę was, do Rzymu
Racście się zabrać; tam papież zarządzi
Wedle swej woli.

LUCREZIA.

O nie! nie do Rzymu!

Tu nas zostawcie! nie bierzcie do Rzymu!

BEATRICE. Przecz nie do Rzymu? Tu, lub tam, niewinność

Nasza żelazną pogruchocę stopą

To oskarżenie. Bóg jest tam i tutaj

I cieniem swoim osłania niewinnych,

Zelżonych, słabych: a myśmy niewinne.

Odwagi, pani! oprzyjcie się o mnie.

Zbierzcie rozpierzchnię swe myśli. Mój panie,

Skoro tu u nas odetchniecie trochę

I skoro wszystko zbadacie dokładnie,

Co wam się będzie wydawać potrzebnem

Do zupełnego zrozumienia sprawy,

Będziem gotowe. Matko, czy idziecie?

LUCREZIA. Ha! na tortury nas dadzą; wyciskać

Z naszej boleści będą oskarżenia!
I Giacomo tam będzie? Orsino?
Marzio? Ci wszyscy; wszyscy, oko w oko;
Jeden w drugiego będzie śledził twarzy
To, co w każdego jest sercu! O strasznie!
(Omdlewa. Wynoszą ją).

SAVELLA. Omdlała; złe to są znaki.

BEATRICE.

Mój panie!

Snać jeszcze nie zna obyczajów świata;
Snać się obawia, że władza to potwór,
Co, pochwyciwszy, już więcej nie puszcza;
Że to jest żmija, której wzrok zamienia
Wszystko we winę, będącą jej strawą.
Ona snać nie wie, jak dobrze leniwi
Ślepej potęgi służalce umieją
Wyczytać prawdę z niewinnego czoła —
Ona nie widzi jeszcze, jak niewinność,
Stojąc przed sądem śmiertelnego człowieka,
Odnosi tryumf i sama jest sędzią,
Oskarżycielem za tę ciężką krzywdę,
Która ją tu aż przywiodła. — Mój Panie,
Idźcie się zebrać, idźcie; nasza świta
Spotka się z wami, tam, na tym dziedzińcu,

AKT PIĄTY.

SCENA I.

Pokój w pałacu ORSINA. — Wchodzą ORSINO i GIACOMO.

GIACOMO. Więc tak to rychły jest występków koniec?

Przecż płonna skrucha, biczująca zbrodnie
Po ich spełnieniu, nie podniosła również
Głośnych okrzyków napomnień, tak głośnych
Ach! jak śmiertelnem jest żądło jej zemsty?
Przecż ta godzina, zawitawszy ku nam,
Tajemniczego nie zrzuciła płaszcza,
Aby w tym strasznym pokazać się kształcie,
W jakim dziś wraca, wylęklą zwierzynę,
Tę zdobycz swoją, podszczuwając oto
Psami sumienia? O biada mi! biada!
Co za myśl podła, co za czyn bezbożny,
Zabić siwego, zgrzybiałego ojca!

ORSINO. Zbyt nieszczęśliwie się stało, zaprawdę!

GIACOMO. O! tak zbezczęścić święte snu podwoje,

Ubiedz naturę o tę śmierć łagodną,
Którą gotuje pochylonym latom;
Wydrzeć niebiosom duszę niekajaną,
Mogącą zgasić skruszonemi prośby
Ten potok zbrodni palących —

ORSINO.

Powiedzieć

Wy nie możecie, abym ja do tego
Popchnął was czynu.

GIACOMO.

Bodajbym był nigdy

Nie znalazł w waszem wyglądzonem licu
Zwierciadła własnych najczarniejszych myśli!
Bodajście byli przenigdy mym oczom
Nie przywodzili swem rozpytywaniem
I swymi znaki widma mych zamiarów,
Aż spowszedniało pragnienie —

ORSINO.

Rzecz zwykła,

Ze ludzie zarzut nieudanych czynów
Na swych zamysłów zwalają spółniki;
Na wszystko inne tylko nie na własną
Słabość i winę. A jednak, przyznajcie,
Niebezpieczeństwo, co wisi nad wami,
Nadało wam tę bladą zwiędłość skruchy.

Strach to, przyznacie, widząc nagą hańbę,
Skruchy się płaszczem okrywa. Cóż? jeśli
Jesteśmy jednak bezpieczni?

GIACOMO.

Bezpieczni?

Wszak Beatrice, matka i mordercy
Już uwięzieni; i gdy my ze sobą
Tu rozmawiamy, wysłano już katów,
By nas pochwycić, nie wątpię.

ORSINO.

Jam wszystko

Do jak najprędzej zgotował ucieczki,
Możemy nawet jeszcze teraz umknąć,
Gdy sposobności z rąk nie wypuścimy.

GIACOMO. Raczej mi umrzeć od tortur! Co? chcecie,

Chwytając tej się ucieczki, co wini
Już sama przez się, zdradzać Beatrice?
Ja, która sama przy wyrodnym czynie
Jest jako anioł między szatanami?
Ja, co pomściła niewymowną zbrodnię,
Ze ojcobójstwo zmieniło się w cnotę;
Gdy my dla niskich widoków... Orsino,
Gdy sobie wspomnę wszystkie wasze słowa,
Wasze spojrzenia i z tem tu porównam,
Coście w tej chwili radzili, nie wątpię,
Iżście łotrem!... W jakim celu, powiedz,
Tej niebezpiecznej chwyciłeś się zbrodni,

Wabiąc mnie słowem, uśmiechem, spojrzeniem
Na dno przepaści? Co? nie jesteś kłamcą?
Nie! kłamstwem samem, zdrajcą i mordercą,
Tchórzem! słuźalcem! Lecz nie!... dalej, broń się!
(Wyciąga szpadę).

Niech ci miecz powie to, czem w gniewie swoim
Nie napiętnował cię mój język.

ORSINO.

Schowaj

Szpadę! Czyż przestrasz rozpaczliwy, mówcie,
Roznieca we was zapalczywość taką
Przeciw druhowi, który za was ginie?
Jeśli szlachetny gniew was porwał, wiedźcie,
Jam to poradził, aby was wybadać.
Co do mnie, myślę, że niewdzięczna miłość
Tam mnie przywiodła, skąd nie ma powrotu,
Choćby me serce miało uczuć skrucę.
Sprawiedliwości słudzy, gdy to mówię,
Czekają na nas i tylko tę krótką
Pozostawiają mi chwilę. A teraz;
Jeśli otuchy smutne macie słowo
Dla waszej żony pobladłej, najlepiej
Byłoby uciec, o, temi drzwiczkami
I tak ich kroki pomylić.

GIACOMO.

O jakże,

Szlachetny druhu, możesz mi przebaczyć?
Chciałbym swem życiem okupić twe życie.

ORSINO. O dzień zapóźno przychodzi życzenie.

Spieszcie! żegnajcie! Czyliż nie słyszycie
Kroków w krużganku? (GIACOMO odchodzi).

Żal mi go, naprawdę.

Lecz u drzwi jego czekają już strażę;
Taki był plan mój, by się wszystkich pozbyć ~
I ich i jego. Pragnąłem wspaniałą
Na malowanych deskach tego świata
Zagrać komedję i cel swój osiągnąć
Przez jakąś przędzę z złego i dobrego,
Któraby inni mi sprzędli; wtem tajna
Jakaś potęga wyrywa mi nici
Moich zamysłów i w tkankę zniszczenia
Wraz je przerabia. Ha moje-ż to imię
Ktoś wywołuje tam na dworze? Owszem!
Lecz ja im umknę w żebraczem przebraniu;
Łachman na plecach, niewinność na twarzy;
Niepoznan umknę śród tłuszczy, sądzącej
Według pozorów. Potem łatwo będzie
Na nowe imię i na ziemię nową,
Na nowe życie, wzniesione na starych
Pragnień zwałiskach zamienić honory
Opuszczonego Rzymu; lecz to będzie
Jedynie maską mego wnętrza, które
Już się przenigdy nie zmieni. O! strach mi,
Ze cała przeszłość spokoju mi nie da.
Cóż? gdy nikt inny nie świadom mych zbrodni,
Prócz mnie samego, miałbym ja odczuwać

Pogardę serca własnego? Czyż nie mam
Siły, by uciec przed własnem sumieniem?
Miałbym być sługą — czego? tylko słowa,
Którego świat ten używa jedynie
Przeciwko innym, nigdy przeciw sobie,
Jak nikt nie nosi sztyletu, by zranić
Samego siebie? Przecież, jeślim w błędzie,
Jakaż mnie maska zakryje przedemną
Samym, jak dziś się kryję przed innymi? (wychodzi).

SCENA II.

Sala sądowa.

CAMILLO, SĘDZIOWIE etc. na krzesłach. Wprowadzają MARZIA.

PIERWSZY SĘDZIA.

Cóż? oskarżony! trwacie w kłamstwie swoim?
Pytam, jesteście winni, czy niewinni?
Pytam, kto zbrodni waszej uczestnikiem?
Mówcie mi prawdę — i to całą prawdę.

MARZIO. O Boże! jam go nie zabił; nic nie wiem.
Olimpio sprzedał mi płaszcz ten, z którego
Wnosicie całą mą winę.

DRUGI SĘDZIA. Hej! precz z nim!

PIERWSZY SĘDZIA. Więc macie śmiałość kłamać usta temi,

Co jeszcze białe od całunku tortur?
Czyż tak łagodnie badają tortury,
Że igrać z niemi chcecie, jak z kochanką,
Aż tu wam życie wyduszą wraz z duchem?
Precz z nim!

MARZIO. Litości! litości! ja wyznam.

PIERWSZY SĘDZIA. Mówcie.

MARZIO. Śpiącemu udusił.

PIERWSZY SĘDZIA. A któż was
Popchnął do tego?

MARZIO. Własny syn, Giacomo,
I młody prałat Orsino wysłali
Mnie do Petrelli; tam panie Lukrecya
I Beatrycze skusiły mnie złotych
Koron tysiącem i ja z towarzyszem
Zamordowałem hrabiego. A teraz
Dajcie mi umrzeć.

PIERWSZY SĘDZIA. Żle to brzmi — snać prawda!
Straże! wprowadźcie tutaj uwięzionych.
(Wchodzą LUCREZIA, BEATRICE i GIACOMO pod strażą).
Patrzcie na tego człowieka! Ostatni
Kiedyście raz go widzieli?

BEATRICE.

Przenigdy!

MARZIO. Zbyt wy mnie znacie, panno Beatrycze!

BEATRICE. Ja — i znać ciebie? co? a gdzie? a kiedy?

MARZIO. Wszak wy mnie groźbą i złotem skusili,

Ażebym ojca wam zabił; gdym spełnił,

Zarzuciliście mi suknię złocistą,

Życząc mi szczęścia; jakem dziś szczęśliwy,

Oto widzicie. Panie Giacomo

I wy, o pani Lukrecyo, wy wiecie,

Że to, co mówię, jest prawdą.

(BEATRICE kroczy ku niemu, MARZIO twarz zakrywa i cofa się przerażony).

O! zwróćcie

Tę zapalczywość straszliwą jej oczu

Ku ciemnej ziemi; zwróćcie precz odemnie —

Ranią mnie! Prawdę wycisnęły z serca

Straszne katusze. Panowie, rozkażcie —

Niech po tych słowach na śmierć mnie prowadzą.

BEATRICE. Ty nędzny chłystku! żal mi cię: lecz zostań
Jeszcze na chwilę.

CAMILLO.

Zostawić go, strażę!

BEATRICE. O kardynale Camillo! mądrości

I obyczajów łagodnych, wy sławę

Macie u ludzi: jakżeż wy możecie
Własną osobą popierać igraszkę,
Jak ta, haniebną? Podłego słuźalca
Sprowadzać dotąd z pomocą męczarni,
Coby wstrząsnęły najsilniejszym sercem;
Mówić mu kazać nie tak, jak sam wierzy,
Lecz według życzeń i podejrzeń sędziów,
Których pytanie jest już odpowiedzią —
I to pod grozą straszliwych katuszy,
Jakiemi Pan Bóg nie karze — przeklętych!
O kardynale! mówcie według serca:
Gdyby, wkręciwszy wasze członki w koło,
Tak do was miano przemówić: „wyznajcie,
Żeście otruli siostrzeńca, tę małą,
Niebieskooką dziecinę, co gwiazdą
Była waszego żywota“; i choćby
Wszyscy wiedzieli, że się od tej rychłej,
Żałosnej śmierci dzień i noc zmieniły —
Że się zmieniły wam niebo i ziemia,
Czas, wasze czyny i wasze nadzieje
Wskutek nadmiernej zgryzoty, wy jednak
Byście odrzekli: „Tak, wszystko wyznaję“,
I jak ten sługa żebrali u katów
Swoich zbawienia w tej śmierci haniebnej! — — —
O kardynale, błagam was, potwierdźcie,
Żem jest niewinną.

CAMILLO (mocno wzruszony). Cóż myśleć, panowie?

O hańba łzom tym! Sądziłem, że serce
W ostatnich głębiach zamarzło. Swą całą
Oddałbym duszę, że niema w niej winy.

SĘDZIA.

Wziąć na tortury!

CAMILLO.

Własnego siostrzeńca

Chciałbym tak samo widzieć na torturach —
Ten samby wiek miał, gdyby żyw był dzisiaj;
I kolor włosów ten sam i źrenice
Co do swych kształtów te same, lecz modre
I mniej głębokie — jak miłości Bożej
Ten najpełniejszy z obrazów, co zeszyły,
By cierpieć na tym padole. Zaprawdę!
Ona niewinna, jak niemowlę.

SĘDZIA.

Dobrze!

Na waszą głowę spadnie jej niewinność,
Jeżeli, panie, zabraniecie tortur.
Wszak nam przykazał Jego Świątobliwość,
Ażeby prawa najsurowszą miarą
Mierzyć tę zbrodnię potworną; tak, nawet
Przekroczyć kazał wyroków granicę!
Mamy przed sobą więźniów, obwinionych
O ojcobójstwo i to pod świadectwem,
Które tortury wręcz usprawiedliwia.

BEATRICE. Czyjem świadectwem? Tego tu?

SĘDZIA.

A jakże.

BEATRICE (do Marzia).

Zbliż się. A ktoś ty, którego wybrano
Z tłumu żyjących, ażeby zabijał
Niewinność?

MARZIO. Marzio, dawny lennik ojca.

BEATRICE. Zwróć swoje oczy w moje; odpowiadaj,
Tak, jak się pytam (zwracając się do sędziów).

Proszę was, zważajcie

Na jego rysy; mniej czelny, niż potwarz,
Co patrzeć umie, chociaż nie śmie mówić,
On nie śmie patrzeć, chociaż mówić umie,
Wzrok swój ku ziemi zwraca niewidomej.

(Do MARZIA). Co? i ty twierdzisz, że zabija ojca?

MARZIO. O miejcie litość; mózg mi się zawraca —

Nie umiem mówić — Męki wycisnęły

Straszną mi prawdę. Precz mnie stąd zabierzcie!

Nie pozwalajcie jej tak patrzeć we mnie.

Ja łotr ten winny! ja ten łotr nikczemny!

Wyznałem wszystko, com wiedział. Niech umrę!

BEATRICE. Gdybym z natury miała być tak twardą,

Aby wymyśleć, panowie, tę zbrodnię,

O którą tego posądzacie sługę,

A którą z niego wycisnęły męki,
Czyż wy myślicie, żebym zostawiła
To obosieczne narzędzie mej zbrodni,
Tego człowieka i ten nóż skrwawiony,
Co moje imię ma na rękojeści
I leży nagi tu, wśród wrogów świata,
Dla mojej śmierci? Iżbym pominęła,
Gdy najgłębszego potrzeba milczenia,
Nic nie znaczącą ostrożność, by stróżem
Tej tajemnicy uczynić grób tego,
Któryby umiał ją wykraść? Cóż znaczy
To jego życie nikczemne? Cóż znaczą
Tysięczne życia? Jak proch ojcobójca
Byłby je zdeptał; a patrzcie! ten żyje!...
(Zwracając się do Marzia).

A ty ~

MARZIO. Litości! Nie mówcie nic więcej!
Ten wzrok surowy, lecz pełen litości,
Ten ton poważny ~ one więcej męczą,
Niż te tortury. (Do sędziów: Wyznałem wam wszystko!
Miejcie już litość; na śmierć mnie prowadźcie...

CAMILLO. Zbliźcie go, strażę, ku pannie Beatryks.
Drży przed jej wzrokiem, jak ten liść jesienny
Przed ostrem tchnieniem północnego wiatru.

BEATRICE. Ty, co drżysz dzisiaj na stromej krawędzi

Zycia i śmierci, która w obłąd wprawia,
Namysł się jeszcze, nim mi dasz odpowiedź,
Potem przed Bogiem z mniejszym stawaj strachem.
Co myśmy tobie zrobili? Niestety!
Zbyt mało lat ja żyłam na tym świecie
I tak się moje ułożyły losy,
Że budzącego się żywota chwile
Ojciec mi pierwszy przemieniał na krople,
Trujące błogą nadzieję młodości,
Potem mą duszę jednym przeszył cięciem
I moją wszystką nieskalaną sławę
I nawet spokój przeszył, który drzemie
W najserdeczniejszych głębokościach serca.
Ale ta rana nie była śmiertelną:
I tak nienawiść stała się jedyną
Moją modlitwą, którą zasylałam
Wielkiemu Ojcu, co w swej litościwej
Miłości ciebie, jak mówisz, uzbroił,
Aby go zabić. I tak jego wina
Mojem się stała dzisiaj oskarżeniem.
I ty chcesz zostać mym oskarżycielem?
Jeżeli pragniesz litości w niebiesiech,
To sprawiedliwy bądź tu na tej ziemi.
Od ręki krwawej gorsze twarde serce.
Kiedyś mordował, kiedy życiem całem
Deptałeś prawa Boga i człowieka,
Nie idź przed Sędzię i nie mów: „Mój Stwórcu,
Jam to popełnił i więcej: gdy jedna

Z wszystkich najczystsza i najniewinniejsza
Była na ziemi, ponieważ zносиła
Więcej, niż inna, z winą lub bez winy,
Zniosła gdykolwiek; ponieważ dla krzywd jej
Niema ni słowa ani myśli ludzkiej;
Ponieważ dłoń twa wyrwała ją wreszcie,
Przetom ją zabił swem słowem wraz z tymi,
Którzy jej krwi są. Pomyśl, co to znaczy
Zabić cześć, którą żywimy dla sławy
Niepokalanej i starego domu ~
Pomyśl, co znaczy zdusić dziecię ~ litość,
Ukołysane wiarą w wzrok niewinny,
Aż boleść w zbrodnię się zmieni. O pomyśl,
Co znaczy splamić krwią i hańbą wszystko,
Co się wydaje niewinnem i ~ Boże!
Ty mnie wysłuchaj! ~ przysięgam, przysięgam,
Że jest niewinnem; tak, że świat już traci
Wszystką różnicę między chytrem, czelnem
Okiem występku a tem, co ci teraz
Na me pytanie odpowiedzieć każe.
Mów, czym jest winną, czy nie, ojcobójstwa?

MARZIO. Tyś jest niewinną.

SĘDZIA.

Cóż to jest?

MARZIO.

Oświadczam,

Że oskarżona przezemnie niewinna!

Sam jestem winien.

SĘDZIA. Precz z nim na tortury!

A niech katusze będą wyszukane;
Niech będą długie, dopóki mu ściany
Najskrystszej serca komórki nie zerwą!
Nie odwiązujcie go prędzej, aż wyzna.

MARZIO. Męczcie, jak chcecie; mem ostatniem tchnieniem

Wyższą już prawdę wyrwała ostrzejsza
Boleść. Tak, ona zupełnie niewinna!
Wy psy krwiożercze! do syta nachłępcie
Tę krwi się mojej. Nie chcę, by to piękne
Dzieło natury poszło na zagładę.

(MARZIO wychodzi pod strażą)

CAMILLO. I cóż wy na to, panowie?

SĘDZIA.

Tortury

Niechaj wycisną prawdę, aż zbieleje
Jak śnieg, trzykrotnie mroźnym przesian wiatrem.

CAMILLO. Lecz niechaj przytem krwią się zaczerwieni.

SĘDZIA (do Beatryczy). Znacie ten papier?

BEATRICE.

Nie chwytaj mnie, panie,

W potrzask zapytań. Któż jest tutaj moim
Oskarżycielem? Ha! czy ty nim jesteś,
Coś jest mym sędzią? Oskarżyciel, świadek,

Sędzia — co? wszystko tak razem? Orsina
Tu oto imię; gdzież jest ten Orsino?
Przywieďte oczom go moim. Cóż znaczy
Owo piśmiǳło? Ach! i wy nie wiecie!
Chcecie-ż nas zabić, posądzając tylko,
Że w tem coś złego? (Wchodzi porucznik)

PORUCZNIK. Marzio już nie żyje.

SĘDZIA. I cóż powiedział?

PORUCZNIK. Nic. Wkręcony w koło,
Nic nie powiedział, tylko tak się zaśmiał,
Jak człek, szydzący z śmiertelnego wroga,
I, dech wstrzymawszy, skończył.

SĘDZIA. Nic innego
Nie pozostaje, jak wybadać więźniów,
Trwających w swoim uporze.

CAMILLO. Wy kroków
Dalszych nie czyńcie — zakazuję tego —
A za niewinne szlachetne osoby
Wstawię się dzisiaj u Świętego Ojca.

SĘDZIA. Niechaj tu Papież rozstrzyga. Tymczasem
Do cel osobnych prowadźcie zbrodniarzy.
A zasię miejcie tortury pod ręką:

Tej bowiem nocy, gdy wyrok Papieża
Będzie rozważny, jak dawniej, i święty
I sprawiedliwy, jak dawniej — ja prawdę
Z tych żył, z tych nerwów wycisnę męczarnią. (Wychodzą).

SCENA III.

Cela więzienna. — BEATRICE na łożku, śpi. — Wchodzi BERNARDO.

BERNARDO. Co za sen błogi spoczął na jej licu,
Jak myśl ostatnia pogodnego dzionka,
Żyjąca dalej wśród nocy i marzeń.
Po tylu nocy ubiegłej katuszach
Jakiż to lekki i spokojny oddech!
Biada! mnie pewno nie zasnąć już więcej!
Jednak ja muszę strząsnąć tę niebieską
Rosę spokoju z otwartego kwiatu;
Tak, zbudź się, zbudź się! siostró, jak ty jeszcze
Możesz spać tutaj!

BEATRICE (budzi się). Co dopiero śniłam,
Iżesmy wszyscy byli w raju. Odkąd
Niema już ojca, ty wiesz, że ta cela
Jest niby rajem.

BERNARDO. Siostró! droga siostró!
Oby ów sen twój nie był snem! O Boże!
Jak ja ci mam to powiedzieć?

BEATRICE. Cóż chciałeś,
Luby mój bracie, powiedzieć?

BERNARDO. Nie patrzaj
Z takim spokojem i szczęściem, bo we mnie,
Kiedy rozważę, co ci mam powiedzieć,
Serce się kraje.

BEATRICE. Ty mi łzy wyciskasz.
Jak opuszczonem będziesz, drogie dziecko,
Kiedy ja umrę! Mów, co chcesz powiedzieć?

BERNARDO. Wszystko wyznali; nie mogli znieść męki.

BEATRICE. Ha! cóż tam było do wyznania? Podłe,
Nikczemne kłamstwo musieli powiedzieć,
Ażeby schlebić swym katom. Czyż rzekli,
Że oni winni? Biała niewinności,
Że też ty musisz chować w maskę winy
Swoje szlachetne i pogodne lice
Przed tymi, co cię nie znają!

(Wchodzi SEDZIA oraz LUKREZIA i GIACOMO pod strażą).

O słabe
Serca! Za moment tych bolesnych dreszczów,
Co chyba tak są śmiertelne, jak członki,
Które wszak giną, zdeptano stuleci
Chwałę i wielkość! Ową wieczną świetność,

Co miała błyszczeć, jak słońce, nad dymem
Tej ziemskiej sławy, zmieniono w szyderstwo
I na przezwisko? Co? wy pozwolicie,
By wasze ciała, wlokąc się u kopyt
Końskich, zmiatały ślad bezmyślnej tłuszczy,
Co chcąc z naszego nieszczęścia urządzić
I nabożeństwa i igrzyska chwilę,
Rzuci kościoły i cyrki, tak puste,
Jako jej serca? Czyż ta próżna zgraja
Ma, podług swego widzimi się, klątwą
Lub zblakłą rzucać litością, jak kwiaty
Pogrzebowymi, na nasz trup żyjący,
Kiedy uchodzim, by już ujść na wieki
I pozostawić — jakąż pamięć bytu? —
Strach, krew i hańbę i rozpacz! ty matko,
— Byłaś nią zawsze dla nas biednych sierot —
O nie zabijaj swojego dziecięcia!
Niech cię i moja nie zabija boleść.
Bracie! tu przy mnie kładź się na tortury,
Bądźmy oboje milczący, jak zwłoki;
Wszak tu nam będzie tak miękko, jak w grobie.
Kłamstwo jedynie, które wyciskają
Wargom bojaźni, zamienia tortury
W krwawe narzędzie.

GIACOMO.

Nie długo i tobie

Wycisną prawdę te męki straszliwe;

Zlituj się sama nad sobą i wyznaj!

LUCREZIA. O, powiedz prawdę! Umrzyjmy coprędzej!
Bóg naszym sędzią po śmierci ~ nie oni,
On będzie dla nas litośny.

BERNARDO. Zaiste!
Jeśli to prawda, wyznaj, droga siostró,
A wtedy Papież napewno-ć przebaczy,
I wszystko dobrze się stanie.

SEŹDZIA. Wyznajcie,
Inaczej każe wam kości poskręcać
Wśród takich tortur ~

BEATRICE. Tortur! o zamienście
W wieczny kołowrót te wasze tortury!
Męczcie waszego psa, aż wam nie powie,
Kiedy to chleptał krew ostatnim razem —
Krew, którą przelał jego pan — lecz nie mnie!
Boleść ma w wnętrzu; moja boleść w sercu,
Boleść ma w duszy, w jej najgłębszej głębi —
W duszy, co płacze łzami gorzkiej żółci,
Widząc, jak w świecie, gdzie nikt nie jest prawym,
Krew ma jest fałszem wobec siebie samej.
Patrzac na cały ten żywot przeneźdźny,
Którym ja żyłam, i na nędźny koniec
I na tę nędźną sprawiedliwość, jaką
Niebo i ziemia wymierzają tutaj
Mnie i tym moim; i jakim ty jesteś

Nędznym oprawcą i ci tu jakimi
Są służalcami i jaki to tworzą
Świat ciemiężeni i ciemiężyciele!
Taką to boleść wyciska dziś ze mnie
Odpowiedź dla was. Cóż ty chcesz odemnie?

SEDZIA. Zali nie jesteś winną śmierci ojca?

BEATRICE. Oskarż ty raczej najwyższego sędziego,
Że mógł pozwolić na tak straszną zbrodnię,
Którą znosiłam, na którą On patrzył,
I że słów nie dał, ażeby ją nazwać,
I że za całą zostawił ucieczkę,
Za całą zemstę i za skutek cały
To, co wy śmiercią nazywacie ojca?
Czy jest lub nie jest tem, co zbrodnią zwiecie,
Czy ją spełniałam lub czy nie spełniałam,
Niech, jak chce, będzie — przeczyć już nie myślę;
Gdy tak pragniecie — niechże i tak będzie.
A z tem i koniec wszystkiego. A teraz
Czyńcie swą wolę; że mnie żadna inna
Nie wyrwie boleść innego już słowa.

SEDZIA. Winna jest czynu, choć się nie przyznaje,
To nam wystarczy. Pokąd nie zapadnie
Wyrok ostatni, nie obcujcie z nimi.
A i wam, młody mój panie, nie wolno
Dłużej tu zostać.

BEATRICE. O! wy go odemnie
Nie odrywajcie!

SĘDZIA (do straży). Czyńcie swą powinność.

BERNARDO. Czy chcecie ciało oddzielić od duszy?

PORUCZNIK. To rzecz jest kata.

(Wychodzą wszyscy. Zostają LUCREZIA, BEATRICE i GIACOMO).

GIACOMO. Czy ja się przyznałem?

Niema nadziei? ucieczki? Przeklęty,
Podły języku, coś mnie zgubił, lepiej
Było cię wyrwać, rzucić psom na pastwę!
Wprzód zabić ojca, potem siostrę wydać —
Ach! ja — na świecie zbrodniczym i brudnym
Jedyną duszę niewinną i czystą —
Wydać ją na to, na com ja zasłużył!
A moja żona! moje dzieci drobne...
Wskróż opuszczone! bez pomocy żadnej!...
A ja!... Ty Ojcie! Boże! Czy ty dzisiaj
Przebaczysz temu, który nie przebaczył,
Choć jego serce tak się kraje — kraje? —
(Zakrywa twarz i płacze).

LUCREZIA. O drogie dziecko! co za straszny koniec
Spotkał nas wszystkich! Dlaczegoż uległam?
Czemuż nie zniosłam katuszy? O, czemu

Nie rozplynęłam się cała w bezpłodnych
Łzach, które płyną daremnie!

BEATRICE.

Co było

Słabością czynić, większą jest słabością
Żałować tego, kiedy już spełnione —
Odwagi trzeba! Bóg, co zna mą krzywdę,
Co czyn nasz wczesny przemienił w anioła
Swojego gniewu, ten Bóg — tak się zdaje —
Ale się tylko zdaje — już nas dzisiaj
Opuścił wszystkich. Atoli nie sądźmy,
Że umieramy dziś za zbrodnię! Bracie,
Przybliź się do mnie; podaj rękę twardą;
Mężne tyś serce posiadał; do góry!
Do góry czoło! O pani najdroższa,
Złóż mi swą głowę na łonie i zaśnij:
Oczy twe zbladłe, zapadłe i błędne,
Ciężkie z czuwania i długiej zgryzoty!
Chodź! ja ci do snu zanucę piosenkę,
Starą i zwykłą, jednostajną piosenkę,
Którą wieśniaczki nasze nucą sobie
Przy kołowrotku, że aż przy tej pieśni
Zapominają, że żyją. Połóż się!
Tak! zaraz zacznę: Czyż tych słów nie pomnę?
Ha!... są smutniejsze, niżlim pomyślała —

„Cóż mi twój uśmiech i łez twych zdroj,
Gdy sen padł dziwny na żywot mój!

Cóż mi twój uśmiech i łyzy tve cóż,
Gdy zimne ciało snąć w trumnie już?
O bądź, fałszywy, zdrów!
Co znaczy szelest ów?
Waż w twym uśmiechu, mój drogi ty,
Gorzką trucizną są twoje łyzy!

* * *

Gdyby śmierć miała twą słodycz, śnie,
Lub gdybyś w śmierć się ty zmienił mnie,
Zamkłąbym oczy bolesne wraz,
By się nie zbudzić — na wieczny czas.
O świecie! żegnaj mi!
Słuchaj jak dzwon tam brzmiał...
„Ty i on idźcie“ tak mówi tu,
„Czy sercu lekko, czy ciężko mu!“...

SCENA IV.

Sala więzienna. — Wchodzi CAMILLO i BERNARDO.

CAMILLO. Papież niezgięty: nie złamiesz papieża;
Był tak spokojny, jak tortur narzędzie,
Które katuje i które zabija,
Nie czując wespół z tymi, których dręczy.
Głaz, prawo, zakon, zwyczaj — a nie człowiek.

Czoło namarszczył, jakby mu sprężyna
Jego maszyny zmarszczyć się kazała. —
Gdy mu rzecznicy przedłożą obronę,
Zgniótł ją i podarł i rzucił za siebie,
Mruczając surowym i ochrypłym głosem:
Któżby z was bronił ojca, zabitego
We śnie? Powiedzcie! Potem rzekł innemu:
„Ty mocą swego urzędu: to dobrze.”
A potem ku mnie, com o litość błagał,
Skierował zimne dwa słowa: „niech umrą”.

BERNARDO. A jednak wyście błagać nie przestali?

CAMILLO. Jam go cichemi chciał przekonać słowy
I przekładałem, że szatańskie czyny
Śmierć zgotowały występniemu ojcu.
A on mi na to: Paweł Santa Croce
Wczoraj, wieczorem, własną zabił matkę
I potem uciekł. Wnet, a ojcobójstwa
Do takich wzrosną rozmiarów, że młodzież —
Ze słuszných przyczyn wątpić nie należy —
Podławi wszystkich, gdy się zdrzemniem w krześle.
Siła, powaga i włos pobielały
Oto dziś zbrodnie śmiertelne. Krewniakiem
Jesteście moim — a dla nich o łaskę
Błagać przyśłicie. Zostańcie na chwilę:
Tu wyrok na nich; a nie rychlej wróćcie,
Póki nie będzie spełnion do ostatka.”

BEATRICE (wzburzona).

O ty mój Boże! czyliż to podobne,
Ażebym miała tak umrzeć gwałtownie,
Zstąpić tak młodą do ciemnej i zimnej,
Pełnej zgnilizny i gadu mogiły?
Zamknąć na zawsze we wąskiej się trumnie;
Nie widzieć więcej słonecznego blasku,
Nie słyszeć więcej jasnych życia głosów,
Nie tonąć więcej w tych powszednich myślach —
Co, chociaż smutne, dziś tak strasznie giną!
Nie być już niczem! albo być — i czemże?
Ach! gdzież ja jestem? Nie daj mi oszaleć,
Niebo najświętsze! przebacz myśl zbłąkaną!
Gdyby nie było ni Boga ni ludzi
Ani tej ziemi na tym pustym świecie
Na tym bezbrzeżnym, bezbarwnym, bezwiednym —
Na tym bezdennym i bezludnym świecie,
Gdyby to wszystko było duchem ojca,
Coby mnie jednej nie opuszczał chwili,
Jego żrenicą, jego głosem, dłonią,
Mojego życia zmarłego oddechem!
Gdyby tu znowu zeszła jego postać,
Postać, co tak mnie dręczyła na ziemi,
Okryta zmarszczką i włosiem zbielonym;
Gdyby w piekielny zamknęła mnie uścisk,
Wpiła swe oko w me oko, strąciła
Potem do grobu! do grobu! do grobu!
Bo czyż on jeden nie był wszechpotężnym

(Podczas ostatnich słów rozmawiał Giacomo w głębi sali z Camillem, który odchodzi: przystępuje Giacomo).

GIACOMO. Czy nie wiesz, matko — siostró, czy nie wiecie?
Bernardo właśnie poszedł, by wybłagać
Łaskę Papieża.

LUCREZIA. Może on przebaczy,
Dziecko! zostaniem przy życiu, by kiedyś
W dalekie lata mówić o tej dołi!
Ach, co za myśl to! Bije mi do serca,
Jak krew gorąca.

BEATRICE. Niedługo zastygną
I myśl i serce. Daj pokój tej myśli.
Niżeli rozpacz, niżli gorycz śmierci,
Gorszą nadzieja: jest to zło jedyne,
Co dosyć miejsca znajdzie w jednej chwili,
W jednej godzinie, ciasnej, drżącej, nikłej,
Wymykającej się nam z rąk. O raczej —
Raczej zaklinaj lotny oddech mrozu,
Aby oszczędził pierwsze kwiecie wiosny.
Zaklinaj ziemi zbudzone trzęsienie,
Gdzie wczoraj gród stał, silny, piękny, wolny,
A dzisiaj zaduch i pomrok grobowy:
O, głód zaklinaj i dżumę, co wiatrem
Mknie oskrzydłona; ślepą błyskawicę
I głuche morze zaklinaj — nie człeka!

Krwawego człeka, zimnego świętoszka,
Co, sprawiedliwym będąc w słowach, w czynach,
Jest jako Kain. Nie, matko, umrzemy:
Oto zapłata za żywot niewinny,
Oto jest słodycz za żółć najprzykrzejszą.
A gdy żyć będą ci, co nas zabili,
Gdy ludzie twardzi i zimni z uśmiechem
Kroczyć tu będą po tym łez padole
Ku owej śmierci, jak ku snom żywota,
Dla nas nieznaną będzie grób rozkoszą!
Chodź, ciemna śmierci, pochwyć mnie w ramiona,
Którymi wszystko ogarniasz. Jak matka,
Oszołomiona miłością, ukołysz mnie do snu,
Z którego nikt się nie budzi! O żyjcie,
Wy, co żyjecie, słuźalce słuźalców,
Tak jak my niegdyś, a teraz ~

BERNARDO (wpada). O strasznie!

Że też spojrzenia, że łzy, że nadzieja,
Rozlana w prośbach, aż serce z rozpaczy
Stało się próżnią, miały być płonnemi!
U bram już śmierci czekają zwiastuny.
Zdawało mi się, żem krew na jednego
Widział obliczu. Oby snem to było.
Wnet krew serdeczna tych, których kochałem,
Jego obryzga, a on ją tak zetrze,
Jak gdyby tylko była kroplą deszczu.
O życie! świecie! skryjcie mnie, niech śladu

Nie będzie po mnie! Widzieć, jak strzaskano
To niewinności przeczystej zwierciadło,
W które ja patrząc, stawałem się dobrym
O, i szczęśliwym! Widzieć, Beatrycze,
Coś wszystko w piękność zmieniała swym wzrokiem —
Widzieć cię, światło życia, zmarłą, zgasłą!
Kiedy zawołam: siostró! ach usłyszeć,
Że nie mam siostry! I ty matko moja,
Któraś miłością swoją niby węzłem,
Spajała miłość nas wszystkich — umarła!
Porwany węzeł już słodki! (Wchodzi CAMILLO i STRAŻE).

Nadchodzą!

Niech ucałuję twe gorące usta,
Pokąd nie zwiędnie, nie zblaknie, nie zziębnie
Karmazynowe ich kwiecie. Pożegnań
Powiedz mi słowo, pokąd łagodnego
Śmierć nie przytłumi ci głosu! Ach! niechaj
Usłyszę ciebie raz jeszcze.

BEATRICE.

O żegnaj,

Żegnaj, mój bracie! Noś zawsze wspomnienie
Naszego losu z godnością, jak teraz,
Staraj się ulżyć łagodną i cichą
Myślą swej trosce. Nie gub się w rozpacz,
Lecz w cierpliwości i łzach. Jeszcze jedno,
Me dziecko: wiernym dla własnego dobra
Zostań miłości, któraś nas obdarzała;
I owej wierze, że choć dziś mnie zakrył

Ponury obłok występku i hańby,
Niepokalaną wciąż żyłam i czystą.
Chociaż mnie ranić będą złe języki,
Choć nasze imię jako piętno hańby
Na twej niewinnej wyryje się skroni,
Tak, że przechodnie wskazywać nań będą,
Znoś to i nie myśl o tych myślą wstrętną,
Co cię kochają jeszcze w swych mogiłach,
Potem umieraj, jak ja, bez boleści
I bez bojaźni. Żegnaj! żegnaj! żegnaj!

BERNARDO. Trudno ach! wyrzec mi „żegnaj!”

CAMILLO.

O pan!...

BEATRICE. Nie oddawajcie daremnym się żalom,
Drogi mój panie kardynale. Matko,
Ściągnij przepaskę i w skromny mi węzeł
Powiązaj włosy: o tak, dobrze, dobrze.
A twoje widzę, że są rozpuszczone.
Jak często myśmy pomagały sobie!
Dziś to czynimy raz ostatni. Panie,
Myśmy gotowe — dobrze, bardzo dobrze.

KONIEC.

THE HISTORY OF THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

BY SAMUEL JOHNSON

IN TWO VOLUMES

LONDON: Printed by A. MILLAR, in Pall-mall.

1729.

MDCCXXIX.

THE HISTORY OF THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

BY SAMUEL JOHNSON

IN TWO VOLUMES

LONDON: Printed by A. MILLAR, in Pall-mall.

1729.

MDCCXXIX.

PIPPA PRZECHODZI

THE HISTORY OF THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

IN WHICH ARE CONTAINED THE

CAUSES, THE CONDUCT, AND THE

ISSUES OF THE

WAR OF THE ROSES

BY

JOHN RICHARDSON

OF THE MIDDLE TEMPLE

ESQ.

LONDON: Printed by J. Sturges, at the

Sign of the Anchor, in St. Dunstons Church-yard

1704.

IN TWO VOLUMES.

THE FIRST VOLUME.

THE SECOND VOLUME.

THE THIRD VOLUME.

THE FOURTH VOLUME.

THE FIFTH VOLUME.

THE SIXTH VOLUME.

THE SEVENTH VOLUME.

THE EIGHTH VOLUME.

THE NINTH VOLUME.

THE TENTH VOLUME.

THE ELEVENTH VOLUME.

THE TWELFTH VOLUME.

PROLOG

THE HISTORY OF THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

IN WHICH ARE CONTAINED THE

CAUSES, THE CONDUCT, AND THE

ISSUES OF THE

WARRE BETWEEN HIM AND HIS

PARLIAMENTS

BY SAMUEL JOHNSON

IN TWO VOLUMES

LONDON: Printed by A. MILLAR, in

St. Pauls Church-Yard, 1739.

THE HISTORY OF THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

IN WHICH ARE CONTAINED THE

CAUSES, THE CONDUCT, AND THE

ISSUES OF THE

WARRE BETWEEN HIM AND HIS

PARLIAMENTS

BY SAMUEL JOHNSON

IN TWO VOLUMES

LONDON: Printed by A. MILLAR, in

St. Pauls Church-Yard, 1739.

Dzień Nowego Roku w Asolo w Trewizańskim. Wielka, niska, przewiewna izba. Młoda dziewczyna z przędzalni jedwabiu.

PIPPA (wstając z łóżka :) Dzień!

Nad nocy krawędzie

W coraz to szybszym wytryska już pędzie

Niepokalone złoto, nad puharu

Chmurnego brzegi wytryska, gdzie żaru

Potęęę więził nieprzebyty cień!

Przed chwilą jeszcze ani kropla piany

Nie wystąpiła nad kielich, ulany

Z wschodnich obłoków, a teraz z tych tchnień

Przepromienistych kipiącej powodzi

Niezwyciężone, kraśne słońce wschodzi

I, skacząc naprzód, z ogniem, wrzącym w łonie,

Rozlewa fale złota, w których świat nasz tonie.

*

Jeśli z skarbnicy mych godzin choć zdźbło,

Choć jedno ziarnko zmarnuję, jeżeli,

O Dniu, roztrwonię coś z twej mocy jasnej,
Z wszystkiego, co mi wybór twój czy los udzieli
(Bądź dasz mi zmuszon, bądź też z woli własnej,
Bądź chęćka cię popędzi, bądź natchną anieli),
Jeśli choć kroplę zniszczę z twej topieli,
Niech spadnie na Asolo wstyd, a na mnie zło.

*

Twych godzin długa, zbłękitniona rzeka,
Dająca ziemi i szczęście i siłę —
Tych chwil, słonecznych prąd, który ucieka,
Wciąż się zmieniając, jak trudy niemiłe
Zamienia życie na słodkie zabawy —
Niech dzisiaj do mnie należy! Łaskawy
Bądź dzisiaj na mnie, nie obchodź się ze mną
Jak z tymi ludźmi, co, mając przyjemną
Dolę, gotowi przyjmować twe dary,
Ale i rzec się umieją bez troski,
Jeżeli im dłoń twa niechętna! Dniu boski,
Dniu mego święta! Wszystek mózół stary
Wróci znów jutro, jeśli mnie, tę biedną
Pipkę, opuścisz; lecz jeśli w tej dobie
Sprzyjać mi będziesz, lekceważę sobie
Jarzmo jutrzejsze! Wszystkie troski zbledną!
Inne kobiety i inni mężczyźni
Dni mają zawsze jednakie; im bliźni
Większą ma boleść, tem większą rozkoszą
Losy ich raczą; rzadką troskę płoszą

Nadmiarem szczęścia! Bóg mi dał li ciebie ~
Czem ziemia cała i czem myśl o niebie,
Jeśli zawiedziesz? ~ Światło twego słońca
Ma na rok cały starczyć mi, do końca!
A więc do dzieła bierz się skrzętnie, skoro!
Na tych w Asolo najszczęśliwszych czworo
Zwróć swoje oczy! Choćbyś deszcz poranka
Spuścił na pychę Ottimy, kochanka
Czyż to powstrzyma? Czyż Sebald się zrzeknie
Swoich zalotów? Niechaj deszcz pocieknie,
Niechaj im z wiatrem bije w okiennice,
On jeszcze żarniej przytuli jej lice,
Całować będzie goręcej i dłużej,
A ona czyż się ulęknie tej burzy?
Gdy się w południe ciemny mrok rozściele
Nad Juliuszem i Feną, nie wiele
Zechce się troszczyć oblubieniec o to:
Dzień to ich ślubu. Wracając z kościoła
Dłoń w dłoń, ta para szczęśliwa, wesoła,
Czuć tylko będzie w swoim sercu złoto
Blasków słonecznych! Wieczór otul w mrocznie
Mgieł, czy też boleść jakowa rozpocznie
Trapić Luigi'a i matkę? Ona
Tak-ci jest wiekiem swym uszczęśliwiona,
Jak on młodością. Gdy ty chmurne oczy
Zwrócisz ku ziemi, ciepłem ich otoczy
Ten gród bezpieczny. Na Monsinjora
Niech wreszcie z tęczą spadnie nocy pora,

Na dostojnika, który, długie lata
Oczekiwany z Rzymu, w domu brata
Zjawił się dzisiaj, aby przez msze święte
Ratować dusze od piekieł: nietknięte
Zostawi burza jego włosy: modły,
Mawiane przezeń u pańskich ołtarzy
Odpędzą gromy — bez anielskiej straży, —
Któreby dzisiaj twe ręce przywiodły.
Za to ja, Pippa, w tej przędzalni mojej,
Gdy dzień dzisiejszy złego mi nabroji,
Żadnej rok cały nie znajdę ostoji.

*

Lecz ja tu trawię czas bez końca!
Dumny promyku słońca!
Choć twoja chyżość niezrównana,
Schwycił cię bryzg z mego dzbana!
Czyż zbyt przepełnion jest mój dzban?
Jeden bryzg wody pobudzi cię w tan:
Jakie twa iskra wesoła
Zatacza kręgi i koła,
Jak się snuje,
Jak wiruje;
Na powale
Jak się w jedną zlewa falę —
Nic jej powstrzymać nie zdoła!

*

Oby się na tem twój rozum wsparł!
Kto pierwszy zobaczy gasnący żar,
Ten ujrzy właśnie,
Jak skra za iskrą gaśnie,
Jak ninie
Wesoło, radośnie ginie!...
Lecz gdzież się podział mój promyczek miły?
Na czym się jego iskiereki skupiły?
A! zakwitnąłeś, mój kwiatku ognisty?
Świętej Agnieszki pierś nie ma tej krasy,
Co ty, kochanku mój, łasy
Na promień słońca! A takiś mięsisty,
Jak to podgardle indyka! Gdy w fali
Morskiej zobaczą rusalki koralu
Rozgałęzione snopy,
Pomyślą sobie w te tropy,
Żeś to ty zakwitł, a ja, że płomienie,
Jak tve, czerwone, rozpraszają cienie
Świata! Twą jestem królową,
Chronić tve kwiecie gotową
(Lepiej, niż kwiat swój pękówka obroni
Lub swą zawartość owa muszka w toni)
Od gada i owada!
Śmiej się w mem oknie — niech wpada
Pszczołka do ciebie, lecz patrzący na nią,
Kochaj wciąż mnie, swoją panią!

*

Bo któż jest więcej wart? Dziś przecież będę,
Czem tylko zechcę. Jak ja dzień ten spędzę?
Ranek, południe, wieczór, noc? Nim siędę
Jutro w przedzalni, aby za swą przędzę
Mieć kąsek chleba i garnuszek mleka?
Niechaj rok cały troska na mnie czeka,
Lecz dzień dzisiejszy prześnię, niech mi zadość
Uczyni dzisiaj wymarzona radość,
Niech mnie nawiedzi i rozkoszą ludzi
Czworga w Asolo najszczęśliwszych ludzi.

Tam, u stóp wzgórza, w blasku tego rana
Będę miłością świata miłowana!
Będę Ottimą! Zważcie: już są moje
Ta kamienica, ten ogród i w zwoje
Kwiatów spowity ten domeczek mały,
Gdzie tak się w słońcu szyby rozbłyszczały,
Gdzie się, jak zwykle, zakrada do dźwierzy
Sebald, a Luka stary jeszcze leży —
Gdzie — — — cóż się dzieje, zanim się nareszcie
Drzwi te otworzą? Ludziska po mieście
Dość mają przyczyn aby mówić o mnie —
Nie! — o Ottimie, która tak ogromnie
Śmiała i czelna jest od pewnej pory,
Że milknie język, choć milczeć nie skory.
Jak my to gadać będziem, święty Panie!

Lecz miłość! miłość!... Znam ja miłowanie
Lepsze, niż szal ten, którym dzień się zacznie!
Z drugiej miłości nikomu niebacznie

Szydzić nie wolno! Wszak to dziś w południe
Powracać będą cudnie
Z tumu w Possagno narzeczeni moi?
Dom ich w dolinie nad Orkaną stoi,
Czemuż ja, bywszy Ottimą, nie mogę
Być narzeczoną? Przybyła
Dziś w nocy ta panna miła:
Widziałam-ci ją, zaszedłszy jej drogę, —
Jeżeli to się nazywa widzeniem:
Błysk śnieżnej skroni, przysłonięty cieniem
Czarnych warkoczy — możeż ujrzeć człowiek
Coś czarniejszego nad rzęsy jej powiek?
Ona nie ufa, widać, tej przesłonie,
Gdyż bladość swego lica
Ta piękna oblubienica
Wstydliwie w gęstym ukryła welonie...
Tak, oko twoje patrzeć na nią może,
Lecz, Juliuszu, dotknąć się broń Boże! —
Jest jako lilja, której wątłe kwiecie
Najmniejszy powiew rozwieje i zmiecie!
Łatwy i miękki byt mają te panie!
Ej! niech nam białość lica pozostanie,
Brew niech dziewiczy blask zachowa,
Noga swe kształty, choć gotowa
Brodzić po kostki w kałuży,
Tak, jak się nieraz zanurzy
W błocie ta stopa ma bosa!...
Mógłby-ż mieć Juliusz gdzie rozkoszy więcej,

Niż którą dał mu całunek dziecięcy?
Zazdrościć tego? Chrońcie mnie niebios!

Nie! nie zazdroszczę! Gdybyście mi dali
Prawo wyboru, czyż mniemacie,
Iż takich pragnień czar się we mnie pali?
Nie! jabym miłość wybrała, co stracie
Ani też zyskom nie podlega! Żonę
Wnet znienawidzi mąż, kochanek chłodnie,
A tylko miłość ku rodzicom, godnie
Żyć może wiecznie — dni ma utrwalone.
Oto syn z matką siedzą razem w wieży
Cichym wieczorem... Czyż mi nie należy
Być dziś Luigim? Niech i ja tam spocznę!
Oto, życzenia szepcząc noworoczne,
Niby dwa ptaki świergocą ze sobą,
Gniazdo jaszczurek, z mchu na czas zimowy
Zwite, cichemi rozrzucają słowa.
Od dawna patrzę, jak wieczorną dobą
Lubią w tę naszą zachodzić ruinę
I od kochanków ciszej w tę godzinę
Gwarzą, przyjaźniej, niżli przyjaciele.
Niech i ja poznam opieki wesele,
Niech i mnie miłość swym czarem otoczy,
Niech i ja będę Luigim!... Gdzie oczy
Mojej są matki? i mego rodzica?...
Jakżeby ujrzeć pragnęła ich lica!

Lecz miłość Boga zawszeć jest najświętsza;
Miłość tę pragnę czuć wśród mego wnętrza,

Tak, jak ją czuje w pałacu przy tumie
Zacny monsignor, który w noc dzisiejszą
Ma dom poświęcić nieboszczyka brata:
Oby miłością nagroził niemniejszą
Pan Bóg to serce, co tak kochać umie,
Co wiecznie bije dla całego świata!
Tym zacnym, drogim chcę dziś być kapłanem.

Czekajcie tylko! Bo i mnie jest danem,
Z miłości bożej coś i na mnie spada —
Pieśń noworoczna tak o tem powiada:

Bóg wszystkim rządzi; od tej chwili,
Gdyśmy się na świat narodzili,
On naszym Panem zawsze, wszędzie!
Wszyscyśmy Boga rąk narzędzie,
I zły i dobry w Jego matni,
I nikt tu pierwszy, nikt ostatni.

*

Nie mów: rzecz mała! Większe rzeczy
Czyż ci trud większy zabezpieczy?
Od spraw ogromu, z których człeka
Składa się żywot, niech ucieka
Duch mój! Rzecz dobrą spełnię jedną,
A potem złożę głowę biedną.

*

I innych jeszcze prawd tu znajdziesz wiele.
Tak! pójdę ku nim, ujrzę ich wesele,

Ale zazdrości nic we mnie nie zbudzi ~
I jam też wielka, potrzebna dla ludzi
I miła Bogu! Tyle troski
Sprawia ten święty dzionek boski!
Nic to! Niech słońce z nieba
Świeci, a łez nie potrzeba!...
Pójdiesz ty ze mną, dniu mój drogi,
Na śmione rosą traw rozłogi,
Pójdiesz w gałęzi mrok ten wraży,
W ten piniowy las ponury,
Tam, gdzie nie wzbiła się do góry
Żadna jaskółka, gdzie nie waży
Świerszcz się odezwać ~ ej! nie waży!
(Wychodzi na ulicę).

I.

PORANEK

THE HISTORY OF THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

IN WHICH ARE CONTAINED THE

CAUSES, THE CONDUCT, AND THE

ISSUES OF THE

WARRE OF THE ROSES

BY

JOHN RICHARDSON

OF THE MIDDLE TEMPLE

ESQ; AND

OF THE ORDER OF THE BATH

IN TWO VOLUMES.

LONDON: Printed by J. Sturges, at the

Sign of the Anchor, in Pall-mall, 1704.

THE SECOND VOLUME.

IN WHICH ARE CONTAINED THE

CAUSES, THE CONDUCT, AND THE

ISSUES OF THE

WARRE OF THE ROSES

BY

JOHN RICHARDSON

OF THE MIDDLE TEMPLE

ESQ; AND

OF THE ORDER OF THE BATH

Stowarzyszenie bibliotekarzy
Krajowa Biblioteka
Krajoznictwa i Turystyki
ul. Słowackiego 10
00-900 Warszawa

Zbocze góry. Domek ogrodowy. OTTIMA, żona Luki i kochanek jej,
niemiec SEBALD.

SEBALD (śpiewa). Otwórz powieki, z zórz
Rannych dzień powstał już,
Do nocy pij tę kruż.

OTTIMA. To noc? A może u was tam nad Renem
Zwiecie to nocą? My ten blask czerwony,
Przeciskający się wśród szpar okienic,
Zowiemy ranem... Tylko się nie potknij!
O, jakie pęki geranij! Za ramę
Schwyć okienice! Czyż to tak? Sebaldzie,
Kurz wszystek strącasz na mnie — proszę, odsuń
Rygiel — — Tak, powiedz, jesteś kontent wreszcie?
Czyż się o inną mam postarać zdobyć?
Teraz pocałuj i — zgoda! Co? Jasny
Dzień? A więc — cicho!

SEBALD. Zawsze tak bywało.
Dom wasz, pamiętam, zawsze był zamknięty

Aż do południa; widziałem to, rankiem
Biegnać tu dotąd przez pola. Dziewuchy
Wiejskie gdakały, piorąc suknie w rzece,
Parobcy siwe popędzali woły,
A dom wasz milczał, nie otwierał oczu —
I sprawiedliwie: tak się tu krzątałaś,
Jak tam Przyroda. Spojrzałem do góry:
Surowe, białe z drzewa okienice,
Rdzawe, żelazne zasuwy, milczące,
Jak śmierć, ośleple w tym potoku światła.
Pamiętam — chłopci się śmiali, mówiący:
„Stary mąż z młodą śpi żoną“... Tak, dom ten,
To krzesło, okno to — to wszystko jego!

OTTIMA. A! jasne rano!... Spójrz: Święty Marek!
Ten ciemny pasek to dzwonnica!... Tutaj
Leży Wiczenca... Tam Padwa! Ten błękit
Dość jest głęboki! Patrz poprzez me ramię,
Idź za mym palcem!

SEBALD. Rano! Mnie się widzi
Noc to ze słońcem! Gdzież rosa? gdzie świeżość?
Ten kwiat złamany, który wczoraj wieczór
Złamałem, wchodząc przez okno, dotychczas
Wisi, jak wisiał; tu, na tej poręczy,
Ślad mego łokcia — w kurzu...

OTTIMA. Zamknij, proszę
Te okienice!

OTTIMA. Masz tutaj wino ~ przyniosłam je z domu ~ ~
Są i kieliszki ~ wino w dwóch gatunkach ~ ~
Białe? Czerwone?

SEBALD. Czym ja nie poderznął
Gardła? A ty czem jesteś?

OTTIMA. Patrz, od tumu
Idzie Kapucyn Benet w swym habicie,
Boso ~ na jednym zawsze stoi miejscu,
U południowej bramy, przylepiony
Do szarych głazów; zawszeć zimnym, szarym
Wydawał mi się głazem, gdy się zrywał,
Aby mnie puścić ~ takim mi się zawsze,
Mówię, wydawał; lecz dziś ta posępna
Tak mnie przygniata postać, że te mury
Wydają mi się raczej jego częstką ~
Takim mnie dreszczem przejmuje... Sebaldzie,
Tego?

SEBALD. Nie! Białe!... Ślubowałem sobie,
Że nie napotka mnie na drodze hańby
Żaden Rok Nowy ~ i nie spotka!... Nalej!
Na zdrowie czarnych twych oczu!... Czy pomnisz
Ten nasz ostatni Nowy Rok ~ przekłuty?

OTTIMA. Sztychy-ś mi przyniósł obce. Siedzieliśmy
Nad owocami i winem. Myślałam,
Jakby go odwieść od kominka... Poszedł,

Kiedym mu rzekła, że paki czekają
Jeszcze na stempel.

SEBALD. Tak, on już nie żyje,
Aby cię pieścić w mych oczach...

OTTIMA. Więc ty mnie
Popieść! Któż za to odbierze ci życie,
O mój Sebaldzie!

SEBALD. Posłuchaj, Ottimo!
Jednego strzedz się trzeba. Niezbyt wiele
Robić zachodów — to znaczy, nie więcej
Dziś okazywać ciepła i umizgów,
Niżeli wczoraj i że, luba moja,
Całkiem zbyteczne są nowe dowody,
Iż cię miłuję, miłuję wbrew Luce
I wbrew wszystkiemu, co go dziś spotkało!
Dowód to pewny, że wciąż mamy w myśli
Siwego zrządę i jego wyrzuty.
Trzeba się także, luba, i posprzeczać,
Że niby jeszcze mozem stracić siebie,
Żeśmy do siebie nie przykuci? Prawda?

OTTIMA. Luby!

SEBALD. Na wieki nie związani... Powiedz;
Że, obrażony przezeń, za obelgę

Jam mu zapłacił, jakem pewien ciebie,
Pewien na zawsze?

OTTIMA. Luby! jedna rada
Pogania drugą: Gdybyśmy tak wówczas ~
Przed miesiącami, w pierwszych dniach miłości,
Gdyśmy się w piękny poranek majowy
Ku zielonemu zakradali wzgórzu,
Ku sykomorom ~ gdybyśmy tak nagle
Na coś takiego natrafili ~

SEBALD. Znowu
„Na coś takiego“!

OTTIMA. Na ciało Wenery!
Gdybyśmy, mówię, natrafili wówczas
Na mego męża, Luki Gaddiego,
Zamordowane zwłoki, tak, ukryte
Pod jego łóżkiem, czyżbyś wzrok w nie wlepił,
Jak dziś? dlaczego patrzysz w nie tak długo?
Tak samo on jest tu, jako był naówczas
W tym opuszczonym domu... Ty nie możesz
Oderwać oczu od niego; co do mnie,
Ja go dziś jeszcze bardziej nienawidzę ~ ~
Tak!... nienawidzę! ~ trzęsą ci się nogi? ~ ~
Jabym wróciła tam, wzięła za obie
Umarłe ręce i rzekła: „Ha! bardziej
Jać nienawidzę, Luko, niż ~ ~“

SEBALD.

Precz! Odejdź

Z temi rękami ~ ~ to wieczór upalny ~ ~
Precz!... czy to rano?...

OTTIMA.

Jedno trzeba zrobić ~ ~

Wiesz, co ~ ~ dopomóż mi go wynieść!... Noc tę
Możemy przespać gdzieś w tym pustym domu.

SEBALD. A cóż się stanie, gdy go zostawimy

Tak, jak tu leży? Aż go aniołowie
Zabiorą sobie!... Niech leży! Zobaczysz,
Teraz już z twarzą leży obróconą.

OTTIMA. Ta ciemna szyba będzie mi zwierciadłem ~ ~

Trzy, cztery ~ cztery siwe włosy! Takaż
Ma dziś otoczyć fala moją szyję?
Nie ~ taka!

SEBALD. Białąbym twą szyję oddał

I te ramiona lśniste i te piersi,
Byle się było to nie stało!... Zabić!...
Zabić, Ottimo, świat ~ ~ niech Luka żyje!
Niechaj ożyje, choćby cię miał znowu
Wstrętną opluwać czułością, udawać
Znowu zdziwienie, żem wrócił na wieczór,
Jakkolwiek całym spędził tutaj ranek, ~
Choćby mi kazał pójść precz z tego domu,
Chciałbym ~ ~

OTTIMA.

Patrz!

SEBALD.

Skończę!... Myślisz, że się boję

Nagich słów prawdy? Wszystko, cośmy razem

Tutaj mówili, łatwo da się znosić!

Wina ma swoją zapłatę! Zuchwałym

Być i szczęśliwym! Cóż warta poza tem

Młodość? Niech starość opłakuje grzeszne,

W szalonym wirze przepędzone lata!

Lecz myśmy żyli, grzech to był godziwy.

Lecz jeść chleb Luki, nosić jego suknie,

Czuć, jak wypycha jego grosz mą kieszeń —

Czy są powieści, gdzieby kochankowie

Taką szli drogą? Umierałem z głodu,

Kiedym tu przyszedł uczyć się muzyki,

Gdyś mi te kwiaty zerwała! — —

OTTIMA.

O biedny

Mój przyjacielu!

SEBALD.

Ni mniej, ani więcej —

On dał mi życie. Cóż, iżby o zdradę

Mógł mnie posądzać i grozić? — czyż nie był

W prawie? Czyż możnaby się dziwić? Siedział

Z nami przy stole spokojny — musiałas

Tak się nachylić, iżby się ze sobą

Spotkały nasze twarze? Cóż innego

Miał on uczynić, niż wyciąć policzek?

Tu nie o zbrodnię idzie — dziesięć zbrodni
Spełniłbym — większych, byle tej nie było!
A ty?... Co czujesz? Mów, współczujesz ze mną?

OTTIMA. Kocham cię więcej, niżli kiedykolwiek —
Kocham cię mocniej (patrz na mnie, gdy mówię)
Za twoją zbrodnię. Nie żalę się również,
Że tej udanej niewinności maska,
Że to obłudne uczucie prostoty
Tak się rozpada w obliczu tej zbrodni.
Nie możesz spojrzeć ku tej zbrodni nagiej?
Ściągnij ją wzrokiem na dół! Wielka? owszem,
Niech będzie wielka! Aleć te rozkosze,
Które nam dała, czyż jej nie opłaca?
Ta albo tamte! Nie mów nic! A przeszłość?
Oddałbyś przeszłość taką, jaką była,
Łącząca rozkosz z zbrodnią? To południe,
Kiedym ci miłość wyznała? Tę ciszę
Sadu? Tę jedną pszczołkę, o, tak skrzętną,
A która nagle tak znikła? Odgadłeś
Schron jej w kielichu drżącego dzwoneczka — —
Któż mi to szeptał: Kocham cię?

SEBALD.

A jednak

Wstecz się cofnąłem, zdaleka od siebie
Trzymałem twarz twą w rękach, bom w niej ginał,
Bo zdało mi się, że mej krwi spragniona
I mego ciała...

OTTIMA. A gdym ci zuchwale
Kazała tutaj skradać się w poranki ~ ~

SEBALD. A ja spoglądał ku temu domowi,
Póki się w szybie okna nie rozpułynał
Czerwony ogień w żółtą mgłę?

OTTIMA. Mój znak to ~
Odblask czerwony na wyschniętym boku
Tego kasztana, którego się dotknął
Pierwszy przymrozek.

SEBALD. Zawsześ wyśmiewała
Mokre me nogi; brnąłem pośród trawy
Powyżej kostek.

OTTIMA. Potem noc ta nasza ~
Szczyt i korona ~

SEBALD. Tak, to noc lipcowa.

OTTIMA. I dzień, Sebaldzie, kiedy słupy niebios
Zdawały giąć się pod wielkim upałem,
Gdy spadał na nas ten ciemno-błękitny
Namiot i jeszcze bardziej nas przyciskał,
Wszelakie chłonąc życie, prócz naszego ~
Tak leżeliśmy oboje, aż przyszła
Burza...

SEBALD. Ach! jaka burza!

OTTIMA. W głębi lasu

Tak leżeliśmy oboje — pamiętasz?...
Nad nami burza biegła, jakby kogoś
Poszukiwała; od czasu do czasu
Biały, płomienny pocisk wskroś przecinał
Ciemny dach pinij, paląc się to tutaj,
To tam, jak gdyby bronią swą ognistą
Zadawał razy albo je odbijał
Jakiś posłaniec boży, współczujący
Twojej i mojej winie; potem straszny
Huczał nad nami grzmot, ni ogrom morza — —

SEBALD. Tak — —

OTTIMA. Ja na ciebie rzuciłam się wtedy

I z ręką w rękę, z ustami na uściech,
Włos rozpuściłam, aby zakryć ciebie,
Ciebie, Sebaldzie — —

SEBALD. Ach! Ottimo, ciszej!...

OTTIMA. Gdyśmy leżeli tam — — —

SEBALD. Nie tak namiętnie!

Kochaj mnie, przebacz; nie bierz słów do serca!
Twój oddech gorszy od wina — Oddychaj
Ciszej, mów ciszej! Nie kładź się tak na mnie!

OTTIMA. Gdyśmy leżeli, wznosząc się, Sebaldzie,
I opadając wraz z naszym oddechem,
Któż to powiedział: „Teraz umrzeć pragnę?
Tak! śmierć niech przyjdzie i kara! O, taką
Winę opłacić może tylko boleść“ —
Któż to powiedział? Kto?

SEBALD. Jak myśmy wstali?
Byłoż to we śnie? Jak się to skończyło?

OTTIMA. Czułam, wilgotną pochwyciłeś wargą
Skłębione końce mych włosów — o, patrzaj,
Włos mój znów opadł, zwiąż go!

SEBALD. O ma łuba!
Całuję ciebie, raz jeszcze całuję —
Czy mi przebaczysz? Będziesz mi znów dawną
Wielką królową?

OTTIMA. Po trzykroć mi owiń
Skroń, na królową swą mnie ukoronuj,
Na panią swego ducha, przewspaniałą
W grzechu.

(Z wewnątrz dolatuje głos: to)

PIPPA (śpiewa:) Rok wita już wiosnę,
Dzień wstaje z obsłonek;
Na wzgórzach lśnią rosy

Blaskami złotemi!
Zanucił radosne
Piosenki skowronek;
Ślą łaskę niebiosy,
Jest dobrze na ziemi!...

(PIPPA przechodzi).

SEBALD. Niebiosy łaskę ślą! Któż to powiedział?
Tyś powiedziała?

OTTIMA. Nie! To ta obdarta,
Mała dziewczyna była tu na schodach.
Przez rok im cały jedno dajem święto.
Nie byłeś w naszych przędzalniach jedwabiu?
Mamy ich dziesięć. Należą do ciebie.
Zrywa stokrotki może... Sza!... nie słyszy.
Zawołaj głośniej.

SEBALD. Daj spokój! Weź suknie,
Zakryj ramiona!

OTTIMA. Sebaldzie!

SEBALD. Zmyj róż ten!
Ja nienawidzę cię!

OTTIMA. Nędzniku!

SEBALD. Boże!
Jak mi się pustą wydaje w tej chwili!

Jak utraciła swe wdzięki! A przecież
Ongi to były wdzięki niezwyčajne!
Zbladłe policzki zwisają bez ładu,
Rysów nie łączy razem żaden zamiar,
Tylko te bruzdy na czole i zwiędłość
Brody na swoim są miejscu. Tak, nawet
Włos ten, co życie zdał się mieć szczególne,
Spada dziś przędzą umarłą!

OTTIMA. Mów do mnie,
Nie o mnie!

SEBALD. Wielkie, okrągłe to lico,
Co w swym spokoju rozkosznym nie było
Snać do zniszczenia, jakżeś jest zniszczone!

OTTIMA. Do mnie, nie o mnie! Niewdzięczny oszuście!
Nikczemny tchórz! Niewdzięczność twa gorsza
Ponadewszystko! Żebrak! mój służalec —
Fałsz pełzający! Mnie rzucać! Mnie zdradzać!
Znam cię, ty fałszu, co chodzisz, jesz, pijesz! — —

SEBALD. Te chorobliwe, zielonawe plecy —
Czym ja nie widział, że krwi pozbawione?

OTTIMA. Więc nienawidzisz mnie? Co? nienawidzisz?

SEBALD. Boże! Pomyśleć, że się ten ohydny
Zamiar jej udał, że mnie okiełzała

Powabem grzechu, zawładła nademną,
Że nad niewinność możniejszą być mogła
Potęga zbrodni! Naprawił znów wszystko
Głos tej dziewczyny z ludu! Stracon jestem,
Lecz wiem, co lepsze, co wybrać bez trwogi ~
Błąd czy też cnotę, czystość czy rozpustę,
Kłam czy naturę. Widzę, com uczynił,
Widzę to jasno! Dumny-m z tych katuszy ~
Świat niech ten krzepi swą wiarę! Cokolwiek
Złęgom uczynił, płaczę za swe czyny!
Przeklinam ciebie, nienawidzę ciebie,
Tak, nienawidzę! Niebo śle swą łaskę!

OTTIMA. Mnie, mnie, Sebaldzie! zabij mnie, nie siebie!
Jam winna zbrodni! Zabij mnie, a potem
Siebie ~ lecz wprzód, słuchaj, słuchaj! Dawno
Chciałam się zabić ~ czekaj, ty! Na piersi
Połóż się mojej, o, nie jak na piersi ~
Nie kochaj przez to mnie więcej, żeś spoczął
Na mojem sercu! Śmierć! ~ Śmierć nam obojgu!

SEBALD. Jakby zatopion był mój mózg, zatopion ~ ~
Czuję, że we mnie, w szalonych odstępach
Jakieś straszliwe opadają męty!
Ni groźne wody, co się oberwały,
Aby wypełnić jakąś otchłań straszną ~
Wirry czarnego, płomiennego morza.

OTTIMA. Nie mnie, o Boże! ~ jemu bądź miłościw!

(Rozmowa przy drodze, podczas gdy PIPPA schodzi zboczem wzgórza ku Orkanie. Cudzoziemscy uczniowie akademii malarstwa i rzeźby w Wenecji, zebrani w Possagno naprzeciw domu Juliusza, młodego rzeźbiarza francuskiego).

PIERWSZY UCZEŃ. Baczość! Moje miejsce będzie pod oknem.

Trzech was albo czterech schowa się za ten pomagan — będzie wam trochę ciasno! Schramm z swą fajką położy się jak długi na balkonie. Czterech — pięciu — kogóż to nam brakuje? Potrzeba nam wszystkich, bo Julek nie powinien obrazić swej narzeczonej, gdy się żart nasz wyda.

DRUGI UCZEŃ. Są wszyscy! Niema tylko poety — nie wiele mu na tem, widać, zależało — — a niech go księżyc kopnie! Cóż to za łobuz ten Dżiowakkino! Zakochał się gwałtownie w samym sobie i ma wszelkie widoki doprowadzić daleko w swem własnem towarzystwie — nikt mu się tak bardzo nie napierał; — ale do tego zakochała się jeszcze w nim jakaś białogłowa, i on z czystej zazdrości zabrał siebie i nieśmiertelny poemat i wszystko do Tryestu, z powodu czego właśnie skomponowane zostało, jak zapewnia Bluphocks następujące wieszczce epitaphium: „Tu leży pieśń mamuta, padła od muszki ukłuta“. Sam sobie grób wykopał — dureń jeden! Zamiast kupletów, sprawiających kurcze, z których każdy, jak nóż, kraje nam wnętrzności, powinien był, jak mówi Bluphocks, pisać klasycznie i zrozumiale: Eskulap — poemat epicki, Wykaz lekarstw; Plaster Heby — na usteczka kęs skraweczka. Nasienie Feba — pół słoika, zdrowa grdyka... Pigułka Merkurego — jedna dawka, mija. —

TRZECI UCZEŃ. A daj-że, luby chłopaczku, spokój! Jeżeli ślub naznaczony na godzinę dziesiątą, to Julek z narzeczoną powinien tu być za chwilę.

DRUGI UCZEŃ. I owszem — tylko, że wtedy muza poety, jak mówi Bluphocks, przystępną byłaby dla wszystkich, et canibus nostris — a Delia nie lepiej byłaby znaną naszym psom literackim, niżeli łobuz Dżjowakkino.

TRZECI UCZEŃ. Teraz do rzeczy... A gdzież nasz świeży kompan Bogumił? O — posłuchaj, Bogumile, co za krotoczwilny kawałek spaść ma na Julka z rąk przyjaźnej zemsty, z powodu której właśnie tuśmy się zgromadzili, iżby być świadkami jej spełnienia. Porozumieliśmy się, co mamy czynić — uważasz, — gdy Julek pękać będzie ze złości. Ja jestem mowcą: wiersze, które Julkowi mają wyjaśnić sprawę, moje noszą miano — miano Ludwyche'a; ale każdy powinien udawać, że na równi z innymi czuje się obrażony przez tego kamieniołuka, który przybył sam z Paryża do Monachium, a stamtąd z całą naszą zgrają do Wenecji i tutaj do Possagno, a za jakie dwa dni pójdzie sobie sam — tak jest, sam, nie ma wątpliwości — do Rzymu i Florencji. Niech sobie to wiano swoje zabierze — precz od nas, od tych wyuzdanych, zdziczałych, bez serca nieuków — bo tak nas nazwał, słyszeliśmy to wszyscy. Niech mi kto powie, proszę, czy Schramm zdziczałym jest człowiekiem? A ja czy jestem bez serca?

BOGUMIŁ. Juścić, że trochę bez serca, bo niech sobie tam będzie Julek i pyszałkiem, jak powiadacie, to przecież za to jego py-

szałkostwo nie wolno wam — jakby to się wyrazić, że tak powiem, stylowo?... otóż nie wolno wam strząsać kwiatu z jego życia. Czyż tego już zmienić nie można? Te listy miłosne, które niby mają pochodzić od niego — one mi wcale nie do śmiechu.

CZWARTY UCZEŃ. Boś nigdy nie czytał fałszywych, które spowodowały jego listy.

BOGUMIŁ. Strasznie mu będzie, gdy odkryje prawdę.

CZWARTY UCZEŃ. Przecież to tylko żarty. Trzeba było z nami być od początku; nie ma wątpliwości, że kocha tę dziewczynę — tę modelkę, którą był sobie mógł wynajmować na godziny.

BOGUMIŁ. Zważajcie! „Przyzwyczajony jest“ — pisze — „mieć koło siebie kobiety Canovy z kamienia, a kobiety świata obok siebie — z ciała; te są tak dalece poniżej tęsknoty jego duszy, jak tamte powyżej; ale teraz posiędzie już — rzeczywistość“. Śmiejecie się znowu, a ja wam powiadam, że strząsacie prawdziwą rosę z jego młodości.

PIERWSZY UCZEŃ. Schramm — niechże mu tam kto wyciągnie tę fajkę z gęby! — czy Julek straci kwiat swej młodości?

SCHRAMM. Nic nie ginie w świecie, co jakakolwiek ma wartość: spojrzycie na kwiat ten — pochylił się, spełniwszy swój obowiązek i czar swój przebywszy; ale idą owoce, i gdzież

byłoby miejsce dla kwiecica, gdyby trwać miało dalej? Tak samo moglibyście powiedzieć, że oko wasze nie należy już do ciała, ponieważ umarł i skończył najdawniejszy jego ulubieniec, na którego tak patrzeć lubił, — że zginęło wszelkie uczucie duszy, ponieważ pierwszy jego przedmiot, który mu dawał szczęście i zadowolenie, został zwykłym biegiem rzeczy zniweczony. Nie przestawajcie patrzeć — bądźto oczami ciała, bądźteż żrenicą duszy, a zawsze coś zobaczycie. Przesycił się mężczyzna podziwianiem kobiet? — nie brak mu mężczyzn, żywych czy umarłych, których podziwiać może. Skończył z podziwem dla mężczyzn? — Jest Bóg, podziwu godzien. A jeśliby zdolność podziwiania zestarzała się z czasem i zmęczyła odnośnie do pierwszego przedmiotu, będzie młodą i dostatecznie świeżą, o ile dotyczy przedmiotu nowego... a więc — — —

PIERWSZY UCZEŃ. Włóżcie Schrammowi napowrót fajkę w gębę! Popatrzcie tylko — tu Julek! Co za wstrętny zarozumialec! O, widziałem ja raz, jak się zabawia w Possagno. Galerję Canovy znacie: otóż przechodzi on sobie około jakiegoś tuzina arcydzieł i nie raczy spojrzeć ani na jedno. Naraz przystaje przed Psiche-Fanciulla —; nie może przejść obok tej dawnej znajomej, aby jej kiwaniem głowy nie dodawać odwagi: „A co? na nowem miejscu, ty moja piękna? I owszem, miej się tu tak dobrze, jak w Monachium — zobaczę cię jeszcze!“ Po chwili zatrzymał się zamyślony przed nieskończoną Pietà, z jakie pół godziny nie ruszając się z miejsca; w tem nagle podskoczył i wpakował nos pomiędzy — mówię wam — pomiędzy grupę; giest ten miał was niby pouczyć, że jedyna

z sztuczek, której nie zupełnie jeszcze opanował Canova, nie jest niczem więcej, jak pewną manierą używania dłuta przy odtwarzaniu przegięć kolana, a w czym on sam — to chciał pokazać — od dawna jest mistrzem! A więc Bóg z tobą, biedny Canovo! Galerja twoja nie potrzebuje już dłużej zatrzymywać twego następcy, Julka, tego opatrnościowego nowatora w marmurze.

PIĄTY UCZEŃ. Mów mi dalej o kobietach; wróć do kobiet —

PIERWSZY UCZEŃ. Pod tym względem nie mógł nigdy dać sobie rady z swą pychą. Czemże-ż innem — powiedział — moglibyśmy być z temi poniżającemi przyzwyczajeniami, których uparcie się trzymamy, jeżeli nie mizernem biedactwem, czem niby naprawdę jesteśmy. On nie ma zamiaru walać się w tem błocie, ale czekać będzie, zakocha się w swoim czasie, a na razie wystarczy mu Psiche-Fanciulla. Otóż sły-
szalem przypadkiem o młodej Greczynce, prawdziwej dziewczynie greckiej z Malamocco, najrzeczywistszej mieszkance wysp z włosami — powiadam wam, mówiąc z Alciphronem, „ni to mak zielony“ — — Schramm się na tem zna! — — białej i cichej, jak zjawisko, mającej najwyżej lat czternaście, córce Nataliji (tak ona przysięga), tej czarownicy Nataliji, która pomaga nam wyszukiwać modelki po trzy liry za godzinę. Dziewczynę tę wybraliśmy na bohaterkę naszej krotochwili. Nasamprzód otrzymał Julek wonny liścik — ktoś niby widział w akademji jego Tydeusza; moje malowidło niczem w porównaniu z niem; — pewna głęboka wielbicielka każe mu niby być

cierpliwym i że w niedługim czasie da mu się poznać. (Paolina, mała moja przyjaciółka z Fenice, przepisuje doskonale). A w odpowiednim czasie dał mu tajemniczy korespondent pewne wskazówki co do jej poszczególnych wdzięków — blade lico, ciemne włosy — jednym słowem, co nas uderzyło w naszym modelu z Malamocco. Zatrzymaliśmy także imię — Fene, co ma niby morskiego oznaczać orła. A teraz wyobraź sobie Juliusza, którego z całej naszej zgrai takie wyróżniło stworzenie. W pierwszej odpowiedzi swojej zaproponował swojej upomnielielce małżeństwo — i wystaw sobie nas przy tych listach! Trzy razy na dzień otrzymujemy, trzy razy na dzień wysyłamy. Kułem żelazo dalej: na przeszkodzie — pisaliśmy — stoją krewni, trzeba zachować tajemnicę — wreszcie, czy chciałby ją poślubić sekretnie i przemówić do niej dopiero wówczas, gdy będą połączeni już na zawsze. Pst!... Pst!... Idą.

SZÓSTY UCZEŃ. Oboje! Na miłość Boga! mówcie cicho, przytłumcie głos, jak ktoś, co mówi do siebie.

PIĄTY UCZEŃ. Spójrzycie na oblubieńca! Włos ma półzburzony, napół spokojny, przygładzony na lewem ciemieniu — ni to puhar szumiący, na który się dmucha, aby go ostudzić: a i surdut ten sam, w którym uśmierca marmur.

DRUGI UCZEŃ. Nie ma tak bogatej kamizeli, jak twoja, Hannibalu Bazgraczu! — bogatej, aby oblicze twoje wydało się w niej jeszcze nadobniejszem.

SZÓSTY UCZEŃ. A panna młoda! Tak jest niewątpliwie, nasza Fene! Czy poznalibyście ją w tym stroju? Jak wspaniale błada!

BOGUMIŁ. Nie bierze tego chyba na serjo! Mam nadzieję!

PIERWSZY UCZEŃ. O, to rzecz Natalji! Załatwimy to z Natalją.

SZÓSTY UCZEŃ. Nic nie mówi — nie rzekła widać ani słowa. Jedna tylko rzecz: czy zapamięta resztę swej lekcji i wyrecytuje należycie wiersze, mające odkryć tajemnicę Juliuszowi?

BOGUMIŁ. Jak on na nią patrzy! Żal mi go! żal!

PIERWSZY UCZEŃ. Wchodzą do wnętrza: a teraz cicho! Nie bliżej ku oknu, jak do pomagranu; tam, gdzie ta mała siedzi dziewczyna, która przed kilku minutami przechodziła tędy śpiewająca.

II.

POŁUDNIE

THE HISTORY OF THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

BY SAMUEL JOHNSON

IN TEN VOLUMES

VOLUME THE FIRST

CHAP. I.

THE DEATH OF KING

JAMES THE FIRST

AND THE ACCESSION OF

KING CHARLES THE FIRST

IN THE YEAR 1625

AND THE BEGINNING OF HIS REIGN

THE HISTORY OF THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

BY SAMUEL JOHNSON

IN TEN VOLUMES

VOLUME THE FIRST

CHAP. I.

THE DEATH OF KING

JAMES THE FIRST

AND THE ACCESSION OF

KING CHARLES THE FIRST

IN THE YEAR 1625

AND THE BEGINNING OF HIS REIGN

Nad Orkaną. Dom JULIUSZA, przekraczającego próg razem z FENĄ;
milczenie; po chwili:

JULIUSZ. O, nie umieraj, Feno; jestem twoim,
Ty jesteś moją; niech mnie dosięgają,
Jakie chcą, losy, byleś nie umarła!
Więc nie umieraj! Siądź na tem jedynem
Krzesle w pracowni. Przechylam się, patrzaj,
Nad długim włosiem twym, nad jasną skronią:
Jak kwiaty, wznoszą się ku mnie te oczy,
Te wargi twoje, na końcu ta broda, —
Nie! w końcu szyja — — — jej to zapach zgina
Ku tobie twarz mą. Patrz tak, aż się cały
Przemienię w ciebie — — Mógłbym się przemienić
W ciebie, o luba!...

Przy mnie-ś! ja przy tobie —
Moja to ręka! tak, siedzimy razem — —
To wszystko prawda!... O dzięki ci, Boże!
Ja już mówiłem — — przemów ty!

O życie!

Teraz z tej gliny wyjdzie mój Tydeusz:

Jak go ulepić, kiedyś ty w pracowni?
Gdzie się podzięję? Pomyśleć, że ongi
Ta brył kamiennych przepelna pracownia
Była mi niebem — bez ciebie! Czyż wróci
Znowu me dzieło na swe dawne tory?
Czyż mnie przymusi pomysł, abym w głazie
Więził, jak dawniej, jego rys za rysem?
Będzie-ż przy tobie żył mój sen, sen prawdy,
Który, przychodząc, to znowu odchodząc,
Siaduje przy mnie? Mów!

Ale najpierwej
Zobacz swe listy! Nie dobry-ż to pomysł?
Ukryte były w fałdach Psychy, przy niej,
Przy niej leżały! Który-ż się tu ciśnie
Naprzód? Ten! w świat mój przyplynał, jak pierwszy
Promień miesiąca!... Twe oczy na nowo
Z melancholijnym, a słodkim spokojem
Po mej pracowni chodzą, aby wrócić,
By się zatrzymać przy mnie ze współczucia,
A i z zdziwienia, jakby Bóg jakimś
Kazał duchowi świat ten nasz wysmagać,
A on zdumiony staje, nieszczęśliwy,
Że ma niweczyć to, co mu się zdaje
Dobrem... O, na co tak spoglądasz? Na to?
Książki, o których ci mówiłem... Niechże
Twe pierwsze słowo tak je uraduje,
Jak mnie: Coluthus to, mój ulubieniec:
W barwach czerwieni, orzechu, lazura

Kreślił go pisarz Bissarion — czytaj — —
Nie! wprzód niech usta mej greckiej dziewczyny
Wyszepczą słowa Greczyna Homera!
To Odyseji grube, czarne głoski;
Powiędłe kwiaty między stronnícami —
Z wdzięcznością wzniosłe znaczą mi ustępy:
„To powiedziałwszy, gorzki zwrócił pocisk
W Antinousa stronę“... Resztę skrywa
Liść... Znowu śledzisz?... A więc me posągi!
O nie! nie na to! — lepiej, gdy odlane
Będzie już w bronzie — — cesarz allemański,
Ciemno-zielony i złoty, z tą laską,
Wspartą na lędźwiach! Patrz tu! Nie poznajesz?
Myślałem, widzisz, że siebie w tem ujrzysz —
Taka mi stałaś w wyobraźni mojej —
W tej Hípolicie, na tym numidyjskim
Gniadym rumaku... A to?... przypominasz?
Stwórz w płaskorzeźbie — takeś mi kazała —
Greka, w Atenach, w wawrzynowym wieńcu,
Jak się podnosi pod liściwem mirtu —
„Chwalcie zwycięzców Hípparcha!“ wołają,
„Niech się kołysze liść mirtu nad tobą,
Jako nad naszym chwał się bohaterem:
Powstańcie wszyscy!“ Widzisz, pracowałem,
Aby wyrazić myśl twą... Naokoło
Tłok rąk i ramion, cisnących się zewsząd,
A połączonych u końca gałązki,
Tworzących ramy dla jednej li twarzy —

O, tutaj w środku — dla Piewcy oblicza,
Który swe oczy, pozbawione światła,
Zwróciwszy w głębie wnętrza, gdzie się tłoczą
Jego widziadła, śpiewa pieśń, bez troski
O rąk i ramion ruchome sklepienie,
O krople wina, ciekące z wilgotnych
Liści, o wieńce, uwite z fijołków,
Walane w prochu — śpiewa, ośmielony
Łaską swych bogów, zbożny, niedościągły
Hymn... Pochwalże mnie, powiedz,, dobrze — dobrze!“
Albowiem patrzysz — luba! czym oszalał? —
Jako ten marmur, jedyna materja
Mojego życia — marmurowa nawet
Wobec milczenia... Tak, zanim znalazłem
Prawdziwą Fenę, widziałem w naturze
Jedną materję, aby z niej ma sztuka
Lepszą zrodziła naturę... Tak wszystko
Zmierzało we mnie li do kształtu piękna,
Do arcytypu człowieka — ze wszystkich
Stron zachodziły mi drogę wymowne
Kielki — czy drzewo weźmiesz, kwiat czy owoc —
Patrz, na brzoskwini kuli się, ni pszczoła,
Jakiś różowy kształt, różowe członki
W liść upowite, zwisają z gałęzi
I, patrz, z różowej, pękniętej brzoskwini
Wraz się Dryada wychyla. — O, można
Materję swoją opanować — dobrzem
Odgadł jej wszystkie przymioty! Od kredy,

Lekko zaciętej, łagodnej i miękkiej,
Powierzającej uściskom powietrza
Swoje obrysy, na pół złagodzone,
Wiewnem, jak perły błyszczącym obrzeżem,
Aż do królewsko uporczywej stali,
Która tak pewnie wycina z wszechświata
Swą ukochaną myśl... Lecz marmur! marmur!
Narzędziom moim stokroć posłuszniejszy,
Niż żelatyna — jakby był jakowymś
Czystym, pierwotnym tworem, wydobytym
Z serdecznych głębin ziemi, gdzie sam siebie
Zrodził, skąd także wywodzi się wszelka
Lichsza materja: rozczyn ją w powietrzu,
Zgęścij w djament — nie ma-ż tu metalu,
Gdy o twardziznę wyszczerbi się dłuto?
— Nie widać ciała, gdy tak płat po płacie
Odwałam kamień? Nie widać, niebieskich
Od krwi uspionej żyłek? Nie przegląda-ż,
Płomień z tych dziwnych przewodów, gdy moje
Wykrzesze dłuto skry, iż tak się sypią
Za jego śladem?

Feno? Cóż to znaczy?

Ta błądź lica? Rozszerzone oczy?

Al czy umierasz?... Ja-ć wiedziałem o tem!

FENE (po długiem milczeniu zaczyna mówić:)

Nadchodzi koniec. Tak, on musiał nadejść — —

Pocóż wspominać błazeńskie ich słowa?

Połowy tego nie pamiętam; wcale
Też się nie troszczę o starą Natalję
Ani o tamtych... O, ty! Kto ty jesteś?
Jeśli nie umiesz powtórzyć wyrazów,
Których mnie, widzisz, uczyła Natalja,
Aby się twoim przypodobać druhom,
Czyż to dlatego, iżby się utrzymać
Na onem miejscu, na które mnie wyniósł
Głos twój, i aby trwać w niem dłużej? Nigdy
Już nie odnajdziesz tej muzyki życia,
Jeśli ją kiedy zgubisz, i mnie również,
Chociażbyś pragnął! I oto stoimy —
Jak tu jesteśmy — ponad światem! Oczy
Twoje to mówią! O, gdybym tak mogła
Spoglądać ku nim zawsze, jak mi teraz
Patrzeć pozwalasz, wierzę, iż się wszelki
Zapadłby w ziemię grzech i wszelka pamięć
Zła spełnionego i wszystkich katuszy —
Coraz to niżej takby się to wszystko
Kryło pod ziemię, skąd każda pochodzi
Niskość, i nigdy jużby nie powstało,
Aby owładnąć resztką mego ducha,
Co, nieskalany, wznosi się ku tobie,
Twoją nęcony żrenicą. Nie srom mój,
Nie moja boleść — to ja się tak wznoszę!
O, trzymaj mnie tak nad światem, o, trzymaj!
Lecz ty się zmieniasz! Zmienione twe oczy —
„Stój! ja cię kocham! Mogłabym zapobiedz,

Gdybym umiała... Mówże do mnie więcej:
Gdzie się mieściła potęga? w wyrazach
Czy też w ich brzmieniu?

Lub czekaj... powtórzę,
Jeżeli pragniesz, ich słowa. Stój w miejscu,
A ja od razu znajdę je w tym mózgu,
Któryś ty dziś mi wypełnił... Natalja
Rzekła mi, grożąc, że ból stąd wyniknie,
Jeśli do końca lekcji nie wypowiem —
Ból, zdaje mi się, dla mnie, nie dla ciebie.
Twe przyjacióły — Natalja mówiła,
Że przyjaciółmi-ć są, że dobrze-ć życzą, —
Lecz ja wątpiłam, patrząc (rzecz to dziwna),
Jak na ich twarzach, zresztą tak odmiennych,
Jeden drżał uśmiech — tak się zwykle śmieją
Dziewczęta mego gatunku, lecz nigdy
Upaść tak nisko nie mogą mężczyźni —
Lecz przyjacióły twe, mówiąc o tobie,
Mieli ten uśmiech, nienawistny uśmiech,
Nieokiełzanych pełen zadowoleń,
Jak gdyby cały posiadał świat i w Bogu
Miał powolnego sobie sprzymierzeńca
I stręczyciela swych chuci — ty znasz to! —
Twe przyjacióły — bo tak ich nazwała
Stara Natalja — jęli przytakiwać;
Śmiejąc się jeszcze więcej, otoczyli
Wszyscy mnie kołem — przywodził im, widać,
Ten chudy Anglik z długimi włosami;

Papier miał w ręku — „otośmy“, powiedział,
Kończąc przemowę jakąś do swych druhów —
„Coś wymyślili, co działa powoli,
A przemistycznie — — niechaj w wątpliwości
Trzyma Juliusza, lecz niechaj go wabi,
Niech go przynęca, póki tam, gdzie szukał
Słodocy duszy, nie znajdzie — o, tego!
— Jest to by w sercu jabłka robak wstrętny;
Nie trudno spostrzedz owad na łupinie,
Łatwo też można strzepnąć go, lecz tamten
Li językowi zbrzydzi się i wargom“.
Potem przeczytał to, com ja musiała
Wrazić w mą pamięć. Powiem ci — „Najdroższa,
O, nie umieraj! Jam jest twój!“ Czy nie tak?
Czy to nie cząstka słów, któremiś począł
Przemawiać do mnie? Dziwna rzecz! Zapomnąć,
Czegom się z takim wyuczyła trudem!...

Malarz-ci jestem, źle poczęty,
W życiu czart raczej, niżli święty;
Umysł mój lichy — żal się Boże!
Zaczyna wciąż, skończyć nie może.
Miłości tylko znam ja zdroje
I nienawidzić się nie boję,
A takie były losy moje:
Miłości szedłem ja doliną,
Aby w jej miłym spocząć schronie,
Lecz gdym rozbił namiot, tą samą godziną
Nienawiść okiem swem mi spłonie!

(Pytaj malarza o swoją jedyną,
Co taką cnotę żywi w łonie).
I skierowałem swoje kroki
Tam, gdzie nienawiść tylko włada,
I miłość znalazłem, gdzie trzykroć głęboki
Mrok do klęczących stóp mych pada.
(Lecz malarz zatopion w licu czarnookiej,
Z treści tych słów się nie wygada).
„I tutaj“ — mówił — „Jul się pewnie spyta:
Czarne masz oczy, luba, i cnotliwą
I mą jedyną jesteś, więc wytłomacz
Treść tej zagadki — co to ma oznaczać?“
Potem — bez innych słów — to rzeknąć miałam:
Tak w nienawiści i w miłości
Wzniósł się mój umysł. Dawniej w gości
Gdy przyszła miłość, mojej drogiej
Byłbym całował ręce, nogi,
Jakby ten uczuć skarb ubogi
Wszelkie bogactwa miał już za nic.
A gdy nienawiść mnie chwyciła,
Byłaby klingi mojej siła
Każdego wroga powaliła,
Jakby nienawiść nie miała już granic.
Lecz dziś jestem mędrszy i dobrze to sędzę,
Że wzajem przeciwne wspierają się żądze.
Nienawiść czy miłość, gdy we mnie się zbudzi,
O, jakiej nie zaznał nikt inny wśród ludzi,
W miłości kiedy dolinie,

Czy w nienawiści głębinie
Rozbiwszy swoje namioty,
Znajdzie ma dusza treść istoty
Obu — miłości, nienawiści,
Wówczas ma prawda się iść,
Że jedna pomaga drugiej,
Wzajemne, życzliwe sługi —
Kochając, nienawiść czują,
A nienawidząc, tem więcej miłują.
Na nienawiści spojrzysz kask,
Jak pod nim drży miłości blask,
Jak z pod miłości krasnych mask
Kły zła nienawiść szczyrzy.
Dziś nienawidzę, więc uderzy
W samo ci serce ma strzała,
Która cię dawno szukała.

Swej narzeczonej spytaj, poskrom pychę,
Jak nienawidzi ten — malarz Lutwyche.

JULIUSZ (przerywając) Lutwych! Któż inny? O, nienawidzili

Oni mnie wszyscy — wszyscy ci z Wenecyi
I na nich teraz przyszła kolej. Ciebie
Nigdy już więcej nie ujrzę. Jeżelim
Śnić, to mnie zbudzi napewno!

Weż złoto —

Już my się spotkać nie możemy... Wiedz to!
Przeznaczon był ten pieniądz na dwuletnią
Podróż; dziś moje zmieniiy się losy,

Znikły potrzeby, nadzieje, pragnienia.
A to, co dać ci może sprzedaż dzieł mych —
Z wyjątkiem książek, form tych i medali —
Niechaj cię wyrwie — wolno ci spieniężyć —
Ze szpon Natalji. Jeżeli wypadkiem —
A wszystko dzieje się wypadkiem — miałbym
Przeżyć tę zgrają wenecką, tak wszystkich
Owych szesnastu sprzątnę: świat szeroki,
Może się jeszcze spotkamy gdziekolwiek.

(Z zewnątrz dolatuje śpiew, to)

PIPPA (śpiewa). O, niech mnie kocha! Sfolgujcie jej winie!

Czyż dość

Mam sił, by wznieść ją nad siebie, gdy ninie

Los mi ją oddał na troski, co rość

Będą, aż serce na wieki w nich zginie?

(„Cyt!” szepnie Kasia-królowa,

A dziewczka, czesząca królewski jej włos —

„Paż karmi twą sforę” — w te ozwie się słowa —

„To jego ukryty brzmi głos“).

Mówisz — shańbiona? — O, wnet ja ocalę

Jej cześć!

Gdy biedna, lądy przebędę i fale

Mórz, aby zewsząd bogactwa jej znieść,

Że los jej nie płuży — hej! na to się żalę!

(„Nie!” szepnie Kasia-królowa,

A dziewczka, czesząca królewski jej włos,

„Paż stroi sokoły“ — w te ozwie się słowa —
„To jego ukryty brzmi głos!“)

(PIPPA przechodzi).

JULIUSZ. Jakież to imię w śpiewie tej dziewczyny?

Kasia? Zapewne będzie to Cornaro,
Która się zrzekła cypryjskiego tronu,
Aby być panią w Asolo, gdzie dotąd
Pamięć jej żyje. Dotychczas wieśniacy
Śpiewają piosnkę o pewnym paziku,
Który się martwił, że wdzięki jej nazbyt
Są dlań wysokie, iżby mógł jej służyć
Jaką pomocą. — „Hej! Kasia — królowa
Nie może nigdy żadnej doznać krzywdy,
Nigdy nie może być biedną!“ — tak wzdychał.

Juści, nadmierna to gorycz, być pewnym,
Że naszej pani zbędna pomoc nasza.
Lecz tak myślimy, kochając — to znaczy,
Świat takiej myśli jest, nie ja. Kto kocha,
Ten musi Bogiem być, lub tego Boga
Kornym czcicielem, musi być rozdawcą
Łask, lub też łaski przyjmować, królową
Albo też paziem, a czyżbyśmy zawsze
Mieli wybierać los pazia? Kobiętę
Mam tu przed sobą w największej niedoli,
Wyduje mi się że jam tą królową.

Dziwne! przedemną patrz! Kobieta z nową
Jak moja Psyche, duszą — wymarzony

Motyl na wargach jej siedzi, czekając,
Aby z słów moich radość nań spłynęła,
Inaczej precz stąd uleci i dawną
Zostawi pustkę. Członki te nie miały
Duszy, uśpione były albo w ruchu,
Wdzięczne i zręczne, albo też niezdarne,
Wolne od zmazy, albo też skażone, —
Tak, piętno rył na ich bierności
Ten świat zewnętrzny. Teraz chcą się zbudzić,
Żyć, czuć lub umrzeć na nowo! Czyż sztuką
Ma się nazywać form wywoływanie
Z masy bezkształtnej, a zaś wydobyć
Duszy z tej formy ma być niczem? Moją
Jest dziś ta dusza!

Mam zabić Lutwyche'a?

Cóżby to było innego, jak zbawiać
Tego partacza od śmierci, tych wszystkich
Wybawiać ludzi, na śmierć zaszczuwanych,
Od ścigającej ich sfory! O, słuchać
Głosu bożego, który-m dawniej słyszał,
Nim się załamał w ich śmiechu! Z tą chwilą
Nie Boga-m słyszał, lecz ich!

Do Ankony,

Grecji, na wyspę! Potrzeba mi ciszy,
Głina jest wszędzie! Można tworzyć sztukę,
Jak się podoba, lecz tak, by się dzieło
Mogło podobać nam! Lecz to jest trudno!
Strząśnij ze siebie, Fene, sen ten przykry!

Co znaczy Lutwych! Czem są przyjaciele
Owej Natalji! Czem jest świat, z wyjątkiem
Naszej miłości, o Fene ty moja,
Jedyna Fene! Lecz czym nie powiedział,
Że nim zapadnie wieczór, odjedziemy
Do twego kraju? Na wyspę, spowitą
W ciszę wód morskich? Stań tutaj na chwilę —
Rozbiję wszystkie te zblakłe modele,
Ażeby świeżą zacząć sztukę. Spotkać
Mam się z Lutwychem i tak go uchronić,
Aby się nigdy nie spotkał z mem dziełem?
Na cichą wyspę na dalekim morzu?
Jest-ci tam góra, zatopiona w zmierzchu,
Jak Bóg, chodzący po tym świecie — bractwo
Cedrowych lasów rośnie na jej szczycie —
A ja, patrzący na to, będę miał u boku
Ciebie — w objęciach spocznesz mych, jak teraz —
Szczęśliwa wyspa na dalekim morzu!
Wyspa szczęśliwa na morzu dalekim!

(Rozmowa przy drodze, podczas, gdy PIPPA przechodzi z Orkany do Wieży. Dwóch czy trzech policjantów austriackich stoi beczynnje z Bluphocksem, włączegą angielskim, naprzeciw wieży.

BLUPHOCKS*). Tak więc to jest wasza Pippa, ta mała dziewczyna, która przeszła tędy, śpiewająca? I owszem! Pieniądze

*) „A on każe słońcu swemu świecić zarówno nad złem, jak i nad dobrem i deszcz swój spuszczać będzie na prawych i na niesprawiedliwych“.

waszego biskupiego zarządcy nie pójdą na marne i, proszę, nie stróście takich kwaśnych min, że przy tym interesie wspominam waszego biskupa; wiemy, że on z temi straszliwemi sprawami nie ma nic do czynienia; wiemy, że człowiek to święty, że jest tem, czem biskup być powinien; że, ponadto, mąż to znamienity. Oby gad wszelki był jako szczygiełek, a jako piskorz każda mucha, świętecznym wieńcem każdy kiełek, ton każdy graniem od ucha do ucha!... Naprawdę! wyrzekłem się wszystkich religii, ale ostatnia, do której przyłgnąłem, to ormiańska; dużom, widzicie, podróżował, a w Królewcu, w Prusach Fałszywych, dla tego tak nazwanych, ponieważ świeci tam coś w rodzaju poczerńiałego słońca, możecie zobaczyć nad bramą pewnego czcigodnego domu pewien napis chaldejski; a jakkolwiek napis to krótki, mógł przecież sam jego widok zmienić do szczętu wszelkiego brodatego przechodnia. Wchodzili do tego domu każdy z osobna i wszyscy razem, wesołe młodzieniaszki z należytym szacunkiem, starzy i zużyci z widocznem ożywieniem — jednym słowem, mieszkał tam wielki Rabin. Zaciekawiony, nie traciłem czasu i nauczyłem się po syryjsku — oto samogłoski, patrzajcie, psy, na koniec mego kija w tem błocie — Calarent, Darii, Ferio! — a pewnego poranku przedstawiłem się i ja z elementarzem w ręku, a, b, c, — przesyłabizowałem literę za literą i jakaż była treść tego dziwnego napisu? Ulubiona przypowieść z dawnych czasów — powiecie — „Jak to Mojżeszprzez swe czary Plag na Egipt słał bezmiar“, albo „Jak wieloryba brzuch przestrasza Wyłażającego zeń Jonasza“, albo „Jak się Balaam ściał

z aniołem, czy osioł koniem jest czy wołem“. I tak dalej — „Plec pleciugo, byle długo — juści to ich mądrość taka o polewce Izaaka, o zakupnie, o wymianie wszech towarów, co są tanie, bo kradzione“... I gadajcie mi tu o religji biskupa. Wyrzekłem się wszystkich biskupów z wyjątkiem biskupa Bewerydża — i mam nadzieję żyć i umrzeć. — „Jak to pewien mędrzec grecki, wesół, zdrowy, wpadł do łodzi Charonowej, miał jedzenia na dwa światy, Wilczy bobek, groch Hekaty, a tylko nie miał obola... (Jakkolwiek dzięki wam, albo dzięki zarządcy przez was, albo dzięki biskupowi przez zarządcę mam pełną kieszeń błyszczących cwancygierów) — — by jazdę zapłacić stygijską.

PIERWSZY POLICJANT. Tak, to owa dziewczyna; idź, zarób sobie trochę grosza, pokazawszy nam Signora Luigiego i jego matkę. (Do innych:) Cały czas mam baczność, o, na ten dom — od rana ani jednej nie otworzyli okiennicy.

DRUGI POLICJANT. To dom starego Luki Gaddi'ego, właściciela przedzalni jedwabiu. Śpi całemi godzinami, budzi się, wzdycha głęboko, powiada, że chciałby być księciem Metternichem, potem znowu zasypia, posadziwszy młodego Sebalda, tego, wiecie, cudzoziemca, do gry w damę ze swą żoną. Taki dom trzeba zostawić w spokoju, lojalni to obywatele.

BLUPHOCKS. Możecie mi też co powiedzieć o tej małej Píppie? Boć z pewnością będę miał z nią do czynienia. Można

z tego imienia coś zrobić. Pippa — skrócenie z Felippa — rymuje się: „Panurgos pyta: Hertrippa, co myślisz, królu Agrippa?“ Z takim imieniem można już coś zrobić.

DRUGI POLICJANT. „Ubierz coś takiego w rymy, że niby głowa twa i przejrzały melon piżmowy nie warte są jednego cwancygiera. Daj spokój błazeństwowi i idź; minęło południe albo prawie mija.

TRZECI POLICJANT. W którym to miejscu paszportu Signora Luigiego każe nam nasza władza tak go śledzić surowo? Tutaj? A cóż to jest tu pod tym podpisem? (Błazen angielski na straży).

DRUGI POLICJANT. Same zakrętasy naokoło — „Róbże mu rozmaite utrudnienia“ — długi żyd na końcu — „Zatrzymajcie go, dopóki nie nadejdzie inne rozporządzenie“; na końcu coś wykreślonego: „wyślijcie go z powrotem z powodu pewnych nieformalności, jak wyżej“; plama z inkaustu po prawej stronie (jak tu w danym wypadku jest rzeczywiście). „Aresztować go natychmiast“. Za co i dlaczego, o to się nie troszczę, ale moja instrukcja opiewa ostatecznie tak: jeśli Signor Luigi opuści nocą swój dom, aby się udać do Wiednia — co i owszem, w takim razie paszport przedłożony nam do wizji, do jego własnego niech będzie użytku i wówczas władza źle była poinformowana, a on jest lojalny, ale kazać mu zostać przez

noc — taki, jak przeczuwamy, jest plan; — wiadomości o jego korespondencji i stosunkach z Karbonarami są prawdziwe, trzeba go więc aresztować — jutro Wenecja, potem zaraz Szpílberg! Bluphocks daje znak — — na pewno! To ten, co tam z matką idzie do Wieży — — niewątpliwie!

III.

WIECZÓR

THE HISTORY OF THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

BY SAMUEL JOHNSON

IN TEN VOLUMES

VOLUME THE FIRST

CHAP. I.

THE DEATH OF KING CHARLES THE FIRST

IN THE YEAR 1649

BY SAMUEL JOHNSON

WITH A PREFACE

BY THE AUTHOR

THE HISTORY OF THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

BY SAMUEL JOHNSON

IN TEN VOLUMES

VOLUME THE FIRST

CHAP. I.

THE DEATH OF KING CHARLES THE FIRST

IN THE YEAR 1649

W wieży, na wzgórzu ponad Asolo. Wchodzą LUIGI i jego MATKA.

MATKA. Wiatr, tu wiejący, stłumi swym przeciągłym
Jękiem najcięższą serc naszych melodię.

LUIGI. Tu, w tym krużganku?

MATKA. O nie, nie! Tam dalej!
Tam, gdzie to echo, pod szczytem.

LUIGI. Więc tutaj.

Jak się odbija ten odgłos mych kroków?

Cyt! — „Lucius Junius!“ Prawdziwe to widmo

Głosu, którego ciało tutaj więźą...

To co? To chwasty wyrosłe na murze!

Elfom podobne ze zblakłymi włosy,

Wyglądającym z szczytu swojej twierdzy —

Hej! Krasnoludki! A zwróćcie-że ku nam

Ziemiste twarze z brodami, wspartemi

Na drobnych dłoniach — hej! — i posłuchajcie
Naszego głosu — hej! pokażcie lica!
„Pokażcie lica!“ Oto król jest karłów —
Stary Franciszek w tych strzępach szkarłatnych, —
Chodź, z swym się losem spotkaj! „Z swym się losem
Spotkaj!“

MATKA. Luigi! daj mu spokój, nie idź
Do jego miasta! Nie rozstrząsaj zbrodni —
Połowa włoskich krzywd jest urojoną:
Ten wasz Pellico i inni pisarze
Piszą jedynie dla efektu...

LUIGI. Cicho!
Powiedz, że pisze A. i B.

MATKA. Powiadam,
Ze dla efektu, piszą ci panowie,
Ci A. i B. Zło zawsze bywa głośnie,
A dobro milczy... O najmniejszej krzywdzie
Słyszysz, a nie wiesz nic o dobrodziejstwach.
Przytem on stary, cichy i dziecinny,
Wręcz pozbawiony rozumu. Dlaczego
Nie myślą sami zgładzić go ze świata
Owi panowie A. i B.

LUIGI. Nie, innych
Uczą, jak mają go zgładzić — a przedsię

Mnie, a jeżeli mnie się to nie uda,
To mych następców. Jeśli A. spróbuje
I w swoim czynie potknie się, to juści
Ja nienauczę nikogo, bo lichsze
Są moje siły. Posłuchaj mnie, matko:
Co noc zjawiają się u mnie...

MATKA. U ciebie?
Czyż im powiedzieć, Luigi, czem jesteś?

LUIGI. Dlaczego nie masz powiedzieć?... O, wierzaj ~
Sam sobie zawsze mówię, czego dzisiaj
Ty się obawiasz... Nieraz mi się zdaje,
Że chory umysł mam, ale dlaczego
Nie miałbym wiedzieć, co może wyleczyć,
Lub nie, mą duszę. Wiem, że taki jestem
I wszystko jest już w porządku. O, nieraz,
Idąc ulicą, śmieję się do siebie,
Patrząc na ludzi wesołych, jak gdyby
Włochy nie były w nieszczęściu. I nieraz
Powiadam sobie: Jestem młody, zdrowy,
Jestem bogaty. Czemuż niepokoić
Mam się tem więcej, niż inni? A jednak
Czuję niepokój. Niepokój? Żle mówię!
Moim przechadzkom towarzyszy radość
I lekkomyślność, wesołe melodie,
Cisną się do mnie wspomnienia młodości,
Sny zapomniane, nikle same w sobie ~

Wszystko, co cieszyć mogło mnie gdziekolwiek;

I zdaje mi się, że spokój zawarłem

Z niebem i ziemią, że umilkły walki —

Świerszcz się chichoce: „Patrzcie, oto idzie,

Witajcie swego przyjaciela! W służbę

Świata zaprzęgnion! Powitajcie druha!"

I wdzięczny za to, mógłbym iść z uśmiechem,

Matko, na szafot... Pójdę dzisiaj wieczór

Do nich...

MATKA. Nie ufaj sobie ni wyrokom,

Które masz wydać na niego.

LUIGI. O, czuję,

Że tu mam słuszość.

MATKA. Nie ufaj swym środkom,

Do tego czynu potrzebnym! Miej słuszość —

Lecz jak dokonasz dzieła, które zimnej

Wymaga głowy, zimnych rąk i chłodu

Serca? Ucieczka zawiedzie.

LUIGI. Ucieczka?

Toć ona dzieło zniweczy! Najlepszą

Śmierć tutaj będzie. Przez mych lat piętnaście

Zbyt mi się wielka przelewała radość,

Lżbym miał kłamać, że pragnę żyć dłużej.

Życie me w takim szło naprzód weselu,

Iż mogę skończyć prędzej, niżli moi
Wszyscy druhowie, mniej tu uraczeni.
Stałem na przedzie, więc mnie też najlepszym
Darzono kąskiem. Odejdę szczęśliwy,
Bóg się raduje, widząc, że ten jego
Świat tak kochamy! Przyniosę nowiny
Z ziemi umarłym, gdy pytać się będą
O zachód słońca ostatni, o gwiazdy,
Co, wszedłszy pierwsze, widzą, jak się mieni
W karmazynowych barwach fala morza,
Chłonąca słońce, o księżyc, co swymi
Płomienistymi rogi wbił się w jasny
Lazur przestworza, o te dni marcowe,
Kiedy podwójna tęcza zatrzymuje
Burze, o miesiąc maj, o jego ciepłe,
W żółtej, miesięcznej poświacie skąpane
Noce ~ ~ ~ minęło to wszystko, lecz żyje
Wiecznie w mej duszy.

MATKA do siebie:

Nie odchodzi.

LUIGI.

Matko!

Śmiesz się ze mnie? Prawda; lęk mój zbożny
Taka otacza chuć, taka upiorna
Niemal dziwaczność, jak ongi bawole
Czaszki i rogi baranie sterczyły
Wokół ołtarzy starożytnych, strojnych
W wieńce różane...

MATKA.

Zważaj! chcąc iść w miasto,

Musisz przekroczyć próg ten — — w jaki sposób?

LUIGI. O, jeśli tylko postanowim! Dużo

Zjawi się trudów — wiesz o tem, lecz nie wiesz,

Iżę przymioty, niezbędne w tem dziele,

— A ja przymioty te posiadam, wierzaj —

Na nic się w innem nie zdadzą zamiarze,

Lecz tu niezwykłą wyświadczą przysługę.

Każdy wie dobrze, na co mu się przydać

Mogą przymioty, a nikt nie rozważy,

Do czego służyć mogą jego wady.

Pomniesz, jak ongi-m zbierał w twoim lesie

Krzywe osiki? Ta gałąź pokrętna

Była mi wówczas najwspanialszym łukiem.

Pomyśl, że człowiek po trzykroć ostrożny,

Po trzykroć mądry wejdzie do pałacu

Z tą moją wiarą. Nie! nie! Mam ubranie

Jedwabne, białe, iżby podnosiło

Czarność mych włosów; wschodzę — ty grubymi

Otocz wałami swe życie, przyjaciel

Gotów cię zdradzić! Nie, dzieło chybione,

Jeśli do niego zabierze się więcej

Ludzi, niż jeden... Idź prosto, a tylko

Rzuć nóż niezdarny — idź tak bez wahania

Poprzez te kraty, nie troszcząc się wcale

O straż — ćwiczyłem się w tem ze sto razy,

Bacz, by nikogo nie pytać o drogę,

A tam, gdzie wszyscy się cisną, tam brama
Bram! Tam cię puszczą, tam nikt do nikogo
Nie rzeknie słowa, a on juścić nie wie,
Kto ten wybraniec i skąd on przychodzi
I z jaką sprawą... Wejdz, spojrzij mu w oczy,
Toć noża nie masz ze sobą. A spiesz się!...
On-ci nie krzyknie! Potem wyjdź co prędzej!
O ma Italjo! Italjo! Tyś wolna,
Wolna-ś, Italjo! Ach! śnić mógłbym o tem,
Żem ja wybawił Andrea z wygnania
Pierra z więzienia, Gwaltiera z grobu!

MATKA. Idź! Ale miłość ojczyzny, zda mi się,
Jest najłatwiejszą cnotą dla człowieka
Samolubnego; siebie on miłuje,
A potem kocha świat, to, co jest nad nim,
A nie, co leży między nim a światem,
Tak, jak krótkowidz nie widzi niczego
Pomiędzy sobą a słońcem. Lecz, drogi
I uwielbiany Luigi! Posłuszny
Byłeś mi zawsze i pełen miłości:
Srogim i twardym nazwać cię nie mogę ~
Ale mi powiedz: za co go zabijać?

LUIGI. Chcesz-li mnie kusić albo igrać ze mną?
Gdy Austriacy zdobyli tę ziemię ~ ~ ~
(Jeśli to wszystko, wnet się zadowolę)

Nie drogą zwycięstw, lecz podstępnej zdrady
I że traktaty ~ ~ ~

MATKA.

Dalej?

LUIGI.

(Przyleciała,

Widzisz, kukułka, powiernica wiosny,
Aby jej zdradzić wszystkie plany kwietnia!)
Nie! Lepiej ze mną chodź ku dniom, co idą...
On to ~ ~ nie, oni ~ ~ rozumiesz te sprawy,
Lecz wypowiedzieć nie zdołam... Niech inni
Mówiąć o rzeczach, które przez nich czuję...

MATKA. Lecz czemu nocą? Ranek na przygody
Jakgdyby stworzon... Jowisz jestci teraz
Jutrznią... Luigi, nie pojmuję ciebie!

LUIGI. „Jam jest światłością, mówi Bóg i jutrznią
I ~ takim jutrznię oddaję...“ Podarek
Z jutrzni!... Czyż ja mam ten dar boży, jutrznię?

MATKA. Chiara rada widzi, jak się Jowisz
Zamienia w czerwcu na gwiazdę wieczorną.

LUIGI. Prawda! szczęśliwi, matko, ci, co ujrzą
Czerwiec! Te żarne południa, te grzmoty,
Te uroczyste błyskawice ~ wszystek
Wspaniały tryumf, który z pod tych bożych

Stóp czerwca wielkie zielonemu światu
Obwieszcza święto. Tak! Przyjdzie Chiara.

MATKA. W czerwcu: o, rozważ, sameś dzień jej przyjscia
Na miesiąc czerwiec odłożył...

LUIGI. Ten szelest ~ ~
Czyżby to echo? ~

MATKA. Nie, to wicher nocny...
Pewnie wyrosła ~ ~ z tem okiem niebieskiem,
A tak rozwartem, jakby życie dla niej
Było radosną, słodką, a tak dawno
Oczekiwaną niespodzianką: przyjdzie
W czerwcu.

LUIGI. Pójdziemy razem do Trewizo,
Aby zobaczyć Tyciana... Znowu!
(Z zewnątrz dolatuje śpiew: to)

PIPPA (śpiewa:) Żył król za dawnych lat,
W czas ziemi porankowy,
Gdy bliższy niebiosom był nasz świat;
Naokół jego głowy
Włos się rozwiany snuł;
A tak miał wielką, taką białą skroń,
Ni ten ofiarny wół.
Nie przyszła troska doń,
Starości nieznane mu trudy,

Żył ciszą błogiej uludy,
Zdała od wszelkich burz.
Sny słodkie mu nieba dawały,
Lud mniemał, że król ten wspaniały
Nie umrze nigdy już.

LUIGI. Oby król taki nigdy nie umierał!

PIPPA. Śród skał królewski strzelał gród;
On przed pałacem w słońcu siadał,
Na przychodzący patrzył lud
I każdą sprawę pilnie badał,
Sędziowskie wyroki układał.
Przyprowadzali mu złodziei,
Schwyconych w strągach, zbójców z kniei
O ogorzałej, czelnej twarzy,
Chytrych żebraków i korsarzy,
Trapiących morski brzeg.
Czasem do jego stóp przypada
Jakaś kobieta, nędzna, blada,
I o swej krzywdzie opowiada,
Którą jej straszny zrządził człek.
Czasem do tej przystani
Złoczyńcę powiodą kapłani,
Który, skurczony, skulony,
Ze ściśniętymi ramionami,
Jak w kłębek zwinięty gad,
Cicho się chyłkiem wkradł

Poza świątynny próg:
Sam go pochwycił bóg,
Strzegący w ten nocy mroczny czas
Swoich miedzianych, świętych waz ~
Król przed pałacem w słońcu siadał,
Sędziowskie wyroki układał.

LUIGI. Oby tak każdy król siadywał w słońcu!

PIPPA. Panowie rajcy ~ król ich miał ~
Patrzeli z trwogą w jego oczy,
Lecz nie zmąciło nic przezroczy,
W których się błękit z bielą w jedno zlał.
Pewnego razu Python, wąż,
Z ozorem, rozdartym na dwoje,
W źrenicy płomienne źródło,
Przyszedł, gdzie władny sądził mąż:
Lecz zobaczywszy włos, strojny w jagody
Tak niebywalej, przedziwnej urody,
Że równych wieńców nie ma nawet młody,
Nagi chór dziewic, święte korowody
Czyniący w lesie w bóstwa cześć,
Nieśmiały raz drugi oczu wznieść,
Nieśmiały się zbliżyć, tam, gdzie siadł
Król, by rozrządzać krzywdy, szkody ~
Takich to władców miał ten dawny świat.

(PIPPA przechodzi).

LUIGI. A jakich władców ma ten świat dzisiejszy?

Python dziś siedzi w stolicy, na tronie,
A dzielni ludzie — Bóg ichby uwieńczył,
Gdyby go mogli uśmiercić — w zaułkach
Skrywać się muszą, póki się nie staną
Jego zdobyczą. Lecz jeśli są wieniec
W czasach dzisiejszych, jakaż mi tu słabość
Zabrania sięgać po nie? Bóg mnie wzywa,
Więc po co jeszcze mam się wahać? Żegnaj!

(Rozmowa przy drodze, podczas gdy PIPPA przechodzi z Wieży ku domowi brata biskupa, przylegającemu do katedry św. Marka. Ubogie dziewczęta siedzą na stopniach.)

PIERWSZA DZIEWCZYNA. Jaskółka leci tu w stronę We-
Patrząca na nią, chciałabym mieć skrzydła! [necji —
Wypowiadajcie życzenia — ty pierwsza!

DRUGA DZIEWCZYNA. Ja? Aby słońce zaszło jak najprędzej.

TRZECIA DZIEWCZYNA. A ja, by pewien starzec tak posiwiiał,
Jako mój dziadek, albo jeszcze więcej,
By tak mnie karmił, jak w ostatni tydzień,
Gdy mi kwiczoły dawał i lamprety,
Wino breganckie, mruczając przy tem głupstwa,
Jak się mam niby, kiedy ja w spokoju
Jadłam przysmaki, — by go tego rana
Nie powstrzymało nic, aby — — no, jakżeż — —
„Ej, ty hołoto!“ — czy — — —

DRUGA DZIEWCZYNA.

Jak ona kłamie!

TRZECIA DZIEWCZYNA. Spójrzycie tylko na paznogieć ~ ~

DRUGA DZIEWCZYNA.

Czemu

Paznogieć twoje czerwone?

TRZECIA DZIEWCZYNA. Maczałam

W czerwonym winie i na białym stole

Zle mu kreśliłam słowa... Jak on śmiał się!

PIERWSZA DZIEWCZYNA. Teraz ja: Wiosna i lato się zbliża,

Pragnę mieć suknię, długą, powłóczystą,

Opadającą aż do stóp, z fałdami

Tutaj, zapiętą u szyi ~ na codzien!

A w noc, chłodne noc leżeć w łóżku

I świeże mleko popijać, jeść jabłka,

Słodkie winniczki, renety, szczecinki ~

Ale do tego daleko ~ daleko!

TRZECIA DZIEWCZYNA. Ot, mówiąc krótko: Pragniesz siedzieć

Nic, tylko w domu; a teraz historia [w domu ~

O tym folwarczku, o sadach wiśniowych,

I jak ją kwiecień obsypywał śnieżnym

Kwiatem... Ej! głupia! Dawno już zatarty

Znacek, znaczący twój wzrost; a szpakowi

Twemu skręcono kark, rozbito klatkę,

Ogród się zmienił w kupę gnoju ~ ~ ~

PIERWSZA DZIEWCZYNA.

Jakto?

Ogród zniszczony? Być może... Ja sama
Chciałam go zniszczyć. Tam, na naszym murze
Wyrosło drzewo figowe, mówiono,
Ze to jest moje... Dziś już nie pamiętam,
Czemu — — śnać dawno już, gdym na świat przyszła,
Gdy — gdy — — zda mi się, że słyszę brzęk osy,
Kłującej papier, który rozwieszano,
By w czas owoców precz odganiać ptaki —
Ot, papierzysko, jedzone przez osy.

TRZECIA DZIEWCZYNA. Jak ona plecie! A gdzieżto ja byłam.

Gdy ta paplała o swoich życzeniach,
O długiej sukni, osach? Ej, tak głupią
I jabym chciała być!... Więc na mnie kolej.
Jeśli się spyta kto, dlaczego jestem
Taka o niego stroskana, odpowiem —
(Jeśli powiecie: „Ten, który cię kochał —
Tak oszukiwać już ci go nie można!“)
Ten, co mnie uwiódł, gdym była dziewczyną
O, tak wysoką, kiedym miała oczy,
Jak wy, i włosy, jak wasze, ot, ciemne,
Rude, czy jasne — jak wam się podoba —
Ej! jak ten owad świeci się na ścieżce,
Jak pobłyskuje w tym mroku: o, tutaj —
Masz go! Nie pójdziesz ty już w kukurudzę —

PIERWSZA DZIEWCZYNA.

Gdym jeszcze była młodą, powiadano,

Że gdy takiego zabijesz owada,
Przestaje świecić i jego towarzysz.

DRUGA DZIEWCZYNA. Gdy byłaś młoda? Pewnie, że już dzisiaj
Młoda nie jesteś. O, jakże ci wyschły
Te twoje pełne ramiona! Z łatwością
Mogę je objąć! Czy zawsze cię jeszcze
Bije twój Cecco? Niech tam! Byłeś tylko
Te swoje dziwne zachowała włosy!
Gdybym znalazła środek, by i naszym
Włosom tę barwę nadać — nie tak czarną,
Niecو jaśniejszą, gdyż mężczyźni mówią,
Że już do syta mają czarnych oczu
I czarnych włosów — —

CZWARTA DZIEWCZYNA. O, tak! twoich włosów!
Czy kosztowałaś kiedy ortolanów?
Jadłaś lamprety? Wiecie, Giovita,
O, ta z pałacu, przyrzekła (lecz wierzyć
To jej nie wierzę!) ukrajać polenty —
Dla mnie — tym nożem, który przedtem krajał
Ortolan — —

DRUGA DZIEWCZYNA. Patrzyć tylko, czy to Pippa,
Z którą rozmawiać mamy tam, pod oknem —
Tam, gdzie te światła — — prędej! — —

PIERWSZA DZIEWCZYNA. Co? to ona?
Nie! miała śpiewać!... Tak, mówił zarządcza...

TRZECIA DZIEWCZYNA. Śpiewaj ty pierwsza! A jeśli posłyszysz
I przyjdzie tutaj? ~ Powiem, że masz śpiewać.
Zanuć tę piosnkę, którą skomponował
Ów młody Anglik, ten, co nazwał ciebie
Najniewinniejszą z niewinnych i chciał się
Zabić z miłości ~ co za śmieszne żarty!

DRUGA DZIEWCZYNA (śpiewa).

Kochasz mnie jeszcze? Czekać będę,
Aż twoja miłość wyrośnie;
Latem okwieci kwiat twą grzędę,
Posiany w pierwszej wiosnie.

*

Smutny był posiew mój, być może
Wystrzeli z niego kwiecie;
Choć nie pokochasz go ~ hej, Boże!...
Będzie ci drogi przecie.

*

Na mej miłości ujrzysz grobie
Ten fijołeczek mały!
Nic sobie z śmierci już nie robię:
Twe oczy mnie kochały!

TRZECIA DZIEWCZYNA. (do zbliżającej się PIPPY:) Możesz
przyjść do nas bliżej, nie zjemy cię! Zdaje się, że ty jesteś tą
dziewczyną, do której ten rosły, bogaty, przystojny Anglik tak
niepohamowaną zapłonął miłością. Chodź; powiem ci coś o tem.

IV.

NOC

THE HISTORY OF THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

IN WHICH ARE CONTAINED THE

CAUSES, THE CONDUCT, AND THE

ISSUES OF THE

WARRE CIVILL

AND THE DEATH OF HIS MAJESTY

BY SAMUEL JOHNSON

IN TWO VOLUMES

LONDON: Printed by A. MILLAR, in

St. Pauls Church-Yard, 1729.

THE HISTORY OF THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

IN WHICH ARE CONTAINED THE

CAUSES, THE CONDUCT, AND THE

ISSUES OF THE

WARRE CIVILL

AND THE DEATH OF HIS MAJESTY

Wnętrze pałacu obok katedry. MONSIGNOR, rozpuszczający swą świtę.

MONSIGNOR. Dziękuję, przyjaciele, bardzo dziękuję. Chciałbym dlatego tylko jeszcze żyć, aby każdego z was wynagrodzić. Co nieco wiem już o wszystkim. Co? przygotowana biesiada? Benedictio benedicatur... Uf! uf! Na czym to ja stanąłem? O, jakieś pan zauważył, panie Hugo, powietrze jest łagodne, bynajmniej nie zimowe, ale jestem Sycylińczyk i marznę tutaj w waszym lipcu. Powiadam panu, u nas w lecie, w Messynie, kiedy w dzień Wniebowzięcia idą księża w procesji przez ten wielki plac, to najgrubsze żółte świece nagle się łamią, podobne do gwiazd spadających, albo stapiają się w jedną bryłę wosku. Ale idźcie, moi przyjaciele, idźcie (do zarządcy), nie wy, panie Hugo! (Świta opuszcza apartament). Długom czekał na rozmowę z wami.

ZARZĄDZCA. Uguccio ~

MONSIGNOR. ~ ~ Guccio Stefani ~ człowieku! Z Ascoli, Fermo i Fossombruno; to, czego żądam od pana, to rachunek z zarządu interesami mego brata. Uf!... Nie rozumię nawet

trzeciej części pańskich rachunków, proszę, zanim zaczniemy, może cukierków?... Taki pan nieśmiały?... Co do mnie, to sucha kromka i woda wystarczy...

ZARZĄDZCA. Czy wasza Przewielebność specjalnie wybrał sobie tę noc na obrachunki ze mną?

MONSIGNOR. Tak jest, Ugo... Prowadziłeś pan interesy młodszego mego brata od śmierci brata starszego: Czternaście lat i miesiąc, mniej trzech dni. Trzeciego grudnia — — widzę — — —

ZARZĄDZCA. Jeśli Przewielebność wasza tak jest dokładnie obznajomiony z prawami brata, to nie trzeba cofać się aż tak daleko — nie ma co się nad nimi zastanawiać — — —

MONSIGNOR. Aj! Aj! Uf! Uf!... — Same rozczarowania na tym padole... Trzeciego grudnia ja sam wypłaciłem Panu znaczną sumę. Tak! mówmy o rozczarowaniach. Był tu pewien młodzieniec, Jules, rzeźbiarz cudzoziemski, któregom popierał, aby przysłużyć się kościołowi. Wielkie zapowiadał nadzieje, w tem donoszą mi naraz o dziwnych zmianach w zapatrywaniu się jego na sztukę. Oto list jego: „Dotychczas nie miał, powiada, należytego wzoru w mózgu. Ale od chwili, gdy ręka jego nauczyła się kierować dłutem, starał się naśladować wzory innych mistrzów i, mimo doskonałości, do której doszedł, widzi, że to wszystko jest ostatecznie chybione; ręka jego trzymać się będzie nieświadomie dotychczasowej drogi dawnych przepisów, z fatalną zręcznością powtarzać będzie

dawne typy, a nowe przedstawiają się duchowi jego bez najmniejszej plastyki. Tu tylko jeden jest sposób ratunku: ażeby obraz dziewicy równie niewinnej powierzyć ręce, trzeba poniechać rzeźbę, a zostać malarzem, trzeba charakterystyczne cechy jej malować, nie rzeźbić“ — możnaby raczej powiedzieć: zamazywać, jak to czyniła szkoła Correggia: Cóż pan na to, panie Ugo?

ZARZĄDCA. Czy Correggio to malarz?

MONSIGNOR. Głupi Jules! A jednak, wszystko razem wzięwszy, dlaczego głupi? Być może — prawdopodobnie — wcale mu się to nie uda; ale jeżeli miałby tu nowy powstać malarz, czy pod pewnym względem nie stanie się nim przez poetę lub muzyka (a więc przez umysły, które wzory swoje na innej znajdowały i doskonaliły drodze), przenosząc ideały ich w swoją dziedzinę i unikając dotychczasowych torów jedynie z nieznamośności tychże — ej, panie Ugo; jeśli nie masz apetytu, to przynajmniej pan gadaj, panie Ugo!

ZARZĄDCA. Nie mogę dłużej znieść tego sposobu Waszej Przewielebności. Nasamprzód tworzycie grupę ze mną razem, a potem — stopniowo ją rozwalacie; — powstrzymując mnie swoim uśmiechem i tak postępując dalej, macie mnie wkońcu samego pomiędzy czterema ścianami. I cóż potem? Dajcie spokój farsom i częściej gadaninie. Czego Przewielebność żąda ode mnie?

MONSIGNOR. Ugo!

ZARZĄDCA. Od chwili przybycia Waszej Przewielebności czułem ten uśmiech na sobie, jakbyście mieli zamiar wypytywać

się mnie o to i owo z tych papierów; dlaczego brat mi wasz darował tę willę i ów folwarczek — a wkońcu to wasze kręcenie głową — cóż ono miało znaczyć?

MONSIGNOR. Być może nie chciałem rozmawiać z Panem głośno... Jeżeli kiedy przez ciebie kaszłał, Ugo —

ZARZĄDCA. Mam własnoręczny podpis i pieczęć brata Przewiełbności na wszystko, co posiadam; teraz proszę się zapytać, za co? Za jedną przysługę? — proszę się zapytać.

MONSIGNOR. Wolałbym raczej nie; musiałbym starą wygrzebywać hańbę, mego biednego brata słabostki. Mówiąc mimochodem, Maffeo z Forli (gdyż to, jakem zapomniał zauważyć, jest twoje prawdziwe nazwisko), czyż zdjęto z ciebie klątwę za obrabowanie kościoła w Cesenie?

ZARZĄDCA. Nie, to niepotrzebne; bo jeżeli zamordował przyjaciela waszego brata, Paskala — w jego imieniu — — —

MONSIGNOR. A, użył cię do tej sprawy, co?... I powiadasz, że muszę ci zostawić willę i ów folwarczek, z obawy, aby świat nie myślał, że mój związek z tem bynajmniej nie jest tak niewinny? Maffeo, rodzina ma najstarszą jest w Messynie, a przodkowie moi od wieków płamili się wszelkiem łajdactwem pod słońcem; własny mój rodzic — ale spokój jego duszy! wiem, mam utrzymywać kaplicę, aby miała spokój; moi drodzy dwaj braciśzkowie byli — zresztą ty wiesz o tem najlepiej; a ja, najmłodszy, mógłbym ich doścignąć, jeżeli nie w bo-

gactwie, to przynajmniej w występkach; ale od dzieciństwa odłączyłem się od nich i w ten sposób uniknąłem ich hańby. Chwała moja z innego tryska źródła; albo jeżeli ona, że tak powiem, tylko z przeciwieństwa do nich — — — gdyż ja, biskup, jestem bratem twoich mocodawców. Ugo... Mam nadzieję naprawić niejedno złe, które oni sprawili; o ile złe zdobyte skarby mego brata staną się moją własnością, usunę nie jeden ze skutków jego zbrodni: a z rąk swych ani jednego nie puszczę solda. Maffeo, miecz, który my, spokojni ludzie, odrzucamy, podnosicie wy, łotry, ze ziemi i mordujecie nim; z okazji, której poniechał człowiek szlachetny, podlec zawsze korzystać jest gotów. Pominąwszy inne względy, gdyby nawet — bo tak mi się chce — strawą moją był chleb owsiany, okryciem wór płócienny, a legowiskiem garść słomy — czyż miałbym dlatego pozostawić takiemu, jak ty, wyrzutowi możliwość olśniewania biednych i nieświadomych blaskiem, który w oczach ich zmniejsza zbrodnie, tak całkowicie i tak nierozłącznie z nim związane? Czyż mam oddawać wille i folwarki tobie, takiemu, jak ty, złodziejowi i mordercy, abys, takie mając środki, nowych hodował morderców i złodziei? Nie — — — żeby tylko ten kaszel chciał ustać!...

ZARZĄDZCA. Czegóż mam się spodziewać? Czyż Przewielebność Wasza myśli mnie karać?

MONSIGNOR. Muszę karać, Maffeo. Sposobności tej zaniedbać nie mogę. Mam odrobić całe wieki grzechów, a czasu mam na to jeden lub dwa miesiące tylko. Jakżeżbym ja się odważył wypowiedzieć te słowa — — —

ZARZĄDCA. „I odpuść nam nasze winy“ — —

MONSIGNOR. Dlatego tylko, mój przyjacielu, że czuję się sam robakiem, żem ponadmiar grzeszny, odczuwam sposób postępowania, któryby ci się zapewne podobał. Mamże, w takim razie, przebaczać? Ja, nie mający ani krzty powodu myśleć inaczej, jak tylko w ten sposób, że największe usiłowania moje zaledwie mnie samego od śmiertelnego wybawią grzechu, a cóż dopiero innych! Nie! Grzeszny jestem, ale nie chcę podwajać mej winy, pozwalając grzeszyć tobie.

ZARZĄDCA. Dlaczego nie przypuszczać, że to nie brat Waszej Wielebności daje te wille, a wy że nie jesteście od tego, aby je brać? Ojciec Wielebny zbyt jest pochopny w tej chwili.

MONSIGNOR. 1, 2 — Nr 3! — ej! Ej! możesz mi pan przeczytać list nr 3, który otrzymałem z Rzymu? List ten zawiera przypuszczenie, a i ja to podejrzewam, że dziecko mojego najstarszego brata, które byłoby odziedziczyło po nim wszystko, zostało w pierwszych latach życia zamordowane przez ciebie — za namową brata młodszego, i wtedyto nakazał mi Papież, abym nietylko tego Maffea do należytego dostawił ukarania, ale i żadnych nie zaniedbał trudów, iżbym, jako zawiadowca tego dziedzictwa dziecka, ściągał z tego majątku na rzecz kościoła co się da, jak się da i kiedy się da. Podczas kiedy zajęty jesteś obgryzaniem paznogci, mój Maffeo, policja pieczętuje twoje papiery i samo tylko podniesienie głosu mego wystarczy, iżby zbiegli się moi ludzie i zrobili z waćpanem porządek. Spodzie-

wam się jednak, że wyznasz wszystko, bez hałasu, że ja głosu podnosić nie potrzebuję. Cóż, panie bracie, nie znasz dawnych dziejów? Dziedzic, który po dziedzicu, mającym dopiero nastąpić, dziedziczy dziedzica tamtego łotrowskie narzędzie, skutek ich sprzysiężenia, życie, pełne trwogi, przekupstwa i to wiele mówiące, uśmiechnięte milczenie? Powiedz, czyś dziecko mego brata zadusił czy zakłuił? Gadaj!

ZARZĄDCA. Takie dawne dzieje i nie umieć ich lepiej opowiedzieć. Kiedyż takie narzędzie mogłoby taką popełnić zbrodnię? Albo dziecko uśmiechnie mu się w oczy, albo — co jest prawdopodobniejsze — on nie będzie znowu takim szaleńcem, iżby się całkowicie oddawać w ręce swego mocodawcy: dziecko to każdej chwili pokazać można — — jak to mówi Wasza Przewielebność? — — jakkolwiek, gdziekolwiek i kiedykolwiek.

MONSIGNOR. Kłamco!

ZARZĄDCA. Mnie bić! A! ojciec tak bić powinien! Przynajmniej będę dobrze spał tej nocy, choć jutro czeka mnie szubienica, bo jakieżto ja miałem życie? Carlo z Ceseny przypomina mi swoją — cierpliwość, ile razy wysyłam mu roczną jego płacę — a czynię to przynajmniej trzy razy do roku. Gdybym nie chciał — — — wyzna wszystko biskupowi, powiada, to znaczy Waszej Przewielebności.

MONSIGNOR. Widzę dobrze twój podstęp, łotrze! Chciałbym, iżbyś choć raz powiedział prawdę. Mimo to — zbadam wszystko, siedemkrotnie wszystko zbadam.

ZARZĄDZCA. A jak mi ciążyły te głupie bogactwa! Nie miałem odwagi zabrać ani połowy mych posiadłości. Pozwól mi ulżyć sercu, chwalić niebiosa i umrzeć!

Panie! Nie jestem takim brutalnym, tchórzliwym idiotą, jak twój brat! Zrozumiemy się wzajem! Panie! Dla ciebie usunę ją — tę dziewczynę — — mam tu ją pod ręką, — nie w drodze niezdarnej, widocznej śmierci; Wasza Przewielebność niepotrzebuje nic mówić, nie potrzebuje nic wiedzieć ani o niej, ani o mnie! Widuję ją codziennie — widziałem ją dziś rano: tutaj mordować się jej nie będzie, ale w Rzymie gamratki giną w przeciągu lat trzech, ja mogę ją tam wywabić; jużem odpowiednio poczynił starania. Jest tu pewien rozpustny, niebieskoki, kwitnącej tuszy Anglik młody, którego od czasu do czasu używamy, ja i policja. Wiem, że Przewielebność Wasza na to się zgodzi — nie, zgodzi się to nie jest wyraz — ale Przewielebność Wasza pozwoli mi spieniężyć me dobra i da mi dosyć czasu, abym mógł czmychnąć tam, poza Alpy? To tylko mała, czarnooka, ładna, śpiewająca Felippa, wesola dziewczyna, zajęta w przędzalni jedwabiu. Do tej pory chroniłem ją od nędzy, chciałem ją bowiem zachować, ażeby na długie lata była postrachem twego życia. Wszystko zarządziłem dobrze i na zawsze. Postarałem się o kilka kobiet, a te przedstawiają jej mego ładnego łotrzyka, Bluphocksa, w charakterze kogokolwiek. — A skoro Pippa będzie już uwiedziona — — Przewielebność Wasza rozumie? — — Śpiewa? — — — A co, będzie interes?...

(Zewnątrz dolatuje śpiew:)

PIPPA (śpiewa:.) Drzew gałęzie wspólnie rosną,

Kwiat się z trawą łączy wiosną,
Ja ni siostry ani brata,
Sama jestem pośród świata.
Wiem od dawna: głos ptaszęcy ~
A i zwierząt ~ to nic więcej,
Tylko niby ludzka mowa ~
Choć w nim większy czar się chowa!
O jak bliskie jest mi słońce!
Gwiazdy znam ni palców końce,
Wiem, ku jakiej się potrzebie
Zmienia księżyc ten na niebie;
A gdy żadna jego zmiana
Już nie będzie mi nieznana,
Bóg mnie wziął do siebie!

(PIPPA przechodzi).

MONSIGNOR (zrywając się:) Hej! ludzie! wszyscy za jednego!
Hej, do mnie! Pochwycić tego łotra! Skrępować mu ręce! Precz
z nim! On się waży ~ ani przez pół nie wiem, na co on się
waży ~ ale brać go! Prędko! Miserere mei domine!... Mówię
wam ~ co tchu!...

THE HISTORY OF THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

IN WHICH ARE CONTAINED THE

CAUSES, THE CONDUCT, AND THE

ISSUES OF THE

WARRE BETWEEN HIM AND HIS

PARLIAMENTS

BY SAMUEL JOHNSON

IN TWO VOLUMES

LONDON: Printed by A. MILLAR, in

St. Pauls Church-Yard, 1739.

THE HISTORY OF THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

IN WHICH ARE CONTAINED THE

CAUSES, THE CONDUCT, AND THE

ISSUES OF THE

WARRE BETWEEN HIM AND HIS

PARLIAMENTS

BY SAMUEL JOHNSON

IN TWO VOLUMES

LONDON: Printed by A. MILLAR, in

St. Pauls Church-Yard, 1739.

EPILOG

THE HISTORY OF THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

IN WHICH ARE CONTAINED THE

CAUSES AND CONSEQUENCES

OF THE CIVIL WARS

IN GREAT BRITAIN

FROM THE YEAR 1625

TO 1649

BY SAMUEL JOHNSON

ESQ; OF LINCOLN'S INN

LONDON: Printed by A. MILLAR, in Strand, 1757.

THE HISTORY OF THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

IN WHICH ARE CONTAINED THE

CAUSES AND CONSEQUENCES

OF THE CIVIL WARS

IN GREAT BRITAIN

FROM THE YEAR 1625

TO 1649

BY SAMUEL JOHNSON

ESQ; OF LINCOLN'S INN

LONDON: Printed by A. MILLAR, in Strand, 1757.

Znowu izdebka PIPPY.

PIPPA (wchodzi). Muszka w swej dziurze

I w ulu pszczoła

Przetrzymać burze

Zimowe zdoła.

Co robią te inne stworzonka dokoła,

Jać tego nie wiem zgoła.

Pięknie-ć dziękuję za radę, ma Zanze:

„Jeść lamprety, pić Breganze!”

O nie! tak zmarnować dni letnie żywota

Bez troski o jutro, gdy zima zawoła,

Gdy zima ci stanie u płoża!

Co robią te inne stworzonka dokoła,

Jać tego nie wiem zgoła.

Hej! zawsze! twa rada jest nader wesoła:

„W obcisłych trzewiczkach porządny człek chodzi,

A nie — jak to mówią?... w podobnych do łodzi.”

Zepsuta dziewczyna! Ja mam być zepsuta,

Jak inne bezwstydne, bezczelne dziewczęta?
Nic sobie z owego nie robię filuta,
Co stroi żarciki: „Czy panna pamięta? — —“
Nie! Wcale ja tego młodzieńca nie pomnę,
Co w naszej przędzalni miał być przed miesiącem —
O włosie jedwabnym, spojrzeniu tęskniącym —
Na palcach, powiadasz, pierścienie ogromne?
Nie! Ale zobaczysz, niech tylko ten Luka
Dotrzyma przyrzeczeń: — o, wielka mi sztuka,
Me plany się spełnią niezłomne!
Na wyższą, niż twoja, wylezę ja grzędę,
Piękniejsze od twoich trzewiczki mieć będę,
Tak, Zanze!... Błuph!... Po co mnie trudzi
To dziwne imię, znane mi, gdy sfora
Służby wypadła z domu Monsignora,
By stłumić nasze hałasy! Nie pora
Juścić to była największego z ludzi
Trapić... Lecz każdy człek się łudzi:
I najcnotliwszy nie ma prawa
Zbyt dumnie podnosić skroni!
W aniołów rzędzie nikt nie stawia;
A nienajgorszy czyn ludzki wygoni
Djabła — więc z pychą precz, bo cóż jest po niej?...
To przedsię do mnie stosować się może,
Gdyż ja to byłam tobą, Monsignorze,
Luigiego byłam także matką,
A i Luigim! Jak on uszedł z Wieży!
Jak on, patrzajcie, co tchu teraz bieży

Spełnić zapewne jakąś cnotę rzadką!...
Z kaźni w przebraniu umknął wędrownika,
Za nim, niezwykle żałując zdobyczy,
Skomli, jak sfora, puszczone ze smyczy,
Ta tłuszcza ohydna i dzika.
Także Ottimą była moja dusza
I narzeczoną rzeźbiarza Juliusza.
Teraz czym jestem? Dla błazeństw otwarty
Dzień był, a nocą zbyt uczciwe są żarty.
Nowy rok minął — chwila święta,
Czy źle czy dobrze, jam kontenta.
I ma lilia śpi — hej, oczy
Otwórz! Druha ci przynoszę:
Ciszy serca kwiat uroczy,
Słodkie będą twe rozkosze!
Tutaj, widzisz, trzy są płatki
Z trzema kropki — kwiat to rzadki!
Trzy pręciki — wszystko broni
Nieskalanej form harmonji.
Nie doznało nic tu zmiany,
Kwiat to pełny, niezmierzony,
Król to kwiatów! I dokoła
Szuka lubej: „patrzcie“ — woła —
Na mój kształt, wy płone zioła!
I powiada: „Zenza z Brenty
Tak najadła się polenty,
Że jej lica samem zdrowiem,
Jak — o, tego nie wypowiem!

Pokraśniała, zróżowiała ~
Po breganckiem, słodkiem winie
Twarz jej kąpie się w karminie,
A tak była dawniej biała;
Tylko oczy niezmienione,
Wciąż te same. Mówią one ~
Niech to zważy myśl ostrożna, ~
Co uzyskać było można“.

O w jakie straszne dzień mój zapadł mroki!
Jak mogły słońce pochłonąć te chmury?
Złociste ranka nie wrócą obłoki ~
Pippo, zniknęły w tej nocy ponurej!
Dzień twój przeminął, noc się rozzuchwała!...
Niech przez cię, skowronku boży,
Dzień biały się otworzy
Zięb, szczygłów gromadce hożej ~
Najlepszych od dnia trzymaj zdale!
A nocą, bracie puszczyku, ty z wieży
Świat lasu zwołuj na modły ~
Tłum śliskich nietoperzy
Oby twe jęki przywiodły!
Mnichy i zakonnice ~
Sów, gacków ciemne kapice
Niechaj się zbiorą w dziupli starej jodły
Na ucztę nocnych pacierzy!...

A teraz chciałabym wiedzieć, o ile
Jam się zbliżyła do tych, którzy w przędzy
Mych marzeń żyli cały dzień dzisiejszy.

Czym ich popchnęła naprzód choć na chwilę —
Na krótką chwilę — ku dobru czy nędzy? —
Czy radość zwiększy się, czy ból się zmniejszy?
Jutro znów muszę się
I jedwab będę prąść.

(Siadając na krawędzi łóżka).

Suknię Ottimy niech jedwab ten stroi!
Zda mi się, losu ich i doli mojej
Treść usłyszałam dziś w mej rannej pieśni — —
To się lub owo prześni lub nie prześni.

(Położywszy się:)

Już się nie będę modlić... Bóg mnie strzeże...
Czy tak czy owak, w prawdę hymnu wierzę...
Wszyscyśmy bożych rąk narzędzia...
I zły i dobry w jego matni
I nikt tu pierwszy, nikt ostatni.

(Zasypia).

KONIEC.

THE HISTORY OF THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

IN WHICH ARE CONTAINED THE

CAUSES AND CONSEQUENCES OF

THE CIVIL WAR

AND THE DEATH OF THE KING

BY SAMUEL JOHNSON

IN TWO VOLUMES

LONDON: Printed by A. MILLAR, in

St. Paul's Church-Yard, 1739.

MDCCXXXIX.

THE HISTORY OF THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

IN WHICH ARE CONTAINED THE

CAUSES AND CONSEQUENCES OF

THE CIVIL WAR

AND THE DEATH OF THE KING

BY SAMUEL JOHNSON

IN TWO VOLUMES

LONDON: Printed by A. MILLAR, in

St. Paul's Church-Yard, 1739.

MDCCXXXIX.

PRÓBY ANGIELSKIEJ POEZJI
DRAMATYCZNEJ

THE HISTORY OF THE

REIGN OF HENRY THE SEVENTH

BY JOHN HALLAM

ESQ. OF LINCOLN'S INN

AND

OF THE TEMPLE

IN TWO VOLUMES

LONDON

PRINTED BY J. JOHNSON

ST. PAULS CHURCH-YARD

1795

CONTENTS

THE HISTORY OF THE

REIGN OF HENRY THE SEVENTH

BY JOHN HALLAM

ESQ. OF LINCOLN'S INN

AND

OF THE TEMPLE

IN TWO VOLUMES

LONDON

PRINTED BY J. JOHNSON

ST. PAULS CHURCH-YARD

1795

ROBERT BROWNING ❁❁❁

NA BALKONIE

THE HISTORY OF THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

BY SAMUEL JOHNSON

IN TWO VOLUMES

LONDON: Printed by A. MILLAR, in Pall-mall

1729

THE SECOND VOLUME

CONTAINING

THE HISTORY OF THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

BY SAMUEL JOHNSON

IN TWO VOLUMES

LONDON: Printed by A. MILLAR, in Pall-mall

1729

THE SECOND VOLUME

CONTAINING

THE HISTORY OF THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

BY SAMUEL JOHNSON

IN TWO VOLUMES

LONDON: Printed by A. MILLAR, in Pall-mall

1729

THE SECOND VOLUME

CONTAINING

THE HISTORY OF THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

BY SAMUEL JOHNSON

IN TWO VOLUMES

LONDON: Printed by A. MILLAR, in Pall-mall

1729

OSOBY:

NORBERT.
KONSTANCYA.
KRÓLOWA.

THE HISTORY OF THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

IN WHICH ARE CONTAINED THE

CAUSES, THE CONDUCT, AND THE

ISSUES OF THE

WAR OF THE ROSES

BY

JOHN RICHARDSON

OF THE MIDDLE TEMPLE

ESQ.

LONDON

Printed by J. Sturges, in Pall-mall

THE HISTORY OF THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

IN WHICH ARE CONTAINED THE

CAUSES, THE CONDUCT, AND THE

ISSUES OF THE

WAR OF THE ROSES

BY

JOHN RICHARDSON

NORBERT. KONSTANCYA.

NORBERT. Teraz!

KONSTANCYA. Nie teraz!

NORBERT. Podaj mi znów ręce —

Złóż je na czole — patrz, jak ono bije!
Do ocz przyciśnij — jaki żar z nich tryska!
O ty najsroźsza! ty najdroższa w świecie!
Królowa musi spełnić, o co proszę.
Jakżeż cię posiąść, nie prosząc królowej?
Czekając na mnie, stoi — tam, ty — tutaj;
Raz trzeba prosić, dziś nadeszła pora,
Dzisiaj uzyskam, o co ją poproszę:
O luba, pozwól ją prosić!

KONSTANCYA. Idź, zgub nas!

NORBERT. Nie! teraz, luba! Ma dusza złamana!

Jak ja cię kocham! Ustąp mej miłości!
Człek jedno życie ma i skon li jeden,

Jedno ma niebo i jedno ma piekło!
Niechaj się spełni los mój, daj mi niebo!
Niech widzę dzisiaj i czuję, żeś moją!
Na skroni twojej wycisnę me imię —
Pragnę cię posiąść i potem, jeżeli
Bóg tak dopuści, chcę umrzeć w tem szczęściu!

KONSTANCYA. Czyliż nie twoja? Gdzież twój spokój? powiedz!

Nie jestem jego, ja, co weń się zmieniam,
Ja, której serce jego bije sercem,
Ja, co mu daję te ręce, te oczy,
Te moje włosy — wszystko, co posiadam —,
Tak, że ten duch mój, zmienion w jego ducha,
Zwraca się dzisiaj przeciw mnie, kobiecie,
I nie pozwala, by on się potykał
O lada słomkę, nie chcę, aby światu
Było wiadome, jak on ją ukochał,
A ona jak go uwielbia! Ty masz ją,
Ale dotychczas nie masz świata. Naprzód,
Idź, mówię, naprzód, nie wstrzymuj się dla mnie,
Nie troszcz się o to, czego ja nie pragnę,
O los wspaniały i o głośne imię.
Imię to ciężyć ci będzie, dla pustej
Dobre parady, więcej dla niczego;
Dobre li na to, by się świat wyśliznął
Z rąk twych i aby zawołał: „O, setki
Koron jest godzien ten człowiek, a nie ma
Wcale odwagi sięgnąć choć po jedną!“

NORBERT. Świat!

KONSTANCYA. Ty go kochasz! kochaj mnie tak samo!
O to mi jedno nie daj próżno błagać!
Cóż cię obchodzi, co świat wie i myśli?

NORBERT. Błagasz napróżno — o co?

KONSTANCYA. O Norbercie,
Jak ja cię kocham, serce mego serca!
Ale posłuchaj — albo dłoń tę cofnę —
Mówisz: „nie! teraz!” Chcesz iść do królowej,
Sześć może kroków iść chcesz i powiedzieć,
Jakoś ukochał mnie! — Tak, Bogu dzięki!

NORBERT. Bogu niech będą dzięki!

KONSTANCYA. Tak, Norbercie!
Radbyś swą wyznać miłość i o moją
Prosić ją potem rękę — Weź tę różę,
Popatrz się na nią i posłuchaj: Pierwszym
Jesteś królowej ulubieńcem, jesteś
Pierwszym jej sługą, i nie bez przyczyny.
Ta noc dzisiejsza wieńczy twoje dzieło,
Na cześć twej pracy jest ta uroczystość
Dzisiaj w pałacu, noc to przepamiętna
Świetnym jej życia tryumfem, albowiem
Dwie dziś na skroń swą włożyła korony,
O czem od wieków dom jej próżno marzył:

Ja-ć się pozwalam całować, w twej dłoni
Dłoń ma spoczywa ~ a czy wiesz, dlaczego?
Ja ci to powiem: wolno ci całować,
Ponieważ imię masz na dworze, wolno
Brać ci tę rękę i tę, byś ~ gdy zechcesz ~
Mógł na nie wkładać klejnoty. To straszne?
Stosuj to wszystko do królowej, pomyśl,
Żem ja królową, do której przemawiasz:
„Człek bezimienny byłem, tobie, Pani,
Potrzebną była ma pomoc; dla czego-ć
Jam ofiarował swe usługi? Piękna
Przy twoim boku stała kuzyneczka.
Dlaczegom sprawę twą uczynił swoją?
Nie uzyskałbym inaczej jej ręki.
Trudom mym zbytnie oddajesz pochwały? ~
Owszem ~ me trudy stały się zabawką
Z chwilą, gdy na nie spojrzały jej oczy.
Jakżeż te trudy nagrodzi twa wdzięczność?
Daj mi jej rękę!“

NORBERT. Pytam: czy królowa
Jest sprawiedliwą? Jest wspaniałomyślną?

KONSTANCYA. Owszem, jest! Kochasz różę, nic w tem złego:
Lecz czy dla róży, czy z miłości dla mnie
Tulisz do piersi kwiat ten? Dla mnie, rzekłeś,
I zawsze powiesz tak, nie chcący kłamać.
Rzekłeś królowej, że dla niej li służysz,

Teraz utraci wiarę i pomysli,
Ześ tylko służył dla siebie. Ja znam ją!
Tu stąd sześć kroków, w sali, ze dwadzieścia
Wisi obrazów; życie tam bujniejsze,
Niż życie samo, przecież to nie życie!
W takim to, pomyśl, czarodziejskim domu
Urodziła się królowa; tu ona
Świat cały widzi, jego dzieje, czyny,
Walki olbrzymów i biesiady bogów,
Mędrców w senacie i piękno w kąpielu,
Bitwy i łowy, wszelką rozkosz ziemi,
Widoki morza, krajobrazy, kwiaty —
Widzi to wszystko w piękniejszej postaci,
Niżby zobaczyć mogła poza ścianą
Swego dworzyszczka. Lecz niech kto przywiedzie
Do tej milczącej galeryi stworzenie
Ze krwi i ciała, obok malowidła
Niech lwa postawi żywego, czyż ona
Pozna się na nim od razu i powie:
„Oto towarzysz lwa, tego z myśliwskiej
Sceny, któregom tylekroć sławiła!“
Nie! jej znajomość naszej ziemi, naszych
Trwóg i nadziei, gniewów i sympatyj
Zbyt jest pośrednia, zbyt nierzeczywista.
Dla nas istnieje rzeczywistość, nigdy
Dla niej; jej życie zamknięte w tych ścianach.
Miała i ojca i matkę, a jednak
Nie miała ojca ni matki; przyjaciół

I zalotników miała co niemiara,
I mąż się zjawił w odpowiednim czasie,
A jednak wszystko kłam to był i złuda!
Piękne obrazy — malował je Rubens —,
Gdzie widać dobroć i przyjaźń i miłość,
Wszystko to razem wspanialsze od życia,
A przecież nic to! nie życie! To maski
I suknie barwne, które tam podziwiasz!
Jakżeż to ona odczuje, tak, ona,
Co lat pięćdziesiąt była w tej galerii
Samotnym widzem? Jakżeż to odczuje,
Kiedy jej naraz przywiedziesz przed oczy
Tę ogniem życia buchającą miłość?
Mniemasz, że przyjmie ją spokojnie? Prawdę
Nasza jest miłość, czyż ona tę prawdę
Pozna na pierwszy rzut oka, odróżni
Od malowanej wierności? Jedynie
Mógłbyś przemówić do niej tak: „My, ludzie,
Na to stworzeni — rzecz ma dużo nazwisk,
Lecz jedno tylko jest prawdziwe; teraz
Bądź sprawiedliwą, królowo!“ Twe życie
Wstecz się potoczy; rzekłszy to, utracisz
Swoją królowę, a i mnie nie zyszczesz.
Ona nie pojmie tego! Mój Norbercie,
Czy nie rozumiesz?

NORBERT. Królowa królową.
Ja zasię jestem ja! Nie żaden obraz,

Lecz żywy człowiek w każdym ścięgnię, w każdym
Nerwie, stojący nad ciżbą ulicy
W oknie pałacu tego, tak jak ona
Przebywa teraz wśród swych malowideł.
Przedrogi jest nam obojgu skarb życia.
Ona nie umie kochać. Cóż mi władza?
Kiedym przed rokiem ujrzał po raz pierwszy
Twoje oblicze, ujrzałem skarb życia;
Głos brzmiał mi w duszy: Życie nic nie warte
Bez tej kobiety! Wszystkie bole świata
Gotówem dźwigać, wszystką jego rozkosz
Zgarnąć i kopnąć, byle tylko osiąść
Ją — tę jedyną! Jakżeż to uczynić?
Byłaś kuzynką królowej — słyszałem,
Więc by cię zdobyć, poszedłem w jej służbę.
Innej nie było drogi. Jeśli była,
Jeśli modłami do jakowejś gwiazdy,
Ciałem i duszą jej oddany, mogłem
Pozyskać ciebie — mów, czyż trzeba było
Modlić się do niej, do tej gwiazdy białej,
Czy nie?... Służyłem królowej, więc innej
Nie było drogi. Spełniałem, co inni
Spełniać się tutaj lenili. Swojemu
Celu nie zdradzał, ona nie pytała.
Żniwo mych działań dla niej, a zaś dla mnie
Wynagrodzenie, tem wynagrodzeniem
Ty, a nikt inny! Jeśli śniła kiedy,
Że to nie może być, więc niech się zbudzi!

Czyżby myślała, że bodźcem mi będzie
Pragnienie władzy, sława, przywiązanie
Do królewskiego jej tronu? Jeżeli
Jej urojeniem było, że dla takich
Pustych majaków poświęcamy życie,
To urojeniem mojem: Pracowałem,
Bom cię pożądał wszystką moją duszą,
Więc też poproszę o twą rękę... Pozwól!...

KONSTANCYA. Gdybym od pierwszej nie kochała chwili,
Nie była twoją, gdybyśmy się chytrze
Tak nie czaili, tak podstępnie, czelnie,
Rozumiałabym niecierpliwość twoją.
Cóż nas obchodzą — tamci? Gdzież ty teraz?
Zanurzon w aktach — — gdzież ja teraz jestem?
Zajęta strojem świątecznym... W uściskach
Myśmy wzajemnych, nad nami dłoń śmierci!
Cóż ci za powód kazał przerwać radę?
By się na chwilę spotkać w kurytarzu.
Potem te sztuczki, wybiegi tajemne,
Skryste umowy, zagadkowe znaki,
Długo, głęboko obmyślane plany
Schadzek, gra spojrzeń: „wie czy nie wie o tem?”
Dobrze, czy źle jest wszystko — co? Rok cały
Takich kradzionych rozkoszy — dziś na nic?!
Chcesz go zamienić na bity, odwieczny
Gościńiec świata, na którym się bije
Albo sprzedaje żony? Tak cię wabi

To jawne jego szczęście, że się wstydzisz
Szczęścia naszego? Cóż zyskasz? To tylko,
Ze się królowa zgodzi, że ci odda
Swoją krewniaczkę, że się tak pozbędzie
I mnie i ciebie i żyć nam pozwoli,
Jak żyje naszych pięciuset przyjaciół.
Świat skrzętną ręką wskaże nam sypialnię
I straż postawi tam, gdzieśmy tak nieraz
Umieli tropy jej zmylić. Tak, słuchaj
Porady świata, spętaj-że sokoła,
Niech obowiązek będzie odtąd rączy,
Jak rączę była dotychczas natura.
Czyż nam, sokołom, wolno li polować
Z ręki? Mężczyzny myśl to, nie kobiety!

NORBERT. Tak, myśl mężczyzny — więcej! myśl to moja,
Który-m jest po to, by cię kochać! Niechże
Wie to świat cały! Godne-m spełnił dzieło
Dzięki miłości, choć ją tamowały
Groble zastrzeżeń, form, choć przymusowa
Wzrok jej ślepiła tajemniczość! Puść-że
Wolno mą miłość, a ujrzysz, co będzie
Z mojego życia, co za czyn się zrodzi!
Z innych powodów spełnia świat swe dzieła —
Pragnienie władzy, sława — oto cele!
Owszem; lecz dzisiaj mój poziomy powód
Niechaj ich górne zawstydzi przyczyny!
Prawda jest siłą! Niechże będzie prawdą

Zycie człowieka! Mą prawdą jest miłość.
Czas to niech stwierdzi! Pragnę, by twe imię
Na mojej wszytkiej widniało istocie,
Przypieczętować chcę je do mej skroni,
Do mojej piersi, do klingi mej szpady,
Do mojej wstęgi, aby świat cię widział
We mnie, by miłość wątpa umierała
W obliczu mojej miłości — ze wstydu!
Zgódź się, Konstancyo! Tak długo się miłość
Wzierała w wnętrze, ujarzmiona we mnie,
Że teraz jest już całkiem mną i musi
Znaleźć już ujście! Wspomnij na me dzieło,
Na ten wir intryg, na trwogi, nadzieje,
Na niespodzianki i zwłoki, na długi,
Cierpliwy trud mój, który dzisiaj z drżeniem
Dotarł nareszcie do celu — czyż teraz
Miałby się cofnąć? Zda się, że po śmierci
Przyszędłem znowu do życia — gdyż życiem
Jest to po długich, bezmiłosnych chwilach
Pracy —, że zdążam swobodnie ku Pięknu,
Gnan wielką żądzą świata, która nieraz,
Spełniając we mnie swe dzieło, pod własnem
Padła jarzmem. Dziś nadszedł ten wieczór —
Patrzaj — ta pierwsza gwiazda — drży tak blisko,
Ze tylko ręką ją ściągnąć; snąć płonie
Pomiędzy ziemią, która się podnosi,
A między niebem, kłoniącym się ku niej;
Przyroda w sobie zamknięta, krzew każdy

I kwiat wszelaki zagłębia się w własnej,
Cichej zadumie — nigdzie wstydu, pychy,
Nigdzie zwyczajstwa ani też porażki,
Wszystko, pod władzą Boga, własną miarą
Żywot swój mierzy. Naokół posągi
Stoją w właściwych odstępach: jest siła
W sile i słabość znalazła swój wyraz
W tem, co przedstawia słabość. Muza lirę,
Nimfa ma łanię, a Milczenie różę;
Stwórcą spogląda na wszechświat — posłuchaj:
Żyjmy, jak wszystko, w zgodzie z prawdą, wierni
Swym własnym wnętrzom! Krok uczynimy pierwszy,
A w trop się zjawi i drugi — mym pierwszym
Jest posiąść ciebie!... Zagrała muzyka,
Zagrała marsza. — Naprzód! do królowej!
Ciebie zażądam od niej — niech wie o tem
Świat, niech podziwia i bije oklaski!
Życia naszego pęka kwiat, więc dalej!...

KONSTANCYA. Więc mamy zginąć oboje! Norbercie,
Do szpiku kości znam ją, ty jej nie znasz;
Nazbyt daleko od niej się urodził,
Byś czuł, co ona widzi, a zaś czego
Widzieć nie może... Jest wspaniałomyślną —
Mimo twojego uśmiechu, — tak samo
Wspaniałomyślną, jak i ty; w tej wątlej,
Troską i bolem strawionej postaci
Rozrzutna żyła dusza i umarła

Z braku żyznego pożywienia. Spójrz,
Z litością spójrz na nią, nim rozpoczniesz —
Zwyczajem mężczyzn —, ufny w swoje prawo,
Żądać nagrody za przeszłość... Zobaczysz,
Jaką-ć wymierzy sprawiedliwość! Słuchaj:
Tak my, kobiety, nie lubim być dłużne,
Jak wy, mężczyźni, nie lubicie darów.
Przypuść, że jakas jest nauczycielką,
Zmuszoną w letnich miesiącach doglądać
Zabaw swych uczniów, choć sama się czuje
Wyższą nad płochosć dziecinną, gdy z pychą
Wychowawczyni spogląda tak z krzesła
Na życie, słońce, śmiechy, na tę młodość,
Można-ć się dziwić, że będzie z ukosa
Patrząc i na nas? Nie budź w niej uczucia —
Trud to daremny, nie ma czego budzić! —
Lecz wzbudź w niej wiarę, że jej sprawiedliwość
Powinna przybrać pozory uczucia,
A wnet zobaczysz, jak ta dusza chłodna
Będzie starała się rozgrzać! Czy sądzisz,
Ze ona kocha mnie? Bynajmniej! Jednak,
Myśląc, iż rzeczą będzie sprawiedliwą
Przygarnąć krewną, wzięła mnie do siebie
I stokroć więcej uczyniła dla mnie
Z tej jednej, marnej przyczyny, niż miłość
Z ważniejszych może uczynić powodów.
Ja jej tym samym nie odpłacę chłodem,
Miłość jej daję, nie mam nic ponadto.

Czuając, że winnam jej pomódz, chcę pomódz!
Ze względu na nią i ciebie powtarzam:
Tak, my, kobiety, nie lubim być dłuźne,
Jak wy, mężczyźni, nie lubicie darów.
Jabym w twem miejscu zyskała jej względy —
Na karb miłości złożyłabym wszystko;
Wcale fałszywym nie będąc dworakiem,
Rzekłabym: „czynów moich powodzenie
To ma nagroda!“ I czyż to nieprawda?
Potem, rozkuwszy jej wspaniałomyślność,
Takbym ją, będąc tobą, skierowała
Niepostrzeżenie, że wzięłabym tylko
To, co mi sama raczyła w nagrodę
Oddać — to znaczy, rękę jej krewniaczki,
Najbliższej tronu, będącą niejako
Cząstką niej samej — boć przecie królowej
Nikt się nie waży kochać wprost, a temu,
Kto mieć nie może imienia czy rzeczy,
Echo wystarczy albo cień... Wstążeczki
Jakieś poszukaj, którą na swych piersiach
Kiedys nosiła, na dowód, jak drogi
Jest ci jej oddech... Powiedz, żem ci blizka,
Ze ci się zdaje częstką jej istoty,
Poproś o rękę moją — wszak rozumiesz?
Ona-c łaskawie zgodzi się... Lecz jeśli
Zechcesz wymusić od niej, wtedy — — — Pomnij,
Jeżeli w przepaść zepchniesz mnie i siebie,
Tak o niewdzięczność oskarżaj królowę...

NORBERT. Jeśli wybiorę drogę tę, czyż zgoda?
To nie ma droga! Więcej prawdzie ufam!
A jeśli nie chcesz prawdy, już cię chyba
I to, co powiem, zbyt nim nie jest fałszem.
Zostaniesz tutaj?...

KONSTANCYA. O serce najdroższe!
Jakżeż ja ciebie kochałam! Więc teraz
Moją wybierasz drogę? Jesteś moim
Teraz ministrem, jak jej byłeś przedtem,
Myśl wykonujesz moją, plan mój słaby
W dzieło przemieniasz silne i skuteczne?
Pomnij: zawdzięczam tej zwiędłej kobiecie
Wszystko — me życie, szczęście, ciebie! Pomóż,
Bym się jej mogła odplacić! Na swoim
Chcesz się opierać prawie i zabierasz
Z sobą mą różę, me ręce, me serce?
Twoje prawo mojem, moje li masz prawo!

NORBERT. Pozostań tutaj... Jak ty znasz mnie!

KONSTANCYA. Przecież — —

(Norbert wyrывa się z jej objęć; ona pozostaje. Z wnętrza dolatują dźwięki
muzyki tanecznej. Wchodzi KRÓLOWA.)

KRÓLOWA. Konstancyo! Tutaj — tak, jak on powiedział...
Mów, czy to prawda? Powiedz bez ogródki!

KONSTANCYA. Prawda.

KRÓLOWA.

O dzięki! Matko, łaski pełna!...

KONSTANCYA. Pani!...

KRÓLOWA.

Konstancyo! Kocham z całej duszy!

Kocham cię — powiedz: prawda to? tak prawda,
Jak ja tu mówię z tobą?

KONSTANCYA.

Czemu wątpisz?

KRÓLOWA. A! czemu wątpię? daj mi się w tem wszystkiem
Naprzód rozeznąć... Takimi ty na to
Patrzysz oczyma? Nikt się sam nie widzi,
Inni go widzą lepiej... Czemu wątpisz?
Tak ty się pytasz? Wszakże widzisz jego
I mnie... Najświętsza Matka łask posiada
Tyle, że — gdyby nie zbrakło nam wiary,
Której nie mamy — miałby człowiek wszystko,
Czego pożąda; lecz nasze wybryki
Płodzą w nas rozpacz, tamują nam wolę —
I, tak żyjący, sami się od siebie
Odprzysięgamy — — Jam się odprzysięgła
Dawno, Konstancyo, od wszelkiej miłości
I od nadziei wszelkiej, jak ta palma,
Co z tego miejsca tu nie ujrzy nigdy
Łanów egipskich...

KONSTANCYA. Nieba!

KRÓLOWA.

Tak to było,

O tak, Konstancyo! Oto ludzie mówią —
Może nie ludzie, nie, a tylko mary: —
„Ku zachodowi kłoni się twe życie,
Już posiwałaś — stój! ni kroku dalej! —
Już to za późno dla ciebie, dziewczętom
Pozostaw miłość, zostaw ją Konstancyi,
Ty bądź — królową!“ Człek zna tę wskazówkę —
W połowie drogi chwyta ją, jak dziecko,
Wstyd go ogarnia, jeśli się w nim zbudzi
Jakowy opór... „Miłość!... O miłości
Przestań już myśleć! Królową-ci jestem,
Rządy mi dzierżyć, nie kochać, zaprawdę!“
I tak te lica stają się takimi,
Jak są, tak włosy bieleją, tak ręce
Więdną, jak moje — wtem — — o nie! Nie taki
Ma być mój koniec — — dzięki Bogu!

KONSTANCYA.

Pani — —

Ja nie rozumiem — — —

KRÓLOWA.

Ty — szczęśliwa!... Nie wiem,

Jak jest dla mężczyzn, ale dla nas, kobiet —
Konstancyo, jestem, tak jak ty, kobietą —
Jedyny tylko skarb jest w życiu: miłość! —
Wszystko, co skarbem się wydaje, będzie
Jedynie cieniem miłości; pozłotę
I wszelką wartość daje mu li miłość.

Ze mnie bierz przykład, nigdy nie łudź siebie,
Miłości żądaj, miłością obdarzaj,
Bo wszystko inne jest fałszem. Konstancyo,
Jak ja cię kocham!...

KONSTANCYA. I ja ciebie kocham!

KRÓLOWA. Wiem, za twą sprawą tak się wszystko stało...
Pragnęłam serce swe ogrzać, gdy wszystkie
Ślady miłości zamierać się zdały,
I wnet do serca przytuliłam ciebie...
Twa młodość świeża — taką miałam wiarę —
To starzejące rozgrzeje mi serce.
O, stara jestem — nie?! O nie, to prawda
I prawdą musi pozostać!...

KONSTANCYA. Opowiedz,
Niech ja rozsądzę, prawda to czy kłamstwo.

KRÓLOWA. Lękam się ciebie! Powiedz, patrząc na mnie:
„Stara, bez wdzięku, mężczyznom potrzeba
Wdzięku!” To klątwa moja! Ja-ć to czuję!

KONSTANCYA. O bądź spokojna! — — — teraz, mówisz Pani,
Nie jesteś pewna?...

KRÓLOWA. Zbliżył się, Konstancyo —
Cóż w tem dziwnego? — — czyliż nie widziałam,
Jak się mężczyźni zbliżali, by odejść?
Przelotne k'niemu rzuciłam spojrzenie
Z mojego tronu, gdzieś jak marmur stała.

„Jeden młodzieniec więcej! Juścić pewnie
Pokochał jaką dziewczynę — — nie dla mnie!
Na cóż mu moja godność marmurowa?“
Lecz teraz — czułam — coś jest strasznieszego.
On, jak Bóg jaki, piękniejszy i młodszy,
Ja coraz starsza. — Dwa to przeciwieństwa,
Co wzajemnego szukały zetknięcia.
Jeszcze mi gorzej było, gdy nasamprzód
Roztrząsać począł sprawy państwa — myślę:
Zwykła to droga — dla własnych korzyści.
Ach! żyć tak ciągle w kole serc tysiąca,
Tych ócz, tak czujnych, tych rąk, tak gotowych
Na twe usługi, tych warg które głoszą,
Że li dla ciebie żyją, że li tobie
Spieszą z pomocą, że ciebie kochają,
Ciebie, co jesteś jak posąg z marmuru,
Który czczą, wielbią ponad własne życie, —
I równocześnie widzieć, jak cię każdy
Dla pierwszej lepszej porzuca twarzyczki,
Dla pierwszej lepszej tancerki, śpiewaczki,
Albo piękności ulicznej!... O Boże!
Jakżeż ja, biedna — zaciskałam zęby,
Słyszając mężczyzn, szepczących, by moich
Nie razić uszu zbyt głośną rozmową,
Tłumiących kroki, by mi nie przeszkadzać,
Mrużących oczy z wielkiego szacunku,
Z gotową zawsze ręką, aby bronić
Takiego skarbu królewskiego — przecież

Nikt nie poskoczył ku mnie, nie przemówił,
Nikt miłosnego nie napisał listu,
Nie pocałował ręki jako rękę!
Ach, były chwile, że chciałam, ażeby
Żołnierz, stojący na warcie, nie składał
Swej halabardy na me powitanie,
Na powitanie królowej — pragnęłam,
Aby ją rzucił precz i do mych kolan
Przypadł. — O, wierzał, byłabym stanęła
I całowała!...

KONSTANCYA. Któżby to mógł przeczuć?!

KRÓLOWA. Ah! Któżby przeczuł, kto?... Nie ty, Konstancyo,
Nie ja, — nikt inny na świecie, on tylko!
A może to już za późno? — Mów prawdę!

KONSTANCYA. Czekam —

KRÓLOWA. Tak, przyszedł, zgasił wszystkich, dzieło
Spełnił przedziwne w tym roku, równego
Nikt nie dokonał — — wiesz, nie mówię — sama,
Wszyscy to mówią... I — ból w tem jest drugi,
Jeszcze straszniejszy. — Widziałam, że spełnił
Nie tylko wielki czyn, lecz i dlaczego.
Nikt dla samego dzieła nie dokonał
Dzieła takiego — inny cel go nęcił!
Czułam, widziałam, że kochał — lecz kogo?

Czasem, Konstancyo, tak mi się zdawało,
Że kocha ciebie!

KONSTANCYA. Mnie, pani?

KRÓLOWA.

Widziałam,

Tak mi się zdało, że szuka twojego
Wzroku. Bo kogóż mógłby tak ukochać,
Jeśli nie ciebie? Ty, tak mi się zdało,
Wiesz, że cię kocha, że się odwzajemniasz,
Że między wami jest porozumienie.
Gdyś do ogrodu szła lub na ten balkon,
Byłam zmuszona uwierzyć w tę prawdę.
Tak mi to słusznem, pięknem się zdawało
I tak obojga godnem, iż swe dzieło
Spełnił nie w gminnej nadziei nagrody,
Ale że kiedyś, nocą, tak jak dzisiaj,
Stanie przede mną i powie: „Zapłaty
Żądam, królowo, oddaj mi jej rękę!”
I ja — Konstancyo, powinnaś mnie kochać —
Ja, przytłumiwszy wszelką gorycz w sobie,
Rzeknę: „Tak stań się! Uczynię szczęśliwym
Ten kwiat młodości mojej, tę kobietę,
Co kobiecością jest moją, co we mnie
Powinna była być szczęśliwą — niechże
Dziś się radują! Ja zostanę sama”.
Tak, tak!...

KONSTANCYA. O dzięki!

KRÓLOWA.

Drżało już na wargach

Moich to słowo, gdy stanął przede mną.

Jużem mniemała, że będzie spokojnej

Żądał zapłaty za swój czyn, gdy — nieba!

Jakżeż tu wyznać!... Chmura przysłoniła

Wzrok mój na pierwsze jego słowo — piorun

Uderzył w uszy moje: czynił wszystko

Z miłości ku mnie! Mnie on jedną kochał,

Kochał od pierwszej do ostatniej chwili!

KONSTANCYA. Dobrze słyszałaś, pani? O miłości
Mówił do ciebie? Może to pomyłka?

KRÓLOWA. Nie, nie pomyłka! Ha! Tu być nie może

Żadnej pomyłki! On nie miał odwagi

Wyznać, co czuje! Ty — tak mówił do mnie —

Jesteś odbiciem mojem — jakżeż ja to

Dobrze pojęłam! — ty jesteś tą wstęgą,

Którą nosiłem na piersiach... I ręce

Całował moje, spoglądał mi w oczy —

I — miłość, miłość — oto jego słowa

Treść! — I — z miłości wielkie poszło dzieło!

Reszta żadnego nie wymaga trudu!

Konstancyo, jestem twoją! W tobie złożę

Wszystko me życie, ale ty mię naucz —

Chcę się nauczyć, — jakże mi zatrzymać

To, com zdobyła! Czyż jestem tak stara?

Wcześniej posiwił włos mój, ale szczęście

Nieraz wróciło włosom dawną ciemność,
Obliczu dawną krasę — ja to czuję!
Śpiewać umiałam niegdyś, w dawnych latach;
Mówiono nieraz, gdy mnie malowano,
Że jestem piękna — powtórzył to kiedyś
Malarz francuski!... Wiem, że to pochlebstwo —
Ale tyś szczerą — wierzę ci! O jakże
Ja cię kochałam od razu! Zapewne
Żadna królowa nie wzięłaby sobie
Takiej krewniaczki, któraby jej kradła
Żrenice wszystkich. Dobrze ja to czułam,
Ze z ciebie spłynie wszelkie na mnie dobro.
Wspaniałomyślna nie jestem bynajmniej
Jak ty, jak Norbert... Lecz on cię nie kocha,
On nie na ciebie patrzył... Czyś ty za nim
Strzelała okiem? Płonnieś tłómaczyła
Jego spojrzenia i słowa... On mówił,
Że jesteś mojem odbiciem. A zresztą —
Juścić on nie jest jedynym li wzorem
I ostatecznym dla ciebie i wielu
Innych niewiastek młodych, które mogą
Wybierać z pośród tysiąca Norbertów.
Powiedz mi prawdę! Jegoś mi nazwiska
Nie wymieniła nigdy — wiesz to i wiesz równie,
Ze go się wyrzec nie umiem — ach Boże! —
Nawet dla ciebie!...

KONSTANCYA. Uspokój się pani!

KRÓLOWA. Spójrzij: jam stara! o dziewczę szczęśliwe,
Ja nie chcę sama siebie okłamywać —
Wszystko minęło! Przyłóż swe policzki
Do mojej twarzy — ach! jakąż ten księżyc
Widzi różnicę! Lecz ja życie swoje
Rzucam na szalę, na ostatnią szalę,
Lecz i najlepszą! Czyliż w grze tej ginie
Ta moja dusza? może ja? Kobiety
Wszystkie kochają wielkich ludzi, młode
Albo i stare: tak jest w opowieściach.
Młode piękności kochają się w starych,
Siwych poetach, czemużby on nie miał
Kochać poezyi mej duszy? Miłości
Namiętnej, wiary stałej, poświęcenia?
Do stóp mu rzucę to wszystko! A któżby
Dociekał kształtów prawdziwych fontanny
I gdzie ten tryton, pytał, gdzie ta nimfa,
Rozpieniająca wodę w cudne tęcze?
Nie będziesz pustej konchy wielbicielką —
Lecz ja rozleję strumienie miłości,
Sama się skrywszy; jakżeż ja go będę
Kochać! Mężczyzna czyż nie umiłuje
Miłości? Powiedz, nie byłoż królowej,
Która kochała poetę-kalekę,
Karła? Kobiety zdolne są do tego!
Lecz i mężczyźni — przynajmniej tak twierdzą.
Młodzi, niejedną kochają kobietę,
Gdy postarzeją, kochają się również

W tych, którym mogą się podobać; przedsię
Mówią najlepsi z nich, iż nie piękność
Nadaje trwałość miłości — co dzisiaj
Słodkie, to jutro cłliwe: duszę, mówią,
Warto miłować, wyobraźnię, wreszcie
Kochają nowość... Trzeba wyznać prawdę,
Chociażby była straszliwem przekleństwem —
Oni kochają królowę, kochają
I chcą ją kochać — — On czyżby nie kochał?

KONSTANCYA. Jakże on kochać może — zaślubioną
Komu innemu? Prawda, czy to związek,
A jednak wiąże... Pomnij-że na własną
Godność, na godność jego! W jakiż sposób
Ten wielkoduszny człowiek — a nie myślę
Przeczyć twej wierze, iż jest wielkoduszny —
Mógłby pozostać twoim faworytem
Na wstyd i hańbę wszystkich? —

KRÓLOWA.

O, słuchajcie,

Co ona mówi!? Umiałażby kochać
Tak, jak ja kocham? Czyż to ja mówiłam
O krasolicej młodości? Popatrzcie,
Co to być może! Jak to młodość kocha!
Powiedz-że jeszcze, że nigdybyś tego
Nie uczyniła, co ja chcę uczynić —
Że ci to nie jest wrodzonym! Chcę z drogi
Wszystkie usunąć przeszkody, jak miesiąc

Mgły te rozpędza; chcę użyć mych blasków,
By wyswobodzić chwalebnie swą młodość
Z narzuconego nieszczęścia, rozwiązać
Wstrętne małżeństwo i jego własnością
Stać się w obliczu Boga i przed ludźmi!

KONSTANCYA. Chcesz to uczynić? Masz odwagę? — Pani,
Przestań! co mówisz!?

KRÓLOWA. Słuchajcie ją tylko!

Dziękuję ci, lubko, za tę niespodziankę!
Ty piękne liczko masz, a ja mam duszę!
Silną mam duszę! Zaraz cię nauczę:
Dość nacierpiałam się i dosyć długo
I dość cierpliwie. — Świat mi to poświadczy —
By już, bez hańby, własną dążyć drogą!
Jakżeż się cieszę, że to niespodziane
Szczęście przecina ten węzeł! Najlepsza
Droga naprawy właśnie ta — wypadek
Sam Bóg mi zesłał: i gdyby to było
Chociażby tylko szczęściem dla poddanych,
Lepszego środka nie znajdę! Milcząca
Jestem i wdzięczna, pokorna i zgodna —
Dłoń błogosławi boża, gdyż inaczej
Lękałabym się takim gładkim torem
Zmierzać do celu. Jakżeż drwię ja z przeszkód,
Jakże urągam losom! Jakże jestem
Silna! Dlaczegoż nie ma tu Norberta!

KONSTANCYA. Rozważę sobie... Zbyt to wszystko dziwne!

KROLOWA. Ucz się ode mnie, Konstancyo! Postępu

Jak ja; wszak jesteś młoda, piękna! Dziewczę

Moje jedyne! Wielu starających

Będiesz ty miała, pokochasz jednego —

O jasnych włosach, nie jak włos Norberta,

Okazalszego, niżli on, boś sama

Jest okazała! Jak mnie, tak go kochaj!

Nigdy o sobie nie myśl, rzuć swą dumę,

Nadzieję, trwogę, rzuć swe wszystkie skarby,

A tylko jego kochaj dlań samego!

Pamiętaj o tem, że ja — cóż ja, dziewczę,

Jestem dla ciebie? — oddałabym wszystko,

I tron i życie za tę jego miłość — —

Tak, on mnie kocha!...

KONSTANCYA.

On cię będzie kochał!

KRÓLOWA. Do mego serca głębi wejdź, swe serce

Daj mi, bądź jednym sercem z mojem sercem!

Pragnę twej rady: To mi on powiedział

I to uczynił; jak to sobie cenić?

Ileż w bieżącej waży to monecie?

Czy to całunku warte? Czy mu uledez?

O tobie innym pomówimy razem,

O twej miłości, godnej twej urody,

Bo posiąść winnaś miłość, jasną, złotą —

Kogo wybierzesz? Wybieraj dowoli!

Teraz, Konstancyo, żegnaj! Przed chwileczką
Zdawało mi się, że mi umrzeć trzeba,
Albo się zwierzyć takim, jak twe, uszom.
Chciałabym teraz spojrzeć w lice świata
W mem nowem życiu i w nowej koronie.
Pójdę po sali przejść się, potem wrócę,
By ci powiedzieć, co czuję. Jak prędko
Może świat zmienić uśmiech Boga! Jakże
Myśmy stworzeni do szczęścia, jak praca
Staje się miłą zabawką, przeciwność²²₂₃
Zwycięskim bojem! Tyle lat straciłam!
Coś mi zostało; Bóg jest dobrotliwy!
Czekaj tu na mnie! Tak to niepodobne
Do snu, do szczęścia, które sobie tylko
Umie w spokoju marzyć nasza dusza,
Jak niepodobne są do krwi i ciała
Wszystkie te wokół posągi! O boski,
Drogi księżycu, jakżeś mnie pocieszył!
(Odchodzi, pozostawiwszy Konstancję. Z wewnątrz taneczną słyhać²⁴ mu-
zykę. Wchodzi Norbert.)

NORBERT. Jedna nam tylko pozostaje chwila
I jedno słowo!...

KONSTANCYA. Norbercie, jam twoja!

NORBERT. Moja!

KONSTANCYA. Nie byłam dotąd... Tyś był moim —
Teraz oddaję ci siebie!

NORBERT.

Konstancyo!

KONSTANCYA. Jam cała twoja!... Znam-ci może skąpszą

Drogę dawania, ale rozsądniejszą:

Z myślą, że daję cały skarb, mogłabym

Grosz ci po groszu rzucać — jakby każdy

Grosz był już wszystkim i jakby ta hojność,

Coraz to większa, mogła wszelką tłumić

Rozpacz — i zmusić ciebie, byś przyjmował,

Póki się nasze nie wyczerpią role —

Moja dająca i twoja biorąca,

Póki nie zamrze nasza zobopólna

Radość... Czyż droga ta jest rozsądniejsza?

Wybieram prostsza, dając ci od razu

Wszystko. A teraz wiedz, czemu masz ufać!

Używaj skarbu tego, nadużywaj,

Lecz nie myśl potem: „gdybym to był wiedział,

Jak mnie kochała i jaki posiadałem

Wielki dobytek, byłbym był szczęśliwy!”

To twe bogactwo. Daję ci się cała —

NORBERT. Biorę-c i Bogu dziękuję...

KONSTANCYA.

Zwróć oczy

W przyszłość. Nie będzie nigdy dnia całunków

Takich, jak dzisiaj, lub ziemia przestanie

Być ziemią.

NORBERT. Z żarem tego dnia przejdziemy

Przez lata chłodu.

KONSTANCYA. Tak. Chciałabym spojrzeć
W te lata przyszłe — myślę, że je widzę:
Szybko ty dążysz przedsię, nowe budząc
Zary; spoglądasz wstecz i wszystkie ognie
Temu pierwszemu poświęcasz żarowi;
Nie spocznieś chwili, myśląc nieustannie
O dniu dzisiejszym, aż zbieleje skrawy
Popiół i miłość zagaśnie: Tak, miłość
Żywa jest tylko w swych czynach, i moja,
Zyjąca własną pełnią życia, pragnie
Zyć tylko w tobie.

NORBERT. Słusznie. Znam cię teraz
I biorę całą. Przede mną twa dusza
Tak odsłonięta, jak twe serce. Znam cię!
Nie skąp mi czasu! Niechaj moja duma
Pomyśli sobie, że i jam ci znany.
Mniej lotna dusza jest moja; całego
Trzeba mi życia, ażeby ogarnąć
To, co ty chwytasz w minucie; ja muszę
Całe zataczać koło w okrąg ciebie,
Chcąc sprawiedliwość ci wymierzyć, patrzeć
Na całe, długie życie, by roztrząsnąć
Tę jedną chwilę i zbadać jej wartość.
Długi ciąg iskier pokaże ci w końcu,
Jaki w tym głazie, krzesanym przez ciebie,
Skrywał się ogień: jakżebyś go mogła
Znać, gdyby leżał niewypróbowany

Zadnem krześiwem, tak, jak teraz moje
Leży przed tobą serce? Jest-li zimny,
Zar twój pochłonie jego chłody.

KONSTANCYA.
Jak wypróbować?

Powiedz,

NORBERT. W mojem życiu — pytasz?

KONSTANCYA. Prędko, Norbercie, — jak to czynić? Powiedz.

NORBERT. Łatwo powiedzieć. Materyą jest dla mnie
Życie, na której próbujemy duszę,
Aby pokazać, że się jest mężczyzną.
Wszystko do celu swojego nagina,
Kto ma przed sobą cel. Rzucając lancę
Lub też gromadząc kamienie, próbujesz
Siły, tak ja też chcę pokazać wszystką
Tęgość mej duszy, byś ją uwieńczyła
Jako swą własność i by życie nasze
Miało swe prawo...

KONSTANCYA. Gdybyś umiał pisać
Książki lub tworzyć malowidła! W biedzie
Tworzy poeta czy malarz i patrzy
Z wielką litością na bogaczy!

NORBERT. Kocha
Obraz czy księgę, nie kocha kobiety!
Wierzaj, najlepiej tak, jak jest — że myśmy

Tem, czem jesteśmy. Żyjemy, a oni
Tylko badają życie, ci poeci
I ci malarze, którzy na bieg rzeczy
Patrzą z wyżyny. Lepiej nam pozostać
Tem, na co patrzą tamci! Powiedz: poco,
Komu opiewać miałbym czy malować
Twoje oblicze? Powietrznych okręgów
Błada władczyni poco z swym posępnym
Żywi uśmiechem ziemską krwią swą widmu
Podobną postać dla piękna Żywota,
Którem pogardza? Tyś moja! Ty dla mnie
Jesteś stworzona, dla nikogo więcej!
I nie dla tego, cobym nazwał sztuką,
Chłodną, spokojną potęgą patrzenia
Na twoją piękność... Ty i ja — jesteśmy!
Niech nas maluje Rubens!

KONSTANCYA. Tak, najdroższy!
Znam twoją duszę! Żyjesz, kochasz życie,
Czyn, powodzenie, siłę!

NORBERT. Droga prosta;
Czas nazbyt krótki, bym zmieniał rzemiosło,
W które-m się wprawił w mych latach dziecięcych:
Niechaj mi teraz służy! Tutaj ludzie
Miejsce mi dali, ażebym ujarzmił,
Użyźnił ugór życia, zebrał owoc,
Nasamprzód dla nich, potem i dla siebie
Wziął dziesięcinę: zadanie mężczyzny,

Którego ludzie wezwali do dzieła.
Nie jestem twórcą, na mem czole żadna
Nie świeci gwiazda, coby im wlewała
Wiarę w mą siłę; jestem tutaj na to,
Ażeby skupić i popchnąć ich wolę.
Takem rozpoczął, a noc ta pokaże,
Jaki mój będzie koniec. Cóż, gdy ujrzę
Ten żar i miłość moją i ten serca
Mojego poryw, co kieruje głową!?
Cóż, gdy lud dzisiaj nareszcie zobaczy
Ten świt mej drugiej natury, gdy nowy
Stanie przed nimi człek, którego wolę
Chcą stawić w miejscu swojej woli? Człowiek,
Który, posiadłszy ich ufność, ma nową
Ku wyżom wskazać im drogę, dotychczas
Widną li jego oczom? Dziś tom uczuł
Przy tym całunku. Patrzaj: ta królowa,
Ten lud — ta masa, jak ją nazywamy —
Patrz, jak ta masa poddaje się biernie
Tej mojej ręce, jak ta ręka moja
Staje się twórczą, a ty jak ustalasz
Moje muskuły!... Tak! Koniec uwieńczy
To moje dzieło!... Moim lud ten będzie!
Widzę, jak garncarz pora się z swą gliną,
Widzę wysiłek, patrzę na zmaganie,
Ale i skutek widzę: wyrób ducha,
Czarę, zrobioną dla ust bożych, czarę,
Naokół której — widok to dla ludzi

Lichszych przepiękny! — szumne tańczą gracie,
Z serdecznym śmiechem oklaskując dzieło...
Tak się mój tryumf będzie wciąż odnawiał,
Coraz to wyżej cel mój zmierzać będzie,
Coraz to szybciej — — —

KONSTANCYA.

I z moją pomocą?

NORBERT. Tak!...

(Uścisk wzajemny. Podczas tego wchodzi królowa.)

KONSTANCYA. Sza! królowa!... Skończyłam swą rolę!

Widzisz więc waszmość, jak wielce na miejscu
Jest twoja wdzięczność! Co prawda, to widzisz
Nieco za późno. Zaczniј więc i skończ waść
Jako najprędzej! Co jest pocałunek?

NORBERT. Konstancyo!

KONSTANCYA.

Mamże uczyć was na nowo?

Świadców wam trzeba dla waszej tępości?
Cóżem wam rzekła temu dziesięć minut?
A więc powtórzę: Pewien młody człowiek,
Który wielkiego, tak, jak waść, dokonał
Dzieła, miłością spłonał ku kobiecie,
Tak beznadziejnie wysoko stojącej
Nad nim, że sama o tem myśl, jak mówi,
Zdolna o szal go przyprawić; lecz, mądry,
Umiał-ci w pewnej, jak ja, pospolitej,

Lecz dobrej duszy znaleźć przyjaciółkę
I powiernicę, niby taran jakiś,
Co go zasłania przed tą, w której oczy
Nawet i spojrzeć nie śmie; a gdy wreszcie
Cel swój osiągnął — waszmość to rozumie? —
Gdy ta wybrana, w której oczy nawet
I spojrzeć nie śmiał — jak się okazuje —
Umiłowała go pierwsza — nieprawda-ż,
Mością Królowo? — gdy swój najzuchwalszy
Urzeczywistnion widzi sen, gdy wszyscy
Godzą się na to, przedsię przyjaciółka,
Której się zwierzył, a która to dzieło
Doprowadziła do końca — w tej chwili
Wielkiej radości, mniemam, że prawdziwy
Nie zechce szlachcic tak od razu kopnąć
Swego tarana, nie zechce mu szorstko
Powiedzieć: „Odejdź! Mam już dosyć ciebie!”
Nie! nie odwróci się od niego w sposób,
Męża niegodny, lecz, jak na szlachetne
Przystało serce, powie: „Przebyliśmy
Bolesne chwile nadziei, wśród lęku
I drżenia serca długośmy czekali
Na swą zapłatę; powiernica moja,
Konstancya, nie źle służyła! A chociaż
Wnet ją zapomnę, jak każe rozsądek,
Jak ona sama — dziś, gdy jej usługa
Wydała owoc — domaga się tego,
Jej przecież pierwsza należy się dzięki,

Było mu dobrze i miękko... On zasię,
On wie, co czynić. ~

NORBERT. Skończyłaś? Rozumiem
Żart twój. Czy teraz kolej na mnie? Twój to,
Konstancyo, dziewczę szalone, był zakład?
Czy tylko tyś go podjęła? Ej! dobrze!
Zda mi się, przegrasz!

KONSTANCYA. Pani! Teraz kolej
Przyszła na ciebie. Powstrzymaj go chwilę,
Niechaj nie mówi, aż się nie uczuje
Pewniejszym siebie i szczęśliwszym! Pani!
Zlituj się nad nim! On się jeszcze lęka!
Opanuj-że się, Norbercie! Jać wszelkie
Do ciebie prawa oddaję królowej!
Przy niej dokonuj swoich czynów wielkich,
Pospieszaj drogą, która w innym razie
Będzie dla ciebie zamknięta. Bądź wszystkim,
Czem tylko możesz być przez nią! Spojrz na nią!
Na miłość Boga! Pani! Racz otwarcie
Rzec mu, że kochasz, inaczej on nigdy
W to nie uwierzy. Daleko trwożliwszy,
Niżeli mniemasz; znam tego mężczyznę.

NORBERT. A ja co nieco znam-ci tę kobietę!
Myślałem przecież, że umie żartować
Troszeczkę lepiej; zaczyna w swej roli

Nazbyt przesadzać. Czekam twojej łaski...
Gdzież ma nagroda, królowo?

KRÓLOWA.

Norbercie!

To dziewczę dzikie — ledwie je poznaję,
Widząc ten wybuch szału, tę wrażliwość
I te przeskoki, słysząc te dziwaczne
Słowa — nie mądre jest i zbyt zuchwałe —
Chociaż to wszystko dziwnie odpowiada
Dziwom tej nocy — lecz ma słuszność... Teraz
I ja przemówię, w rzeczywistość zmienię
To, co mi snem się wydało. Norbercie,
Ta cześć i miłość dla mnie, którą wyznał,
Nowego we mnie nie wzbudza uczucia,
Potwierdza tylko dawne moje żary!
Mówię: kochałam cię od pierwszej chwili —
I, rzecz to dziwna, silniejszą się czuję,
Rzekłszy to wszystko. Podporą dla mojej
Jest twa odwaga: Dobrześ to uczynił,
Ześ mi powiedział to dzisiejszej nocy,
Wieńczącej trud twój dwunastomiesięczny:
Lecz mnie nie trzeba było aż tak długo
Czekać, by poznać twą duszę. O, wierzaj,
Od pierwszej chwili jasnem było dla mnie
Źródło twojego zapału, nim jeszcze
Prawdę mi twoje objawiły słowa!
Dziwne to wszystko, lecz szczęście się kończy
Miłością twoją, która się spotyka

Z moją. Niech będzie! jeśliś ty mnie wybrał,
I ja wybieram ciebie...

NORBERT.

Wasza miłość

Wybierze godnie — nie chcę być niegodnym
Twojego, pani, szacunku. Poznawszy
Twój sposób, pani, idę mu na rękę.
Masz prawo, pani, do takiego kroku,
Lecz na tę próbę ten li się zdobędzie,
Kto ma szlachetne serce i kto wierzy
W moją szlachetność... Raduję się wielce,
Żeś doświadczała mnie, nim zezwoliłaś,
Bym w swe ramiona wziął najszlachetniejszą
I najpiękniejszą z kobiet: ona, pani,
Równa jest tobie. Tak, by znów powrócić
Do słów mej roli, najgłębszy szacunek
Zywię dla ciebie, miłościwa pani,
Ale nie wzbudzasz we mnie tej miłości,
Co ma Konstancya. Lub — że dam swym słowom
Dramatyczniejszy wyraz — nie ta pyszna,
Wonna magnolia wabi lichy owad —
To znaczy, mnie — lecz ta przyziemna,
Skromna stokrótka... Tę wybieram damę...

KONSTANCYA. Stój! — tę zasadzkę nie ona — — — Norbercie,
Stój! — najstraszniejsza byłaby omyłka — —
Jaki on chytry, pani!... Ja Norbercie —
Ja — —

NORBERT Ty, Konstancyo?... Gdyby nie ta chwila
Tak przewspañiała, niebiańska, co dzisiaj
Daje mi ciebie, nie umiałbym nigdy
Przebaczyć tego!... Królowa — należę
Do niej — zna tylko mózg mój, więc jej wolno
Było doświadczać mego serca, sam jej
W tem pomagałem... Ale ty, najśłodsza,
Co mnie tak dawno znasz, co tyle razy
Liczyłaś bicie mego serca, w białych
Trzymałaś rękach me życie — — nie dobrze,
O, to nie dobrze!

KONSTANCYA. Sza! Czyż nie mówiłam —
Dla niej to życie jego, dla niej serce — —

NORBERT. Dosyć!... Rumieni się ma twarz!... Od ciebie
Wyszła ta próba? Najłichszej kobiety,
Którejbym nigdy nie umiał pokochać,
Nie obraziłbym — gdyby, mnie kochając,
Pragnęła moją wypróbować miłość, —
Jak ty obrażasz dzisiaj mnie! Jeżeli
Byłoby trzeba, mógłbym ci powiedzieć:
„Zabierz swą duszę, ja zatrzymam swoją!“
Ale tak — nigdy: „Duszę, która jeszcze
Drży w twoich ręku, duszę, już mi zbędną,
Oddaj któremuś z wesołych przyjaciół
Za jakąś — nie wiem, za jaką zapłatę!“
Miałbym-ż tak igrać z kobietą, ażeby

Zabawić kogoś z mężczyzn, by się śmiało
Dwóch z tego serca, jeśli by uległo?
Póki się Boga boję, póki żyję
Pod jego niebem, nigdy bym w ten sposób
Nie mógł obrazić kobiety, chociażby
Najlichszą była na świecie, a człowiek,
Któremu taką świadczyłbym przysługę,
Wart był dziesięciu cesarzy!

KONSTANCYA.

Norbercie!...

NORBERT. Raz li kochałem i raz tylko żyłem!
Cóż o tem myśleć i cóż mówić o tem?
Ja ciebie kocham! Na cóżby się zdało,
Gdyby krok taki zabił miłość we mnie?
Skończoną byłaby twa gra: rachunek
Trzebaby zdawać li przed Bogiem — prawda?
A zaś co do mnie — czyż może zmartwychwstać
Zamordowana miłość i dla twojej
Kłękać uciechy przed tą, którąś dla niej
Raczyła wybrać? To nazbyt straszliwe!
To ci, Konstancyo, nie było wiadome,
Lecz teraz wiesz już, że dusza i ciało
Jedno li mają życie, tylko jedno! —
U stóp twych leży moja miłość żywa!...

KONSTANCYA. Patrz na królowę! To ostatnie słowo —
Jeżeliś żarty uważał za prawdę,
Jeżeliś mnie kochał tak naprawdę — —

NORBERT.

Tutaj

Niema już żartu! Gdzież śmiech się ten podział,
Którym żart przywykł wybuchać? — a! jakiż
Dreszcz wstrząsa tobą, miłościwa pani —
Czemu się chwytasz balkonu? Żłem zrobił?
Czyż nie mówiłem prawdy? Czyliż mogłem
Mówić inaczej? Nie byłaż to twoja,
O pani, próba, aby się przekonać,
Czem miłość moja ku Konstancyi? Pani!
Wszak przedewszystkiem twa królewska dusza
Zgadza się z moim wyborem? Zebraka
Tak się pytamy, czy sprzeda swe dziecko,
I potem radzi jesteśmy z wybuchu
Gniewnego śmiechu, bo jest nam świadectwem,
Ze i w łachmanach kryje się szlachetność.
Powiedz, Konstancyo, jam jest taki żebrak!
Cóż się mierzycie wzrokiem, jak pantery?
Świat się zapada, Konstancyo, ty jedna
Stoisz przede mną!... W tym nocy dzisiejszej
Strasznym zamęcie wszak mnie nie sprzedałaś —
Mnie, duszę duszy twojej?... O nie! nie! Tak łatwo
Wierzyć jest w ciebie. Zaliż twoja miłość
Chciała tą próbą szaloną prześcignąć
W swem poświęceniu moją miłość? Mógłbym
Przeklinać ciebie — ale ja cię kocham!
Miłością jestem i już się nie zmienię —
Oto u stóp twych sama miłość leży!...

(Królowa odchodzi.)

KONSTANCYA. Czuj moje serce!... Niech umrze przy tobie!

NORBERT. Przy tobie!... Zrzuci zasłonę na wszystko!

U szczytu życia jesteśmy!...

KONSTANCYA. Jam twoja!

Twoja, o, twoja!

NORBERT. Ty i ja — coś badać,

Jakimi tutaj przyszliśmy drogami

W sam labiryntu środek? Ludzie marli,

Próbując znaleźć miejsce, które myśmy

Dzisiaj znaleźli.

KONSTANCYA. Znaleźli! Znaleźli!...

NORBERT. Jej się nie lękaj, luba! Po za wszelkim

Myśmy już bólem dziś — —

KONSTANCYA. Na łonie Boga!...

I ja cię chciałam, jakbyś był człowiekiem,

Koroną kuś wizerunkiem innych ludzi!

NORBERT. Skończyć się musi tutaj — — zbyt to szczytne!...

KONSTANCYA. Zmilkła muzyka — jakież to się ku nam

Zbliżają kroki miarowe?... Płomienie

We mnie i wokół mnie!

NORBERT. Ponad tą jaśnią

Śmierć nagle dłoń swą podnosi. — Wybawi

Nas od wszystkiego...

KONSTANCYA. I dobrze się stanie...
Drzwi się rozwarły!

NORBERT. Wkracza straż...

KONSTANCYA. Pocałuj!

ZASŁONA.

WILLIAM BUTLER YEATS ❁ ❁ ❁ ❁

KSIEŻNICZKA KASIA

(THE COUNTESS CATHLEEN) ❁ ❁ ❁ ❁ ❁

THE HISTORY OF THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

IN WHICH ARE CONTAINED THE

CAUSES, THE CONDUCT, AND THE

ISSUES OF THE

WARRE BETWEEN HIM AND HIS

PARLIAMENTS

BY SAMUEL JOHNSON

IN TWO VOLUMES

LONDON: Printed by A. MILLAR, in

St. Pauls Church-Yard, 1729.

THE HISTORY OF THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

IN WHICH ARE CONTAINED THE

CAUSES, THE CONDUCT, AND THE

ISSUES OF THE

WARRE BETWEEN HIM AND HIS

PARLIAMENTS

BY SAMUEL JOHNSON

IN TWO VOLUMES

LONDON: Printed by A. MILLAR, in

St. Pauls Church-Yard, 1729.

OSOBY:

SZEMUS RUA, wieśniak.

TEIG, jego syn.

ALEEL, młody pieśniarz.

MAURTEEN, ogrodnik.

KSIĘŻNICZKA KASIA.

OONA, jej niańka.

MAIRE, żona Szemusa Ruy.

DWAJ DEMONI, przebrani za KUPCÓW.

MUZYKANCI.

WIEŚNIACY, SŁUŻBA, etc.

ANIOŁOWIE, DUCHY, STRZYGI, CHOCHLIKI, etc.

Rzecz dzieje się w Irlandyi, za dawnych czasów.

THE HISTORY OF THE

REIGN OF HENRY THE SEVENTH

BY JOHN HALLAM

ESQ. OF LINCOLN'S INN

IN TWO VOLUMES

VOLUME THE FIRST

LONDON: PRINTED BY J. JOHNSON

ST. PAULS CHURCH-YARD

1798

BY THE SAME AUTHOR

A HISTORY OF THE

REIGN OF HENRY THE EIGHTH

THE HISTORY OF THE

REIGN OF HENRY THE SEVENTH

BY JOHN HALLAM

ESQ. OF LINCOLN'S INN

IN TWO VOLUMES

VOLUME THE FIRST

LONDON: PRINTED BY J. JOHNSON

AKT PIERWSZY.

Izba SZEMUSA RUY. W głębi, w środku ściany — drzwi; po prawej ich stronie — okno; po drugiej wisi ołtarzyk z Matką Boską. Na prawo drzwi, prowadzące do komory, na lewo kominek, na nim słaby ogień. Przez okno widać w półmroku i mgle tonący las dębów, jodeł, leszczyny i jarzębiny. MAIRE pilnuje TEIGA, który napełnia garnek wodą. Teig staje naraz, jakby nadśluchując, i wylewa trochę wody na podłogę.

MAIRE. Niezdaro!

TEIG. Matko, pies wyje na dworze

I szara kokosz trzepoce się w kojcu;
Przedziwne rzeczy dzieją się na świecie
W tych czasach głodu: na rozstajnych drogach
Pod Tubber-vanach jakowaś kobieta
Spotkała chłopą o kłapiastych uszach,
Które się chwiały nijak błony gacka.

MAIRE. Szemus się spażnia.

TEIG. A pod Carrick-orus,
Przy cmentarzysku, jeden owczarz spotkał

Chłopa, co nie miał gęby, ócz ni uszu —
Twarz — bryła mięsa; widział go wyraźnie
W świetle miesiąca.

MAIRE podchodząc do ołtarzyka. Spraw, Niepokalana,
By Szemus wrócił zdrów z strasznego boru;
Chroń go od wilków; Szemus jest niebaczny;
A chroń go także od leśnych upiorów,
Co się skradają po drogach i zwodzą
Posępnookie dusze świeżo zmarłych
I tych, co żywi, ale giną z głodu.
Chroń go, Przeczysta Dziewico!

TEIG. Gdzieś w dali —
Zda mi się — słyszę dźwięki harf i bębny.
(Ktoś puka do drzwi.)

MAIRE. To Szemus wraca.

TEIG. Chyba lepszą dzisiaj
Przynosi stawę, niż ta chuda wrona,
Którą nam przyniósł wczoraj.

(MAIRE otwiera drzwi, SZEMUS wchodzi z ubitym wilkiem na plecach.)

MAIRE. Późno wracasz;
Nie spieszo-ć było; lubisz pogawędki
Z kimbądz po drodze; wiesz, jakie mnie straszne
Sny niepokoją, jak ciągle się modłę.
A ty od rana legasz na pagórkach,

Lub na przecznicach stajesz, z kim się zdarzy,
I język sobie wycierasz strasznemi
Czasami głodu.

SZEMUS. Ano kłóć się ze mną!
Macie wieczerzę!

(Rzuca wilka na stół.)

Zawsze-ć wilk jest lepszy,
Niż ścierwo wronie. Łaziłem dzień cały:
Myszy i szczury i jeże — to wszystko
Snadź wyzdychało, anim też jednego
Trzepotu skrzydeł nie usłyszał w puszczy,
Choć stopy moje grzęzły po moczarach,
Chociaż w powiędłych topiłem się liściach.
Teraz dopiero spostrzegłem to wilczę
Pod węglem pustej obory: tym łukiem
Ubiłem zwierza.

MAIRE. Chwalić świętych Pańskich!
(Po chwili.)

Czemu to psisko tak dziś wyje?

SZEMUS. Czemu?! —
Słyszał, żem wrócił, i węszy jedzenie.

TEIG. Tymczasem tedy nie zginiemy z głodu!

SZEMUS. A jakie macie dotychczas zapasy?

TEIG. Pół worka mąki i pół garnka mleka.

SZEMUS. I kurę Maiwę.

MAIRE. Zanim powróciłeś,
Straszne hałasy wyprawiała w kojcu.
Cóż tak łopoce w okno?

TEIG. Dwa puszczyki
Mignęły w oknie i biją skrzydłami,
Odkąd pies wyje.

SZEMUS. Cicho! cicho! cicho!
(Nakłada strzałę na łuk i podchodzi ku drzwiom. Naraz słysząc odgłos muzyki.)

Już ich tu niema. Jakiś pan czy pani
Z harfą i bębniem błąka się po lesie,
Teig, rzuć wilka — tam, na górną półkę,
Potem drzwi zamknij.

(TEIG idzie z wilkiem do spiżarni, wraca i zamyka drzwi za sobą.)

Siądź teraz na ławce,
I głośno z twarzą narzekaj pobladłą,
I głowę trzymaj zwisłą na kolanach.

(Otwiera drzwi od dworu.)

Witajcie, państwo, w moich progach: ongi
Niejedna ludzka deptała je stopa —
Dziś chyba ślimak, lub ptactwo tu wchodzi,
I nasze, z głodu trzęsące się nogi.

(Wchodzą: KSIĘZNICZKA KASIA, ALEEL z prostokątną harfą w ręku, OONA, i grupka fantastycznie ubranych grajków.)

KSIEŻNICZKA KASIA. Jesteście głodni?

TEIG od kominka. Miłościwa Pani!

Padłem i leżę pod progiem, jak pieniek;
Już od dni czterech skórki-m nie miał chleba.

(KSIEŻNICZKA KASIA wysypuje z sakiewki pieniądze na stół.)

KSIEŻNICZKA KASIA. Dałabym więcej, ale więcej nie mam;
W niejednej chacie byliśmy już dzisiaj;
Jeśli przyjdziecie do mnie jutro rano,
Dam dwakroć tyle; jestem panią zamku
Opuszczonego od dawna w tych lasach.

MAIRE. A więc to pani jest księżniczka Kasia?

Witam cię, pani, pod mą biedną strzechą --
Ciebie i twoich; może usiąść raczysz
Tutaj, przy ogniu, ażeby się rozgrzać.

KSIEŻNICZKA KASIA. Trzeba nam wrócić do leśnego dworca
Przed chłodem nocy.

(GRAJKOWIE stroją narzędzia muzyczne.)

• Nie łaj mnie, pocziwa

Moja kobieto, za bęben i harfę.
Przed grozą dni tych rozkaz mam uciekać,
W śpiewie się chronić i słodkiej muzyce,
Jeśli ze smutku nie mam zejść do grobu.
Zmyliłam drogę, a pieśniarz Aleel,
Który powinien znać te ciemne bory,
Bośmy go na ich spotkali okrańcach,

Gdzie się przechadzał i śpiewał, jak szumne
Odmęty morskie, — tak się wśnił głęboko
W sny o straszliwych klęskach naszych czasów,
Ze nam pomocy żadnej dać nie może.

MAIRE podchodzi z nią ku drzwiom.

Za tą leszczyną jest cienista ścieżka,
Która prowadzi do twojego, pani,
Wielkiego dworca w tych lasach nieszczęsnych.

ALEEL. Zamknijcie drzwi te, odgródźcie te bory —

Przed półgodziną gdyśmy je rzucili,
Nad głową naszą dwa wielkie puhacze
Puhały wieści o przedziwnych klęskach,
Które nas mają nawiedzić. Graj, harfo!
Bo choć świat cały jednym zda się jękiem,
Wszystkiem, cokolwiek żywie pod księżycem,
Władnie muzyka; a grajcie nam piosnkę:
„Wicher powiewa od brzegów Cummenu“.

(Śpiew.)

Ukój się, ukój, serce smagane;
Chowaj przed światem miłości ranę,
Niech pieśń ją skryje dźwięcząca.
Ten, co swą wolą nad wszystkim włada,
Przywarł drzwi strągi, gdzie gwiazdek stada,
Gdzie widmo błędnego miesiąca.

(Wychodzi ze śpiewem na ustach; z nim razem KSIĘŻNICZKA, OONA
i GRAJKOWIE.)

MAIRE zamyka drzwi na rygiel.

Jeśli bogatych i uczonych ludzi
Odbiega spokój, jeżeli się boją
Leśnych widziadeł, to wolno ubogim
Zamknąć na rygiel drzwi i zmówić pacierz
Przy świętym ogniu...

(Szemus liczy pieniądze i dzwoni jedną monetą po stole.)

SZEMUS.

Popatrz — Matka Boska,

Ukołysana wiewem nieśmiertelnych
Skrzydeł, zapadła w drzemkę i nie słyszy
Prośby ubogich; byłem u Małgochy
Nolan — od szczawiu gębę ma zieloną
I od lebiody — dziewięć dni tak żyła.
Teraz ją budzą.

MAIRE.

Muszę ją odwiedzić

W najbliższym czasie; chaty naszych ojców
Na temże samem graniczyły polu.

SZEMUS. Pan Bóg się zdrzemnął razem z Matką Boską,

Pomęczyły ich modły i gromnice;
A za to szatan z dzieży swej głód sieje —
Myślę go prosić, aby stół ten okrył
Czerwonem złotem. Chcesz, abym to zrobił,
Teig?!

TEIG. Ja nie, mój ojcze!

MAIRE. Szemus, Szemus ~
Może twa dusza pomodlić się zdoła
Na przekór ustom twoim...

SZEMUS. Dwie korony
Pensów dwadzieścia.

MAIRE. Co to ~ jarzębina?

SZEMUS podnosi gałąź ze stołu.
Kołysał mi się na plecach, więc wziąłem
Gałąź jarząbczą, przywiązałem do niej
Zwierza ~ i takem go przyniósł.

MAIRE odbiera mu gałąź. Szemusie!
Chcesz spalić świętą gałąź jarzębiny,
Co moc uroczną ma przeciw złym duchom
I wszelkim zmorom? Ty nie wiesz, czem były
Te dwa puhacze, któreśmy widzieli.
Różne majaki mieszkają w tym lesie,
Mogące przybrać kształty, jakie tylko
Im się uwidzi, a myśmy tej nocy
Nie mieli mleka, aby dobre duchy
Zjednać dla siebie. A zasię Aleel,
Co miał rozmowę z samym wielkim Widem,
Same li dzisiaj przepowiada klęski.

(Kładzie gałąź jarzębiny na stołku.)

SZEMUS. Jabyłm wieczerzę swoją jadł z tym samym ~
Widzisz ~ humorem, choćby przy kominku

Siedział sam Puka, wił lub ziemnik jaki
I ręce sobie zacierał nad ogniem.

(Dzwoni inną monetą po stole. Szmer kroków za drzwiami.)

MAIRE. Kto tam odgadnie, coś za zło wprowadził
W nasz dom, Szemusie. Strach mnie dziwów leśnych.

(Ktoś puka do drzwi.)

Nie trza otwierać.

SZEMUS. Ano dwie korony
I tych dwadzieścia pensów to za mało,
By zapchać dziurę, w której głód się szasta.

(Ołtarzyk spada na ziemię.)

MAIRE. Patrz!

SZEMUS kopnięciem rozbija ołtarzyk na kawałki.
Matka Boska zdrzemnęła się trochę,
A jej domostwo rozbite na trzaski.

MAIRE. Zlituj się, Maryo! Matko Boża!

(SZEMUS otwiera drzwi, w których staje DWÓCH KUPCÓW. Mają złote
obraczki na czołach, na plecach wory.)

PIERWSZY KUPIEC. Macie
Jakową strawę?

SZEMUS. Dla tych, którzy dobrze
Mogą zapłacić.

DRUGI KUPIEC. Bogaci my kupcy,
Chodzim po świecie za towarem.

SZEMUS. Wejdźcie,
Wejdźcie, szlachetni panowie.

MAIRE. Nie wchodźcie!
Zaledwie dla nas wystarczy tej strawy.

PIERWSZY KUPIEC. Toć macie wilczę w spiżarni na półce.
(Wchodzą.)

SZEMUS. Racście, panowie, wybaczyć mej żonie —
Nie zna się wcale na godnościach — jest też
Na pół szalona z ciągłej samotności.
A skąd wiadomo, żem przyłapał wilka?
Przednie jedzenie, chociaż nieco dziwne —
Wiecie — w zapachu.

(DRUGI KUPIEC siada przy ogniu i zaczyna zacierać ręce.)

PIERWSZY KUPIEC staje obok i patrzy na gałąź jarzębiny, leżącą
na stołku. Zostałbym tutaj, noc już nieco chłodna
I nogi bolą — tak się nachodziły
Z kraju do kraju, od ludu do ludu.
Ogień się ledwie tli — dorzuć tę gałąź.

(SZEMUS rzuca gałąź jarzębiny w ogień. PIERWSZY KUPIEC siada na
stołku. Stołki KUPCÓW znajdują się po jednej i po drugiej stronie ognia.
Pomiędzy nimi stół. Obaj składają wory swoje na stole. Noc zapada, światło
idzie głównie od kominka.)

MAIRE. Co jest w tych workach?

SZEMUS.

Wybaczcie, panowie!

Kobiety nazbyt stają się ciekawe
I lekkomyślne, jako że obcują
Pomiędzy sobą więcej, niż wymaga
Tego ich dobro.

PIERWSZY KUPIEC. W workach pełno mamy

Złota na kupno towarów.

(Wysypują złoto na stół. Stół pokryty czerwieniami, lśniącymi w ogniu.

MAIRE podchodzi ku drzwiom komory i, nie spuszczać kupców z oka,
coś mruczy do siebie.)

TEIG.

To jacyś

Wielcy panowie!

(PIERWSZY KUPIEC wyciąga dzbanek kamienny z worka.)

Siadajcie przy ogniu!

Mamy tu wino od wszech róż wonniejsze!

DRUGI KUPIEC. Wino, co umie uspić drobną walkę

Pomiędzy dobrem a złem, budząc w zamian

Aromatyczny żar, co strzela w górę,

Jako ów spokój, który na dnie serca

Zna ptak drapieżny.

SZEMUS przynosi kubek. Ja-ć was nie rozumiem,

Lecz wasze wino budzi mi pragnienie:

Tak je chwalicie, aż wam oczy płoną.

Wolno skosztować?

PIERWSZY KUPIEC. Owszem, pićcie! pićcie!

Ja daję szczęście wszystkim śmiertelnikom,

Którzy je piją długim i głębokim

Haustem... a zasię w potępieniu u mnie

Są drogi mnichów, wysypane solą!

(TEIG i SZEMUS siadają przy stole i piją.)

TEIG. Rzadkie zapewne widzieliście kraje

I rzadkie sprawy.

PIERWSZY KUPIEC. A co też myślicie ~

Jakiemu panu my służymy?

SZEMUS.

Zycie

Jest mi ciężarem, bo ja mu nie służę!

PIERWSZY KUPIEC. Lecz o tem więcej, gdy sobie podjemy;

Lubimy bowiem wesołą wieszczkę,

Skrzający się ogień i pogodne serca,

SZEMUS. Chodź-że tu, Maire, ugotuj nam wółka.

MAIRE zbliża się do ognia. O, woda nie chce gotować się dla was.

PIERWSZY KUPIEC szepce coś nad wodą.

Już się gotuje.

MAIRE.

Ja nie chcę gotować

Dla was!

SZEMUS. No, Maire wściekła się zupełnie!

(TEIG i SZEMUS wstają ze stołków i zataczają się.)

SZEMUS. Nie było w świecie zdrażliwszego wina.

MAIRE. Nie chcę gotować dla was; wy nie ludzie.

Dwaśmy przed wami widzieli puszczyki,
Pies wył na dworze, a język Szemusa
Błuźnił; w tej chwili, gdyście przyszli do nas,
Spadł z gwoźdźcia obraz Przenajświętszej Panny,
A gdyście siedli, tak laliście wino,
Jak skrzaty leśne, kiedy wabią dusze
Precz z tego świata... Pocioście tu przyszli?
Nie śmierć-że blizka?

PIERWSZY KUPIEC. Myśmy dwaj kupcowie.

MAIRE. Jeśliście tedy nie dyabelskie duchy,
Idźcie — i nędzny lud, ginący z głodu,
Darzcie jałmużną. Toć się bogaczami
Zdacie większymi, niż ktobądź pod słońcem.

PIERWSZY KUPIEC. Jeżeli znacie tu godnych jałmużny,
Zaraz ją damy.

MAIRE. Idźcie się zapytać
U księdza Jana.

PIERWSZY KUPIEC. Znane nam złe skutki
Zwykłej litości, przeto wskazać chcemy
Inną, właściwszą drogę: niechaj każdy
Przyniesie do nas to, co ma na sprzedaż.

MAIRE. Ludzie, ginący z głodu, czyliż mogą
Mieć co na sprzedaż?

PIERWSZY KUPIEC. O, my kupujemy
To, co ma każdy.

MAIRE. Kupcowie! Ich świnie,
Bydło i pola i wszelkie narzędzie
Posprzedawane.

PIERWSZY KUPIEC. A jednak nie wszystko
Sprzedane jeszcze...

MAIRE. Cóż mają takiego?

PIERWSZY KUPIEC. Dotychczas mają — dusze...

(MAIRE wydaje okrzyk przerażenia. KUPIEC kiwa na Teiga i Szemusa.)

Chodźcie tutaj!

Patrzcie! te małe kupki złota! Każda
Z nich, to zapłata za duszę... z litości
Płacimy tyle grosza za te biedne
Płomyki... Idźcie i mówcie każdemu,
Ze kupujemy dusze ludzkie... Idźcie.

(TEIG i SZEMUS nie ruszają się z miejsca.)

Ten stos dla ciebie, a ten zaś dla ciebie.

(TEIG i SZEMUS zgarniają pieniądze.)

Głoście na wszystkich rozstajach, na wszystkich
Rynkach i wszystkich uliczkach, że ludzkie
Skupujem dusze, za drogie pieniądze,

A tyle dajem, iż do końca głodu
Każdy żyć może w szczęściu i weselu.

(TEIG i SZEMUS wychodzą.)

MAIRE klęka. Dusz niszczyciele! Oby was Bóg zniszczył!

PIERWSZY KUPIEC. Nie sięga klątwa nieśmiertelnych duchów.

MAIRE. Bodajście zwiędli, jak liście powiędłe,
Jak zdechłe gady bodajście zawieśli
Na bramach Boga!

PIERWSZY KUPIEC. I ty będziesz naszą.

Ten głód bez końca trwać będzie. Lebiode,
Szczaw będziesz jadła i trawę, osłabniesz,
Że próg ten niski wyda ci się murem,
A gdy na ręku już ciała nie dźwigniesz,
Przyjdziem po ciebie.

(Do DRUGIEGO KUPCA.)

Przynieś mąkę.

(DRUGI KUPIEC przynosi z szafy worek mąki.)

Spal ją.

(MAIRE mdleje.)

Leży zemdlona. Wyjdziemy stąd z twarzą
Niepodrapaną. Przynieś mi tu kurę.

(DRUGI KUPIEC wychodzi i wraca z uduszoną kurą. Rzuca ją na ziemię.
Podczas jego nieobecności PIERWSZY KUPIEC krząta się koło ognia.
Przynosi następnie garnek mleka z komory i wylewa je na ziemię. Wraca,
przynosi wilka i rzuca go obok kury.)

Dobrego trzeba tu ognia, z tej ławki
I z tego stołka godny będzie płomień.

(Łamie stołek i ławkę.)

Tak pan mój słońce zdruzgoce i księżyc,
I gwiazdy zgaś w swej odwiecznej nocy,
I tron wywróci Boga i aniołów.

ZASŁONA.

AKT DRUGI.

Wielka sala w zamku KSIEŻNICZKI KASIA. W głębi ogromne okno, przez które widać las. Po prawej stronie wznosi się mur, odcinający kąt sceny. Kamienne schody prowadzą do wązkolukiej bramy w wystającym murze. Przez bramę widać małą kapliczkę. Sala obwieszona starożytnymi tkaninami, przedstawiającymi sceny miłosne, wojenne i myśliwskie, legendowych Fenian i bohaterów z cyklu „Czerwonego Rodu“. Drzwi po prawej i po lewej. Po lewej, przy kądzieli, siedzi OONA, jakby drzemiąc. KSIEŻNICZKA KASIA stoi nieco w głębi i więcej ku prawej stronie, otoczona grupą fantastycznie ubranych muzykantów, grających wesołe melodie.

KSIEŻNICZKA KASIA. Męczy mnie bęben i harfa, przestańcie.

(MUZYKANCI wychodzą. KSIEŻNICZKA zbliża się ku OONIE.)

Drzemka?

OONA. Nie, dziecko; rozważałam tylko,
Dlaczegoś smutna.

KSIEŻNICZKA KASIA. Martwi mnie głód ludu.

OONA. Zim dziewięćdziesiąt żyję już na świecie
I trzy poznałam choroby, na które

Niemasz lekarstwa: miłość, głód, samotność.
Tak, niema na nie innego ratunku,
Oprócz starości i snu... Popatrz, dziecko,
Jak Oisin pędzi w uścisku wzajemnym
Z Niam, jak — spojrzij — hyrni Fenianie
W ślad swojej sfory gonią po rozłogach;
Hucznie-ć to żyli oni i buńczucznie,
A przecież ludzie marli też! Siądź przy mnie,
O danaańskich zaśpiewam ci hufcach —
Pieśń, którą śpiewał dla ciebie Aleel
Przy wielkiej bramie, nimeśmy go jeszcze
Straciły w cieniu dąbrowy.

KSIEŻNICZKA KASIA. Nie, śpiewaj
Śpiew, który śpiewał, gdyśmy go raz pierwszy
Spotkały w cieniu dąbrowy o mroku —
Śpiewaj o królu Fergusie, jak pędził
W spiżowym wozie wskrós lasów, otoczony
Tłumem tancerzy.

(Klęka na posadzce i składa ręce na kolanach OONY.)

OONA. Daj się ukołysać,
Drogie me serce, pieśni i muzyce
I klechd prastarych urokom. Dlaczego
Mają cię martwić klęski i nieszczęścia,
Którym zapobiedz nie możesz? Z uśmiechem
Patrzy Bóg wielki na to, co przeznaczył
Na zgubę. Bądź mi wesołą! On kazał,

By młodość była wesołą, a starość
Mądrą.

GŁOS z zewnątrz. Z księżniczką widzieć się nie można.

INNY GŁOS. Muszę się widzieć.

(Krótka sprzeczka. SŁUGA wchodzi drzwiami po prawej stronie.)

SŁUGA. Ogrodnik chce gwałtem
Pomówić z panią — nie mogę go wstrzymać.

KSIEŻNICZKA KASIA. Wpuścić... Witajcie!

(OGRODNIK, człowiek stary, wchodzi drzwiami po prawej. SŁUGA wychodzi.)

OGRODNIK. Raczcie mi wybaczyć
Ten zakurzony strój; niosę nowiny
Tak gorzkie, pani, że waszej miłości
Gorszych nikt inny nie przyniósł.

KSIEŻNICZKA KASIA. Czyż mogą
W tych czasach głodu być jeszcze nowiny
Gorzkie czy słodkie?

OGRODNIK. Szajka wychudzonych
Jakichś włóczęgów, — niech Pan Bóg ich skarże —
Wlaźła ostatniej nocy do ogrodu: —
Ani jednego niema już dziś jabłka
Coś na dwudziestu jabłoniach; szparagi,
Grzędy truskawek stratowali na nic;

Na moich bukach, na mych śliwach niemasz
Ni jednej całej gałęzi, z owoców
Już ani śladu! A przytem te łotry
Zabiły jeszcze mego psa — niechże ich
Morówka trzaśnie! — stary, ślepy Finek —
Ten bez ogona — wiecie — padł z ich ręki.

KSIEŻNICZKA KASIA. Wiem, jakąś codzień otaczał miłością
Te różne grusze swoje i jabłonie —
Jaka stąd klęska spadła na twe lata,
Nie trzeba mówić. A jednak powiadam,
Że winien tutaj czas głodu, nic więcej.
Nie martw się, stary.

OGRODNIK. Dziękci, miłościwa
Pani!

KSIEŻNICZKA KASIA. O głodzie jakież macie wieści!

OGRODNIK. Żółte wyziewy, którymi przesiąkły
Przyszedłem tutaj, a które o zmierzchu
Rozpełzują się po naszych polach,
Zniszczyły moje płonki, moje drzewka.
Proszę więc Boga, ażeby to przeszło.

(Idzie ku drzwiom; potem zatrzymuje się.)

Możebym dostał, pani, jaki stary
Łuk — przyda mi się: — przykucnę za krzakiem
I będę w nocy pilnował mych gruszek,

A wzdyc postrzelę każdego, ktokolwiek
Tam się pojawi.

KSIEŻNICZKA KASIA wskazując na szafarnię. Tam ci dadzą piwa.
(Ogrodnik odchodzi.)

OONA. Co on ci gadał? Stał z mej głuchej strony.

KSIEŻNICZKA KASIA.
Skradli mu jabłka... Czas zbiorów i nazbyt
Powolne jabłek i grusz dojrzewanie
Trapią go zawsze.

OONA. Złóż z powrotem głowę
Na mych kolanach — zaśpiewam ci, dziecię,
Jak Fergus jechał na spiżowym wozie.

(Śpiewa cieniem od starości głosem.)

„Któż to z Fergussem pomknie w dąbrowę
„Przebijając gąszcze wśród leśnej mroczy
„I na pobrzeżnej płaszc polanie?
„W górę, młodzieńcze, wznies ciemną głowę,
„W górę, dziewczyno, wznies jasne oczy —
„Bojaźń niech minie, nadzieja wstanie!...

Znowu popadłaś w swą smętną zadumę —
I nie słuchałaś.

KSIEŻNICZKA KASIA. Śpiewaj, stara Uno!
Ja róg Fergusu w sercu swoim słyszę.

OONA. Ja nie rozumiem, co pieśń ta oznacza —
Jestem za stara.

KSIEŻNICZKA KASIA. Gra, gra róg Fergusu —

OONA śpiewa. „Przestań o gorzkiej dumać miłości,
„Niech jej tajemnic serce nie bada,
„Fergus na wozie spiżowym płonie —
„On, co dziedzicem leśnych jest włości,
„Nad białopiersnych mórz głębią włada
„I gwiazd zastępy ma przy swym tronie.

GŁOS SŁUGI z poza sceny.

Księżniczce dzisiaj przeszkadzać nie można.

INNY GŁOS. Muszę ją widzieć!

KSIEŻNICZKA KASIA. Któż mnie potrzebuje?

SŁUGA. To owczarz przyszedł z jakąś sprawą.

KSIEŻNICZKA KASIA. Wpuścić!

(OWCZARZ wchodzi drzwiami z prawej.)

OWCZARZ. Wybaczenie, pani, tę zszarganą odzież.

Idę z daleka. Owce mi skradziono

W nocy ze strągi dzisiaj. Wasza miłość

Gniewać się będzie... Nie wińcie mnie, pani —

Wina w tych czasach złodziejskich.

KSIEŻNICZKA KASIA. Głód winien,
Nie wy.

OWCZARZ. Na klęczkach dziękuję. Patrzący
W wasze oblicze, pani, najbiedniejszy
Człek zapomina o biedzie, a bogacz
O swojej trosce.

KSIEŻNICZKA KASIA. Cóż słyhać o głodzie?

OWCZARZ. Kiedym przechodził dziś pod Tubber-vanach,
Chłop jakiś starszy siedział z młodym chłopcem
Na kamieniskach, obaj z wycieńczoną
Twarzą od głodu, i obaj, rękami
Wywijający, pletli coś tłumowi
Mężczyzn i kobiet i dzieci o jakichś
Dwóch niby kupcach, którzy gdzieś w chałupie,
W pośrodku lasów, jakoby dla piekła
Kupują dusze, dając takie ceny,
Ze ludzie mogą cały czas posuchy
Zyć sobie bardzo dostatnio. Doliny
Szaleją z głodu — ja bo się raduję,
Ze mam swój szałas w gorach, bliżej Boga.

(Zwraca się ku wyjściu.)

KSIEŻNICZKA KASIA wskazując w stronę szafarni.
Dadzą wam piwa i kęs mięsa. Idźcie.
W taką daleką drogę toście chyba
Wstali przed świtem. Trzymajcie się wirchów,
Zdała od świata — ciężar jego grzechów
Na waszych barkach spoczywać nie będzie.

OWCZARZ. Szczęsny-m, że służę u waszej miłości! (Wychodzi)

OONA. Co on ci gadał? Stał z mej głuchej strony.

O jakichś bardzo, zda mi się, bolesnych
Mówił ci sprawach...

KSIEŻNICZKA KASIA. O, smutniejsza jestem

Od starej pieśni. Serce moje, Uno,
Za stokroć głębszym stęsknione spokojem,
Niż go miał Fergus w spiżowym rydwanie.

(Wskazuje na jedną z tkanin, wiszących na ścianie.)

Chciałabym dzisiaj — jak owa Adene,
Co w dawnych czasach poszła śladem nuty,
Drżącej o zmierzchu, — zejść między chochlików
I żyć w ich skrzętnym, miodopłynnym kraju.

OONA. Ściągniesz nieszczęście. Nie mów takich rzeczy.

KSIEŻNICZKA KASIA. Młodej Adeny wydzierzganym obraz,

Kroczącej z palcem, wzniesionym do góry,
I Aleela dzika pieśń o wiecznym
Pląsie pradawnych hufców danaańskich,
Którą mi śpiewał dziś przy wielkiej bramie,
Nimeśmy jeszcze straciły go w mroku
Buźnego liścia — to zrodziło we mnie
Bezbożne słowa.

(SŁUGA wchodzi śpiesznie do komnaty, za nim TRZECH LUDZI. Dwaj
z nich są wieśniakami.)

SŁUGA.

Burgrabia zamkowy

Prowadzi tutaj dwóch ludzi, pragnących
Pomówić z waszą miłością.

BURGRABIA.

A mają

Rzec ci, o pani, rzeczy tak przedziwne,
Że równych dotąd nie było na ustach
Ludzkich.

KSIEŻNICZKA KASIA. Tu chleb jest potrzebny; uczeni

Teologowie zapisali w księgach,
Że komu braknie strawy, ten bez grzechu
Zabierać może chleb i kawał mięsa
Tym, którzy mają nadmiar w swych szafarniach.

PIERWSZY WIEŚNIAK. Przyszliśmy tutaj, by naprawić kradzież.

Ja z trzech jabłoni skradłem pięćset jabłek
I skryłem w jamie, a ten oto tutaj,
Sąsiad i druh mój, skradł ostatniej nocy
Dwie tłuste owce z twego, pani, stada
I pod swą strzechą powiesił na belce.

DRUGI WIEŚNIAK. Prawdę powiada.

PIERWSZY WIEŚNIAK.

Ale od tej pory

Los nasz się zmienił. Wracając ścieżyną
Pod Tubber-vanach, spotkaliśmy w drodze
Szemusa Ruę ze synem, i oni
Wraz mnie powiedli do dwóch wielkich panów,
Którzy kupują dusze — za pieniądze.

Sprzedalem swoją, namówilem druha,
I ten swą duszę również przehandlował.

DRUGI WIEŚNIAK. Prawdę powiada.

PIERWSZY WIEŚNIAK. I teraz lud cały,
Niby wrzawliwe stado mew, szarpiących
Szczęt zdechłej ryby, ciśnie się sprzedawać.
Wkrótce nie będzie jednej ludzkiej duszy
Niezaprodanej — na setkę baronij.

DRUGI WIEŚNIAK. Prawdę powiada.

PIERWSZY WIEŚNIAK. Sprzedawszy, jak rzekłem,
Nie znamy bardziej przyjemnego życia,
Jak się rozgrzewać — — spojrzycie-no, pani,
Za te pieniądze oddaliśmy dusze.

DRUGI WIEŚNIAK. Oto pieniądze!

(Wydobywają z kieszeni pełne garście czerwieńców. KSIĘŻNICZKA KASIA
zrywa się w zdumieniu.)

A że się lękamy,
Iż możemy wisieć za owo złodziejstwo,
Chcemy zapłacić za owce i jabłka.
Ile żądacie?

KSIĘŻNICZKA KASIA. Schowajcie pieniądze!
Czyż wy myślicie, że dotknę się złota,
Pochodzącego od złych duchów? Idźcie!
Dwa — trzy — dwadzieścia razy tyle grosza

Co tchu im zwróćcie i wykupcie dusze —
Ja dam pieniądze.

PIERWSZY WIEŚNIAK. Nie — idziemy teraz
Pić i weselić się.

(Odchodzą.)

KSIEŻNICZKA KASIA do sługi. Biegnij za nimi,
Proś ich i sprowadź napowrót.

(Do burgrabiego.)

Burgrabio!

Ty znasz tajniki tego dworca! powiedz,
Ile mam tutaj w złocie?

BURGRABIA. Sto tysięcy.

KSIEŻNICZKA KASIA. A ile w zamkach?

BURGRABIA. Znacznie będzie więcej.

KSIEŻNICZKA KASIA. Ile w pastwiskach?

BURGRABIA. Znacznie więcej.

KSIEŻNICZKA KASIA. Ile
Warte me lasy?

BURGRABIA. Znacznie, znacznie więcej.

KSIEŻNICZKA KASIA.

Dwór ten zatrzymam, wszystko inne sprzedaj.
Zakup okręty z mąką i ze zbożem

I stada bydła — a śpiesz się! Lecz zanim
Pójdiesz, daj rozkaz, aby wydawano
Złoto każdemu, ktokolwiek się zgłosi.

BURGRABIA. Łaska światłości bożej niechaj spłynie
Na waszą miłość! Kraj chcesz zbawić, Pani!

KSIEŻNICZKA KASIA.

Śpiesz się, nie zwlekaj, a poleć zamieszkać
W tym domu wszystkim starcom i cierpiącym.
(BURGRABIA odchodzi; wraca SŁUGA.)

Co ci się stało? Mów prędko. Poblądłeś.

SŁUGA. Kiedym się zbliżył, rzekł ten wyższy złodziej,
Że niby niema co mu się przyglądać,
I wręcz odmówił.

KSIEŻNICZKA KASIA. Czyliż mi nikt inny
Ich nie sprowadzi?

SŁUGA. Nikt nie ma odwagi:
Oczy im płoną, jako u rozżartych
Ptaków drapieżnych.

KSIEŻNICZKA KASIA. Obyż się nad nimi
Pan Bóg zlitował!

SŁUGA. Uciekłem, bo mają
Jakąś moc w sobie, obcą człowiekowi.

KSIEŻNICZKA KASIA. Zostaw mnie teraz; niech się nie odezwie
Zaden głos w zamku i niechaj nie słyszę
Zadnego kroku, niechaj mi nie grają
Zadne narzędzia muzyczne; już umarł,
Umarł mój spokój!
(SŁUGA odchodzi. KSIEŻNICZKA zbliża się do OONY i kładzie głowę
na jej kolanach.)

OONA. Coż ci tak gadali
Tyle ci ludzie — po mej głuchej stronie?
I skąd im przyszło tak dużo pieniędzy?
Dlaczego płaczesz? I takimi łzami!
Takimi łzami! Patrzaj, drogie dziecko,
Jakie ogromne te łzy — te łzy twoje!
O Wierzbo Świata Płacząca, o Erie!
Na tę najmilszą córkę cień twój pada,
Liście twe szumią naokół jej głowy.
Dziękuję Bogu, żem już taka stara,
Ze mnie pochłania sen mych lat wiekowych!

ZMIANA.

Wielka sala w zamku KSIĘŻNICZKI KASI. Północ. W sali niema nikogo.
DWAJ KUPCY wchodzą ostrożnie, z próżnymi workami na plecach.

PIERWSZY KUPIEC. Skądże ty wracasz, bracie?

DRUGI KUPIEC. Z dróg rozstajnych
Pod Tubber-vanach. W dziewięciomiesięczną
Przemienion świnkę, siedzę na pośladkach,

Gdy wtem się zbliża ojciec Jan, posępny,
Smutny, swe zwykle szepczący modlitwy.
Wydało mu się, że jest z jego chlewka —
Zobaczył ucho brunatne — i brewiarz
Wypadł mu z ręki. Poczyna uciekać,
A ja w ślad za nim gonię — za swym łupem.
Padł niedaleko zagrody — nieżywy.
Do worka-m duszę wpakował i wracam.
Nagle, wśród drogi — wiesz — jej ręka prawa,
Ręka, co nędzę darzyła jałmużną,
Przedarła worek swoją cnotliwością —
Dusza uciekła.

PIERWSZY KUPIEC. Z księdza Jana śmiercią
Będziemy jutro mieli dusz aż nadto.

DRUGI KUPIEC. Mojem zadaniem było zabić klechę,
Ty masz ograbić księżniczkę. Nie bardzo
W tem ci się wiedzie... Siedziałeś beczynn timer,
Zmęczony, z brodą wspartą na kolanach,
Gdy zewsząd ludzkie potępione dusze
Z pod strzech, gałęzi, z pod poręczy okien,
Jęły się skradać niby nietoperze,
A zaś po lasach płynęły z wiatrami,
Do roztopionych podobne płomieni,
Przeróżne stwory żywiołowe.

PIERWSZY KUPIEC. Źle mi się wiedzie. Ta święta księżniczka
Tak nieustannie żarliwie się modli,

Ze bramy zamku i okna, z pobożnym
Przywarte znakiem, urągają moim
Trudom piekielnym. Lecz teraz, modłami
Zbyt umęczona, zasnęła.

(Wskazuje na drzwi kaplicy. Zagląda ją do niej ostrożnie.)

Spoczywa
Na ołtarzowych stopniach, robotnica,
Wielce strudzona Jego pól uprawą
I dobijaniem się do Jego głuchych,
Zamkniętych uszu — w nadziei, że może
Od gwiazd odciągnie Jego dłoń ku ziemi,
Iżby nam lud ten wydarła.

DRUGI KUPIEC. Odejdźmy,
Bo gdy się zbudzi i modlić rozpocznie,
Trzeba się będzie udusić.

(Wychodzą bramą po lewej stronie i po chwili wracają znowu, dźwigając
pełne wory na plecach).

PIERWSZY KUPIEC. Prześwietna —
O przewspaniała myśl — moja, tak, moja!
Już przekupywać nam nie będzie biednych,
Mistrza naszego okpiwać nie będzie,
Gdy my w tej leśnej grzęźniemy chałupie,
Gdzie próg porasta trawą, gdzie ślimaki
Po zachwaszczonej pełzają podłodze.

DRUGI KUPIEC. Dokąd to, bracie, śpieszy ten rój karłów,
Ci człowiekowi wrodzy wód mieszkańcy?

(Otwiera wielkie okno i patrzy na wierzchołki drzew.)

Nie do nas idą... Precz stąd uciekają,
Niechętni dla nas pracownicy.

PIERWSZY KUPIEC.

Zaraz

Ja ich przywołam.

(Woła przez okno.)

Chodź tu, wodny ludku,

Elementarne chodźcie tu zastępy,
Porzućcie fale nabrzmiałe — niech surmy
Wzdętych bałwanów grają sobie samym —
Zrzućcie z swych włosów te morskie oploty
I chodźcie do nas.

(Po chwili.)

Słyszę jakieś szumy,
Jak bicie wałów o dalekie brzegi —
Teraz bogunki, niby wiry świetlne,
Zarośli się po ścieżkach dąbrownych.
Trawy i liście chylą się przed niemi,
A owo wielkie i powiędłe dęby
Z stóp ich sunących pieszczą się szelestem.

DRUGI KUPIEC. Prosta jest dusza tych stworzeń zielonych —

Ni dla aniołów ona ani dla nas;
Z śmiechem się budząc z topielnej pościeli,
Ni ku dobremu wstają ani złemu.

CHOCHLIK. Niechętnie idziem, bo ta, której złoto

Mamy do leśnej unosić chałupy,
Droga jest wielce naszemu plemieniu.

Tam, ponad morzem, śród wielkiej doliny,
Stu owczaryszków owce jej wypasa,
A gdy zapadnie zmrok, u drzwi szałasu
Stawiają dla nas sto dzbanków białego
Mleka maciorek, ażebyśmy mieli
Czem się pożywić, wracając o zmierzchu
Z płasów z chochłami lądowymi.

PIERWSZY KUPIEC czyniąc znak w powietrzu. Słuchać!
Lub będzie kara.

CHOCHLIK. Jakieś znamię złego
Pali nam serca, więc słuchamy.

(Tłum krasnoludków gromadzi się naokoło okna i z wielkiego worka każdy z nich zabiera po małym woreczku. Jest ich około sześćdziesięciu, kobiet i mężczyzn, w zielonych strojach i czerwonych czapeczkach, ozdobionych muszlami.)

PIERWSZY KUPIEC. Teraz
Idźcie!

(Odchodzą.)

Kazałem im odejść; gwarliwe,
Wiatrem podszyte stworzenia; me uszy
Ogłuchły niemal z ich morskich szczebiotań.
Trzeba po więcej iść pieniędzy. Bracie!
Tęsknota gna mnie ku naszej dziedzinie,
Chciałbym już ujrzeć twarz naszego władcy.

DRUGI KUPIEC. Trud mnie umęczył.

(Wychodzą i wracają, jak poprzednio, z naładowanymi workami).

DRUGI KUPIEC wskazując na kaplicę. Jakby tę niewiastę
Pozyskać jednak dla naszego pana?
Ta perła cudna, ten turkus, wsadzony
W jego dyadem, świeciłby światłością,
Jak blaski Tego, którego imienia
Nie ośmielamy się wymienić. Teraz,
Gdy hufców naszych pełne są przestworza,
Czyby nie zabić jej, nie unieść duszy,
Zanim się zerwą zastępy aniołów?

(Kilka woreczków wypada z sakwy skórzanej.)

PIERWSZY KUPIEC. Kto rozdarł sakwę?

DRUGI KUPIEC.

Palec księdza Jana,

Gdy z niej uciekał. Że to duch był stary
I niepokąźny, więc myślałem sobie,
Iż dziura będzie bez znaczenia.

PIERWSZY KUPIEC.

Widzisz:

To stąd pochodzi, że kradniemy dusze,
Które nie całkiem są nasze. Jeżeli
Ten turkus piękny chcemy dla naszego
Pozyskać władcy, musi on do piekieł
Zejść z własnej woli.

(Nadsłuchuje.)

Hałas zbudził służbę.

Podczas, gdyś mówił, słyszałem ruszanie
Krzeseł i odgłos ludzkich kroków... Mamy

Czas — oni w dalsze odejdą komnaty.

Przywołaj teraz strzygi i upiory.

DRUGI KUPIEC podchodzi do okna.

Niema... Zmęczone... Pierzchły... Pracownicy

Są nam niechętni.

PIERWSZY KUPIEC. Zaraz ich tu ściągnę.

(Woła przez okno.)

Chodźcie tu, dusze potępionych ludzi,

Co w śnie pijanym zmarli, co zginęli

Jeden od ręki drugiego, dziś dla nas

Wyhandlowani przez Szemusa Ruę.

Do nas tu, do nas chodźcie wszystkie strzygi,

Gorzko swych własnych żalujące grzechów,

Zakłęte w zwierząt i gadów postacie —

Wy z żądz piętnami na obliczach, do nas

Chodźcie, upiory, rzućcie rokiciną

Zarosłe bagna i grzązkie wądolce —

Wy, błędne ognie, coście ongi były

Duszami ludzi, a dzisiaj jesteście

Nędzą znikomą...

DRUGI KUPIEC. Nie chcą iść.

PIERWSZY KUPIEC czyni znak w powietrzu. Upiory

I strzygi, chodźcie!

DRUGI KUPIEC. Słyszę, jakby szelest

Rozkołysanych burzą trzcina... Upiory

I strzygi wstają, by wyziewy, z ziemi;
Liście i trawy łamią się i giną —
Niezwyczajny wiatru lodowego podmuch
W nic je rozwiewa.

PIERWSZY KUPIEC. Zniszczenie z nich idzie:

Wiądy i szały, grad, pioruny, susze.

(Ciemnia napęlnia się powiewnemi postaciami, niektóre z nich mają kształty zwierząt, inne wyglądają, jak ludzie, a inne znowu do mgławych podobne światel.)

Chodźcie tu wszyscy — wy i wy — zabierzcie
Te worki złota.

UPIÓR. Myśmy zbyt gwałtowni —
Z postaci więcej podobni do burzy.

DRUGI KUPIEC. Chodźcie tu wszyscy — wy i wy — zabierzcie
Te worki złota.

STRZYGA. Myśmy nazbyt słabi —
Nikli, bez życia.

PIERWSZY KUPIEC. Chodźcie wy tu do mnie,
Coście pomarli ostatni i ludzką
Wciąż macie postać — postać siły...

(Wchodzą obaj **ZŁODZIEJE** z poprzedniej części aktu. Twarze ich wymę-
czone.)

Nuże,
Nuże, bez swarów, zabierzcie te worki.

PIERWSZY WIEŚNIAK. Ej! ej! niechętnie, bo ta, której złoto

Precz unieść mamy na tych naszych plecach,
Żywi w swem sercu litość nieskończoną
Dla potępionych wszystkich dusz. O, nieraz,
Gdy w pełną łęku wpadamy zadumę,
Mignie nam w wnętrzu wspomnienie jej lica:
I ból, przez poły uciszon, dosięga
Szczytu — i potem gorzko zawodzimy...
Musimy słuchać, bo oto niejedna,
Dziś na niebiesiech rozniecona gwiazda,
Jak piętno złego, pali nasze serca.

PIERWSZY KUPIEC. Gdy ten ostatni worek złota w leśnej
Spocznie chałupie, palić was przestanie...

Idźcie...

(Odchodzą, z nimi razem znikają widma i ogniki.)

Kazałem pójść im; samotnicze

Są to istoty, gdy kogoś żywego
Zobaczą, zaraz zawodzą.

(Wskazując na kaplicę.)

Cyt, bracie,

Szmer jakiś słyszę, który mnie przestrasza.

DRUGI KUPIEC podchodzi ku drzwiom kaplicy i zagląda do wnętrza.

Księżniczka to się ruszyła, szepcząca
We śnie urwane swoje Ojciec-nasze.

(PIERWSZY KUPIEC podchodzi do drzwi i staje.)

Znowu jest cicho.

PIERWSZY KUPIEC. Wielki plan mi błysnął
W duszy — nie dziwy: wszak-ci z dziewiątego,
Najmożniejszego wywodzę się piekła,
Kędy są wszyscy jako króle... Ze snu
Zbudzę księżniczkę i w koło jej myśli
Myśl jeszcze jedną wtrącę — myśl służenia.

(Woła przez drzwi.)

Pamiętaj o mnie w swoich modłach, pani!

(KSIĘŻNICZKA KASIA budzi się i zbliża ku drzwiom kaplicy. KUPCY
schodzą do sali. KSIĘŻNICZKA KASIA stoi na najwyższym stopniu ka-
miennych schodów.)

KSIĘŻNICZKA KASIA. Czego żądacie?

PIERWSZY KUPIEC.

Jesteśmy dwaj kupcy.

Z obcych idziemy krajów — z nowinami.
Wybacz nam, pani, żeśmy tutaj weszli
Tak niespodzianie: wielka brama zamku
Była otwarta — weszliśmy, by spotkać
Twarz jakąkolwiek.

KSIĘŻNICZKA KASIA. Brama dworca mego

Zawsze otwarta, by przyjąć gościnnie
Lud, mrący z głodu, i wszystkich, co pragną
Przed tym straszliwym schronić się tu czasem.
Jakież, kupcowie, macie wy nowiny?

PIERWSZY KUPIEC. W łąkach Allańskich spotkaliśmy człeka
Ledwie żywego, któremu kazałaś

Skupować bydło, a zaś niedaleko
Fair Head twe statki widzieliśmy w ciemnej,
Bezwietrznej nocy: stały nieruchome,
A nieruchome, jak statki, płonęły
W milczącym morzu światełka ich latarni.

KSIEŻNICZKA KASIA. Dziękuję Bogu, Maryi i aniołom,
Że mam tu jeszcze dosyć worków złota
Na kupno mąki, którą w swych śpichlerzach
Nagromadzili kupcy, aby zyskać
Na głodzie biednych. Jesteście z daleka,
Świadomi znaków czasu: kiedyż wreszcie
Po naszych polach czołgać się przestaną
Żółte wyziewy? Kiedyż ta zabójcza
Przejdzie posucha i kiedyż znów trawa
Zielone swoje ujrzy źdźbła?

PIERWSZY KUPIEC. Dni idą,
A zmian nie widać; zboże wyniszczało,
Chudoba padła lub pada, wyziewy
Wciąż jeszcze wiszą nad ziemią, choroby
Niosąc i paląc spiekotą.

KSIEŻNICZKA KASIA. Powiedzcie:
Co słyszeliście w świecie o demonach,
Zakupujących dusze?

PIERWSZY KUPIEC. Jedni mówią,
Że to są twory z wilczemi głowami

I że ich członki mają szybkość burzy,
W przeustawicznym wysuszone ogniu.
Inni dowodzą znów, że są postaci
Nizkiej a grubej; ten i ów zaś twierdzi,
Ze mu się zdali czemś więcej, niż ludźmi,
Ze są wysocy, smagli, z piętnem znoju,
Tak, jak my, pani. Lecz wszyscy się godzą
W jednym: że wzrok ich taką ma potęgę,
Iż łamie ludzi i sieć im zarzuca
Na te ich dusze, i że wszyscy ludzie
Gotowi sprzedać swe biedne płomyki,
Swe wątłe dusze, tylko że ty, pani,
Umiesz je swoim przekupywać złotem.

KSIĘŻNICZKA KASIA. Dziękować Bogu, Maryi i aniołom,
Zem jest bogata... Dlaczego sprzedają?

PIERWSZY KUPIEC. Owi demoni płacą sto i więcej
Koron za jedną niepokalną duszę,
Podobną duszy człowieka, co leży
U bramy zamku, w izbie odźwiernego.
Licha to dusza, nie warta stu groszy.
Ale za dusze, równe twojej, pani,
Słyszę, że płacą pięćkroć sto tysięcy
Koron i nad to.

KSIĘŻNICZKA KASIA. Jak można za kupę
Złota oddawać duszę? Czyż mogła
Jest czemś tak straszmem?

PIERWSZY KUPIEC. Jedni ją sprzedają,
Ponieważ pieniądz się błyszczy, a inni,
Ponieważ czują przestрах przed mogiłą;
Inni dlatego, że ich sąsiadowie
Sprzedali przedtem; inni, że jest pewna
Radość w rzuceniu nadziei, w utracie
Wszelkiej radości, w zbyciu się oporu,
W otwarciu ramion płomieniom wieczystym,
W puszczeniu na wiatr wszystkich, wszystkich żagli.
Gdy się wyczerpie twoje złoto, pani,
Z radością wielką wszyscy pójdą w targi.

KSIEŻNICZKA KASIA. We waszym głosie słyszę coś, kupcowie,
Co mnie przeraża. Kiedyście mówili
O owych ludziach, którzy swoją duszę
I swego Boga oddają za złoto,
Zrenice wasze płonęły, od razu
Znikło też dziwne zmęczenie, widoczne
Na waszej twarzy. Przebaczcie, kupcowie,
Ale mówiący, że marnem mem złotem
Służę ludowi, mieliście, zda mi się,
Uśmiech na twarzy.

PIERWSZY KUPIEC. Tylko z grzechów ludzkich
My się śmiejemy. Tyleśmy widzieli
Krajów i tyle rozmaitych ludzi —
Cóż w tem dziwnego, że wszystek ten ludek
Zawisnął sobie, niby na sznureczku

Od niewieściego trzewika, nad stosem
Wiecznych płomieni?!...

KSIEŻNICZKA KASIA. Jest w was coś takiego,
Co w lęk mnie wprawia, coś, czego my, ludzie,
Nie posiadamy. Może pochodzicie
Z najodleglejszych jakichś części świata?

(DRUGI KUPIEC, który nadśluchiwał pode drzwiami po prawej stronie,
podchodzi ku przodowi sceny, a podczas tego, po lewej, słysząc głosy i kroki
ludzkie).

DRUGI KUPIEC na stronie do PIERWSZEGO.

Są już u wejścia. Idźmy stąd. Gotowi
Jeszcze nas poznać i serca nam zmrozić
Swemi zdrowaśki lub skórę nam spalić
Święconą wodą.

PIERWSZY KUPIEC. Zegnaj nam. Musimy

Niejedną milę przebyć przed porankiem.
Wierzchowce nasze już tam biją ziemię
Z niecierpliwości.

(Odchodzą na prawo. W tej samej chwili wchodzi przeciwnymi drzwiami
grupa wieśniaków.)

KSIEŻNICZKA KASIA. A czego wy chcecie?

WIEŚNIAK. Pani, kucnąwszy przy wiatr¹ze i stare
Opowiadając klechdy, słyszeliśmy
Naraz jakowyś brzęk, jakby na ziemię
Upadł czerwieniec. Szukamy, daremnie.

KSIEŻNICZKA KASIA. Zbyt wy strachliwi, ja nic nie słyszałam.

STARY WIEŚNIAK. Tak, my strachliwi, bo jedno człowieka

Możnego słowo może nas wyrzucić
Z naszej zagrody, a miesiąc posuchy
Spalić doszczętnie wszystkie oziminy
Na naszym płonym gruncie: wichrów, gradów,
Burz i powodzi myśmy niewolnicy;
Na targowiskach strach nam skręca łokcie
I tuż za nami siada przy kominku.
A złe przeczucia tak są nieodstępne
Od nas, jak kucie w drzewie od dzieciółów.

KSIEŻNICZKA KASIA.

O złych przeczuciach nie mówcie w tym domu.

(OONA wchodzi dzwiami z lewej strony.)

OONA. Ktoś się nam włamał do skarbca! nieszczęście!
Drzwi są otwarte, a złoto skradzione!

(Wieśniacy zaczynają lamentować.)

KSIEŻNICZKA KASIA. Nie lamentujcie!

(Płacz ustaje.)

Widział tu kto kogo?

OONA. Że też ma dobra pani utraciła
Wszystko swe złoto! Nieszczęście! Nieszczęście!

KSIĘŻNICZKA KASIA. Wy trzej po mojej prawicy, dosiądźcie
Koni i cwałem w drogę! Dam zagrodę
Temu, kto schwyci złodzieja.

(Podczas jej słów wchodzi na scenę człowiek z kluczami u pasa.)

ODŹWIERNY. Zaprawdę,

Niesamowite dzieją się tu sprawy —
Złe duchy były! Siedziałem przy bramie
W mojej kamiennej budce, gdy tuż obok
Dwa przeleciały puszczyki, szepczące
Ludzkimi głosy.

STARY WIEŚNIAK. Bóg zapomniał o nas.

KSIĘŻNICZKA KASIA. Stary człowieku, nigdy On nie zawarł
Bramy, jeżeli nie otworzył drugiej.

Jestem w rozpacz, bo budzi się we mnie
Plan wielce smutny: ale ja mam wiarę — —
Przestańcie płakać, starzy moi ludzie —
Nie zapomina On świata, lecz ciągle
Lepi go w glinie, lepi na swój obraz
I podobieństwo. Wieki za wiekami
Głina buntuje się przeciwko Jego
Palcom, bój ciągły tocząc o swój stary,
Ciężki, ponury i bezkształtny spokój...
Czasem się skręci i skurczy, i wówczas
Lud jakiś pada — dziś się wykręciła
W stronę przeciwną i powstały hufce
Duchów piekielnych.

(WIEŚNIACY się żegnają.)

Zostawcie mnie samą,
Bo smutna jestem — słyszę jakieś wrzenie,
Jakby się zbliżał piorun.

(Schodzi od drzwi kaplicy na dół.)

Nie, zostańcie
Jeszcze chwileczkę. Gdy się znów spotkamy,
Obym wam dała zapomnienie klęski!

(Do OONY).

Weź te dwa klucze — ten jest od śpichlerza,
Ten od szafarni.

(Do STAREGO WIEŚNIAKA).

A wam, mój staruszkę,
Daję ten kluczyk. Otwiera komorę,
Gdzie leżą zioła lekarskie: rumianek,
Babka, żywokost, tysiącznik i inne —
Na górnej półce książka z przepisami,
Znacie się na tem: niegdyś leczyliście
Kozy i bydło.

STARY WIEŚNIAK. Cóż to znaczy, pani?!

Czyżbyście we śnie widzieli swą trumnę?

KSIEŻNICZKA KASIA.

Nie, nie! w mem sercu smutny plan się budzi:
Wielki słyszałam płacz w rozlicznych chatach —
Muszę, tak, muszę iść, choć nie wiem, dokąd.
A wy się módlcie za ten naród biedny,

Ginący z głodu, módlcie się, wy dobrzy

Moi sąsiedzi.

(WIEŚNIACY klękają. KSIEŻNICZKA KASIA wchodzi znowu w bramę kaplicy i, odwróciwszy się, stoi chwilę bez ruchu, potem wybucha krzykiem.)

Królowo Anielska,

Żegnaj! Żegnajcie, hufce hufców świętych!

ZASŁONA.

AKT TRZECI.

Izba SZEMUSA RUY. OBAJ KUPCY siedzą przy jednym i drugim końcu stołu. Przed nimi zwoje pergaminów i wielka ilość małych sakiewek z pieniędzmi.

PIERWSZY KUPIEC. Już nas ta pani okradać nie będzie —
Niema nic więcej, prócz myszy, w jej skrzyniach.

DRUGI KUPIEC. Ostatniej nocy, przedzierzgnięty w sowę,
Na Donegalskie pofrunąłem turnie
I tam, na stromem usiadłszy urwisku,
Ujrzałem statki, wiozące ludowi
Zboże i mąkę. Za pięć dni tu będą.

PIERWSZY KUPIEC. Ja, szarej sowy wzięwszy na się postać,
Mknąłem i mknąłem w mrokach ku wschodowi
I tam spostrzegłem, jak sto ciężkich wołów
K'nam żelaznemi poganiano kijmi.
I one, bracie, za pięć dni tu staną.

DRUGI KUPIEC. Pięć dni na handel.

(Podczas ich rozmowy weszli do środka wieśniacy, prowadzeni przez Teiga i Szemusa, którzy, stanąwszy po obu stronach drzwi, czynią porządek w tłumie, od czasu do czasu dodając ludziom odwagi gestami i szeptami.)

Cisną się i cisną...

Od dnia posuchy tak się tu gromadzą,
Jak liść jesienny, który głuche wiatry
Zwiewają w kupę...

Handel! handel! handel!

PIERWSZY KUPIEC. Któż z nami zechce pohandlować?

SZEMUS.

Panie,

Brak pożywienia obrał ich z odwagi,
Prócz czterech, pięciu... Masz tutaj jednego —
Czas i na innych przyjdzie, że nabiorą
Ducha.

MEZCZYZNA W ŚREDNIM WIEKU.

Ja — owszem, lecz za dobrą cenę.

PIERWSZY KUPIEC czytając w pergaminie.

Dżon Maher, człowiek bogaty, o zmysłach
Tępych, spokojnych, uległego serca.
Pewnym jest w oczach aniołów... Dam dwieście,
Dwieście za duszę, marne tchnienie wiatru.

MEZCZYZNA. Chcę trzysta koron... Czytaliście właśnie,
Iż żadna klęska nie uczyni ze mnie
Waszego sługi.

PIERWSZY KUPIEC. Tu coś więcej stoi.

„Często po nocy budzi się z przestachu,
Aby nie zostać biednym“... To jest twoje
Niedomaganie... Dwieście koron?

(MEŻCZYŻNA liczy pieniądze i odchodzi.)

DRUGI KUPIEC.

Handel!

Zdaje się niemal, że niema w was duszy —
Chyba jedynie na wiarę parafii.

Handel! hej, handel!... Czy wolicie umrzeć?

Żyła tu przedtem kobieta, nie chciała

Iść z nami w targi i zmarła — w czerwonych

Spoczywa kwiatach, ze świeczkami wokół,

Powtykanemi w butelki.

KOBIETA.

A jaką

Dacie też cenę za moją?

PIERWSZY KUPIEC.

Ej, piękna,

Wdzięczna i młoda — sądzę, że nie dużą.

(Czyta w pergaminie.)

Listy miłosne chowa w małym dzbanku,

W górze, na murku, pomiędzy klepsydrą

A garnkiem pieprzu.

KOBIETA.

Przeklęty pergamin!

PIERWSZY KUPIEC czyta. Chowa je pilnie przed oczyma męża,

Który pojechał zakupywać konie

I nie powrócił... Jesteś pewna! damy
Koron pięćdziesiąt.

(KOBIETA zabiera się ku wyjściu.)

Damy setkę.

(KOBIETA bierze pieniądze i znika w tłumie.)

Handel!

Handel! hej handel! Tylko z miłosierdzia
Zakupujemy te dusze. Tysiące
Przeróżnych grzechów oddało je w ręce
Naszego Pana, nimeśmy tu przyszli.
Snadź gotowicie umierać, dopóki
Jeszcze wam kości świecą poprzez skórę.
Chodźcie na handel — albo czyż wolicie
Żyć pokrzywami, szczawiem i jarmużem?
Lub czy mniemacie, że głód się wyczerpie?
Zdrów on i czerstwy, nasz on i naszego
Przemocarnego władcy! nie ustąpi,
Dopokąd swego nie dobieży celu.
On to pokrywa żółtymi wyziewy
Te wasze pola wyschnięte, zatrąty
On je strasznemi napęlnia widziadły
I coraz groźniej z każdą rośnie chwila.
Patrzcie, jak ściemnia światło dnia... Czyż spokój,
Drapieżnym ptakom znan, jest czemś tak strasznem?
One — i wszystkie naszemu władcyce
Posłuszne dusze, i te, które żyją
Z tym drugim wielkim duchem, osiągnęły

Cel swego bytu, spokój, kiedy wami
Jak gdyby jakieś rzucało wahadło.

(Wchodzi ALEEL z potarganemi u harfy strunami.)

ALEEL. Weźcie mą duszę; jestem nią umęczon!
Nie chcę zapłaty!

PIERWSZY KUPIEC czyta. Pieśniarz... On sam jeden
Miał umysł zwrócon ku strzygom i chochłom,
Ku opowieściom o przebojach Fenian,
Ku onym królom Czerwonego Szczepu,
O życie ludzi wzdyc się nie troszczący...
Dziś się to wszystko zmieniło...

ALEEL. Ponieważ
Nie odstępuję mnie jej lico blade,
Księżniczki Kasi lico... Smutek świata
Siadł na jej czole: nazbyt mnie krępować
Poczęły więzy jej skargi, dlategom
Porwał te więzy!... Zabierzcie mą duszę!

PIERWSZY KUPIEC. Wziąć nie możemy, bo należy do niej.

ALEEL. Weźcie ją! weźcie!... Pomódz jej nie mogę,
I to mnie dręczy...

PIERWSZY KUPIEC. Nie, nie, my nie chcemy.

ALEEL. Czyż tak już niłą ta wasza potęga ~?
Wszystkie dni moje dźwigać mam ten ciężar?
Niechaj was moje pochłonie szyderstwo!

PIERWSZY KUPIEC. Weźcie go precz stąd; on mi na zawadzie!

(TEIG i SZEMUS wyprowadzają ALEELA pomiędzy tłum.)

DRUGI KUPIEC. Wzrok jego, bracie, napełnił mnie dreszczem
I strasznym lękiem.

PIERWSZY KUPIEC. Nachyl się, pocałuj
Tę moją obręcz, na której spoczęły
Wargi naszego Mistrza oną chwilą,
Kiedy nas słał tu... Odzyskasz znów spokój.

(DRUGI KUPIEC całuje złotą obrączkę, okalającą głowę pierwszego kupca.)

SZEMUS. Nazwisko jego Aleel, stracił zmysły
W ostatnich czasach, lecz nie masz w nim złości.
Szał jego minął, można być z nim razem
I tak go wodzić, jak dziecko.

PIERWSZY KUPIEC. Hej! handel!
Handel! hej handel! Czyście wy pogłuchli?

SZEMUS. Opowiadają, żeście zbyt zniżyli
Cenę za ową kobietę...

PIERWSZY KUPIEC. Więc teraz
Ofiarowuję wielki grosz — zważajcie:
Dam tysiąc koron za starą kobietę,
Co brzydką była przez całe swe życie.

(STARA WIEŚNIACZKA staje na przedzie sceny, a on rozwija pergamin
i czyta.)

Mało jest o niej tutaj napisano:

Kradła czasami drób, jeśli ją żniwa
Kiedy zawiodły — lecz dwakroć na tydzień
Szła do kaplicy, gdy się poszczęściło,
I tam składała ofiarę... Bierz pieniądze.

STARA WIEŚNIACZKA z ukłonem. Bóg wam błogosław, Panie!

(Zaczyna lamentować.)

Panie! panie!

Ból straszny czuję.

PIERWSZY KUPIEC. Imię, któreś rzekła,
Dla potępionych jest jak ogień. Precz stąd!

(WIEŚNIACZKA odchodzi.)

Patrzcie, jak płoną te złote czerwienie!
Handel! Czyż lęk wam, że ta wiedźma stara
Nieco narzeka? Czyście wszyscy tchórze!?

WIEŚNIAK. Nie jestem tchórzem, chcę sprzedać pół duszy.

PIERWSZY KUPIEC. Jakto pół duszy?

WIEŚNIAK.

Pół moich widoków

Pójścia do nieba.

PIERWSZY KUPIEC. Napisano tutaj:

Człek ten we wszystkim szedł pośrednią drogą —
Zajął sam środek wahadła. Nikt odeń
Nie doznał złego ni dobrego... Odejdź!
Nie chcę nabywać twojej duszy.

DRUGI KUPIEC.

Handel!

Handel!

PIERWSZY KUPIEC. Co? chcecie wstrzymywać nas zdala

Od naszych włości? Od wiecznej rozkoszy?

Hej! skończcie handel, a my do naszego

Odejdziem Pana... Handel! handel! handel!

KRZYK WIEŚNIAKÓW.

Księżniczka Kasia! Jest księżniczka Kasia!

KSIĘŻNICZKA KASIA wchodzi. Wciąż handlujecie?

PIERWSZY KUPIEC.

Tobie na przekorę!

Poco tu przyszedłeś, szafirowooka

Święta?

KSIĘŻNICZKA KASIA. Chcę moją zaprzedać wam duszę

Za wielką cenę.

PIERWSZY KUPIEC. Jeśli warta ceny?

KSIĘŻNICZKA KASIA. Lud ginie z głodu, dlatego się tłoczy

Ku wam. Słyszałam jego krzyk i krzyk ten

Wciąż mi brzmi w uszach — dzień i noc: chcę koron

Pięćset tysięcy, aby ich wyżywić,

Póki nie przejdzie czas posuchy; nadto,

Jeśliście znęcić umieli te biedne

Dusze czerwieńców swych brzękiem, ja pragnę

Wykupić wszystkie i zwrócić je Bogu.

Swoją chcę sprzedać wam duszę!

WIEŚNIAK.

Przenigdy!

Nie czyn nam tego. Dusze biednych ludzi
Nie mają ceny tak wielkiej przed Bogiem,
Jaką ma, pani, twoja dusza. Pani!
Cóżby bez ciebie czyniły niebiosa?

INNY WIEŚNIAK.

Patrz, jak im szpony kurczą się w skórzanych
Tych rękawicach.

PIERWSZY KUPIEC. Pięćkroć sto tysięcy!

Damy tę cenę! Jest złoto! Gdy z nami
Rozmawiasz, pani, dusze się zwracają
Ku wysokościom, bo oblicze twoje
Wielką rozsiewa naokoło światłość,
Migotliwymi napełnia blaskami
Serca tych ludzi, a dzięki tym blaskom,
Mogłaby zmarnieć nasza ciężka praca —
Ponad głębiami Onby się mógł ruszyć
I nam odebrać te dusze. Do dzisiaj
One naszymi były-li przez poły,
Gdyż przenikały je na wskrós tve jasne,
Promienne oczy, rabując im szczęście
Zadowolenia. — Lecz podpisać musisz:
Taką kupując duszę, jak twa, pani,
Formy pominąć nie możemy. Podpisz
Tem oto piórem — pochodzi od kura,
Co zapiał ongi, kiedy Piotr się zaparł

Swojego Mistrza. Kto zaś pióra tego
Użył, ten w piekle w wielkich jest honorach.

(KSIEŻNICZKA KASIA nachyla się, aby podpisać pergamin.)

ALEEL wpada na przód sceny i wyrywa jej z rąk pergamin.

Wielkiego wodza zaznać masz miłości —
Gromada dzieci winna igrać, pani,
Wokół twych kolan! Zostaw tych wieśniaków
Stworzycielowi niebios!...

KSIEŻNICZKA KASIA. Jam bez myśli — —
Krzyk tylko słyszę — krzyk tych biednych ludzi.

ALEEL rzuca pergamin na ziemię. Miałem widzenie pod kępą dzikiego
Bzu i leszczyny: że mamy usłyszeć,
Jak Archanioły toczyć będą próżną
Czaszkę szatana grzbietem gór!

PIERWSZY KUPIEC. Precz! Precz z nim!

(TEIG i SZEMUS wypychają go tak szorstko, że ALEEL pada w tłumie
na ziemię.)

KSIEŻNICZKA KASIA podnosi pergamin i, podpisawszy go, zwraca
się do tłumu. Bierzcie pieniądze; teraz chodźcie ze mną.
Zdała od tego skażonego miejsca
Dam z was każdemu czerwieńców do syta.

(Wychodzi; tłum wieśniaków otacza ją i całuje po rękach. ALEEL i OBAJ
KUPCY pozostali sami.)

DRUGI KUPIEC. Skończone tedy dni naszego trudu.

PIERWSZY KUPIEC. Kosztowny dzisiaj zdobyliśmy klejnot
Dla dyademu szatana.

DRUGI KUPIEC. Musimy
Iść stąd i czekać, dopóki nie umrze,
Ponad jej zamkiem w postaci puszczyków
Czuwać będziemy jeszcze rok niejeden
I strzedz naszego klejnotu, aż przyjdzie
Chwila zabrania jej duszy.

PIERWSZY KUPIEC. Nie. Poco?
W powietrzu tylko zawisniemy nad nią,
Bo na minuty liczy się jej życie.
Gdy tu przybyła, spostrzegłem w jej oczach
Pomrok mogiły, i stopy jej ciężkie,
Niby obute w trzewiki z ołowiu;
Wzrok jej tkwił w ziemi, jak gdyby robactwo
Już ją wzywało ku sobie; a kiedy
Podpisywała swe imię, jej serce
Jęło się łamać... Cicho!... Cicho... Słyszę
Bramy piekielne skrzypiące w zawiasach:
Idzie k'nam odgłos wieczystej biesiady,
By nas pokrzepić.

DRUGI KUPIEC. A teraz na skrzydłach
Wzbijmy się, bracie, w powietrzne przestwory,
By wśród nich w szpony pochwycić jej duszę.

(Ulatują w górę. ALEEL czołga się w środku izby. Zapadł mrok, i ciemność na ziemi wzrasta stopniowo. — Słychać daleki grzmot i odgłos zrywającej się burzy.)

ALEEL. Bramy spiżowe otwarte na oścież —

Balor na grzmiącym zjawia się rydwanie,
Demoni ciężkie podnieśli powieki
Nad źrenicami, które w dniach pradawnych
W głązy zmienili bogowie. Zdradziecki
Jawi się Barach i chutnego rodu
Idzie Kailitin, on, co druidyczny
Przekwit i zanik spuścił był na dziecię
Suałtamowe i Dektery (pierwszy
Król Hell go znowu wywyższył, zabiwszy
Naisiego i srogo złamawszy
Serce Deirdry), — a wszystkie ich głowy
Ku tejże samej zwracają się stronie,
Z życia bowiem zwalczały z uporem,
Z niehamowaną, chytrą zaciekłością,
Piękno i spokój.

(Wchodzi OONA; zatrzymuje się jednak we drzwiach.)

ALEEL podniósł się w połowie do góry, kolaniem i ręką opierając się o ziemię. Klękniź, stara czaplo,
Zdała od ślepej nawałnicy.

OONA.

Gdzież jest

Księżniczka Kasia? Gdzie? Przez dni te wszystkie
Była tak blada, a ręka jej — czułam —

Drżała, spotkawszy przy kądzieli moją —
I teraz nie wiem, dokąd poszła.

ALEEL.

Innych

Ma już księżniczka przyjaciół — tak, innych,
Przemieszkujących w tym straconym świecie.

(Wskazuje na dół.)

Oto Orchila, naprzód; blada, piękna,
Lice jej żyje, a ciemna jej postać
Do mgieł podobna, gdy się nagromadzą
W porze jutrzennej, bo tej, co umiała
Rozbudzać żądzę, serce li się krwawi,
Podczas gdy drudzy konają. Naokół
Mgławą ma ciżbę kobiet, głośnym śmiechem
Przywabiających szatany, za sobą
Straszne wypary krwi, zmienionej w grzechy,
Tylko te wszystkie, białe jak gwoźdźiki,
Drobne paznogcie wyrosły w ogromne
Szpony.

(Chwyta OONE, ciągnie ją na środek sceny i gwałtownym ruchem wskazuje na dół. Szum wiatru.)

Już swoje zaczynają pieśni —

Wciąż na ich wargach brzmi jakaś melodia.

OONA rzuca się twarzą na ziemię.

O Twórco świata! chroń ją od demonów!

A jeśli trzeba zginać jakiej duszy,

To zabierz moją!

(ALEEL klęka obok, ale zdaje się słów jej nie słyszeć; wzrok utkwiał w ziemię, jakby chcąc ją przebić. Wieśniacy wracają. Niosą księżniczkę Kasie i kładą ją na ziemi pomiędzy Ooną i Aleelem. Leży jak umarła.)

OONA. Że też tyle naczyń
Z surowej gliny trwa, a porcelana
Pęka na dwoje.

(Całuje ręce KSIĘŻNICZKI KASL.)

WIEŚNIAK. Byliśmy pod drzewem,
Tam, gdzie się skręca droga, gdy księżniczka
Zbladła i nagle zasłabła. A gdyśmy
Nieśli ją tutaj, czarna nawałnica
Przyćmiła przestwór, prawie z nóg nas wałąc.
Trzeba zasunąć zaporę, bo żaden
Śmiertelny człowiek nie oprze się czarnej,
Oślepiającej, groźnej, nagłej burzy.

(Jeden ze stojących bliżej zaszuwa zaporę.)

OONA. Sza! sza! zbudziła się z omdlenia.

KSIĘŻNICZKA KASIA. Ludzie,
Trzymajcie, proszę, trzymajcie mnie mocno,
Bo nawałnica porwie mnie.

(OONA bierze ją w ramiona. Jedna z kobiet zaczyna zawodzić.)

WIEŚNIAK. Sza!

INNY WIEŚNIAK. Sza!

WIEŚNIACZKA. Sza!

KSIEŻNICZKA KASIA nawpół się podniósłszy.

Do stóp mi złożcie wszystkie worki złota!

(Kładą jej woreczki z pieniędzmi pod stopy.)

Idźcie, starego sprowadźcie Neala,

Niech on, gdy umrę, każdego wysłucha

I sprawiedliwie rozsądzi i rozda...

On was ziołami leczy, wie najlepiej,

Kto jest w największej pośród was potrzebie.

WIEŚNIACZKA na tyłach tłumu.

A czy mi dosyć wydzieli, bym mogła

Wyżywić dzieci, aż przejdzie posucha?

INNA WIEŚNIACZKA. Królowo niebios i wy wszyscy Święci,

Zgubcie nas wszystkich, byle tylko księżna

Mogła ocaleć.

KSIEŻNICZKA KASIA. Nachylcie się ku mnie,

Ty, moja Uno, i ty też Aleelu:

Spoglądam na was jako ta jaskółka

Na swoje patrzy gniazdo pod okapem,

Nim ponad grzmiące tonie wód uleci...

Przestańcie płakać tak gorzko, wszak tutaj

Została jeszcze na wielkim ołtarzu

Niejedna świeca, choć jedna upadła.

Aleelu, bracie! Ty, który śpiewałeś

O dawnym rodzie, nieznającym troski

Naszego świata, mającym li tchnienie

W swoich powiewnych kształtach, bądź mi zdrowy!
Zegnaj mi, Uno, coś len przędła ze mną,
Słodka, jak sen ich po skończonych płasach:
Burza mi siadła we włosach, czas odejść.

(Umiera.)

OONA. Podajcie mi tu zwierciadło.

(Jedna z wieśniaczek przynosi jej lustro z izby. OONA trzyma je nad wargami KSIĘŻNICZKI KASI. Cisza na chwilę — potem przytłumiony okrzyk OONY:)

Umarła.

WIEŚNIACZKA. Była na świecie wielką, białą lilią.

INNA WIEŚNIACZKA. Piękniejsza była ode gwiazd pobladyłych.

STARA WIEŚNIACZKA. Złamane kwiecie, które tak kochałam!

(ALEEL bierze zwierciadło z rąk OONY i rzuca je o ziemię, rozbijając na drobne kawałki.)

ALEEL. Rozbiłem cię, bo niema już lica,

Co napęniało cię pięknością: zamrzyj

I ty, me serce, albowiem już poszła

Ta, której słowo, nasycone smętkiem,

Czyniło z ciebie żyjącego ducha,

Podczas gdy dzisiaj jestem już zmartwiałą

Gliną pożądań. A ty, dumna ziemio,

I rozpienione ty morze, zagińcie!

Nie usłyszycie już więcej jej błędnych,
Samotnych kroków, zostaniecie same
Wpółród głośnego boju archaniołów
Z hucem szatanów.

(Wstaje, reszta klęczy, atoli na ziemi taka panuje ciemność, że nie można
rozeznąć ich kształtów.)

A ja, który płaczę,
Ja was przeklinam, ty, Czasie, ty, Zmiano!
Ty, Przeznaczenie! i żadnej nie żywię
Innej nadziei, prócz tej, abym wielkiej
Doczekał chwili, kiedy was na głowę
Strącę w bezdenne przepaście.

(Błyskawica, w ślad za nią grom.)

WIESNIACZKA. Niech klęknie,
Nim jego klątwa ściągnie nam na głowy
Łyski i gromy.

ALEEL. Anioły i czarty
Walczą w przestworach; to miecze śpiżowe
Tak o śpiżowe uderzają hełmy.

(Błyskawica, w ślad za nią grom.)

Szeroki oszczep, wyrzucon z rzemieńca,
Na wskroś tam przekłuł żrenicę Balora,
I ciemny zastęp rozpierzchnął się, jęczący,
Jak ongi pierzchał z brzegów Moytury.

(Pochłaniająca wszystko ciemność.)

STARZEC. Wszechmoc, za nasze rozgniewana grzechy,

Zatraca świat nasz, i wnet już pomrzemy.

(Widziadłana światłość rozprasza ciemności. Wieśniacy zdają się klęczeć na skalistym urwisku góry; mgły nawałnicowe, od czasu do czasu przerywane światłem, otaczają ich i płyną poza nimi. Nawpół w świetle, nawpół w mroku stoją aniołowie w zbrojach. Zbroje ich stare i zużyte, miecze ich czarne i poszczerbione. Stoją, niby w szyku bojowym, i surowo patrzą na dół.

Wieśniacy rzucają się na ziemię.)

ALEEL. Przestańcie patrzeć na te wpół otwarte

Wierzeje piekieł, mówcie raczej do mnie,

Którego serce tak przejęte Bogiem,

Że już o ziemskich nie chce myśleć sprawach —

Mówcie mi o tej, która tutaj leży.

(Chwyta jednego z aniołów.)

Nie prędkiej wrócisz w krainę wieczności,

Aż gdy przemówisz.

ANIOŁ. Światłość pada na dół —

Bramy perłowe otwarte na oścież,

A ona poszła w przybytek pokoju;

Marya z sercem po siedmkroć przebitem,

Pocałowała jej wargi, a święte

Włosy spłynęły na jej twarz; pobudki

Rozważa Światłość Światłości, nie czyni —

Mrok mroków tylko z czynami się liczy.

(ALEEL puszcza ANIOŁA i klęka.)

OONA. Powiedz chodzącym w przybytkach pokoju,

Ze pragnę umrzeć i odejść już do tej,

Którą tak kocham; lata, niby wielkie
Czarne bawoły, stąpają po ziemi,
Bóg niby skotarz pogania je z tyłu,
A mnie ich ciężkie zdeptały kopyta.

(Coś, jak gdyby głos surmy, dobywa się z wnętrza światłości. Widzenie
rozpływa się powoli, w ciemnościach słabo się rysują postacie kłęczących
wieśniaków.)

ZASŁONA.

THE HISTORY OF THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

IN WHICH ARE CONTAINED THE

CAUSES, THE CONDUCT, AND THE

ISSUES OF THE

WAR OF THE ROSES

BY

JOHN RICHARDSON

OF THE MIDDLE TEMPLE

ESQ.

LONDON: Printed by J. Sturges, at the

Sign of the Anchor, in St. Dunstons Church-yard

1704.

IN TWO VOLUMES.

THE FIRST.

THE SECOND.

THE THIRD.

THE FOURTH.

THE FIFTH.

THE SIXTH.

THE SEVENTH.

THE EIGHTH.

THE NINTH.

THE TENTH.

THE ELEVENTH.

THE TWELFTH.

PRZYPISKI AUTORA DO „KSIĘŻNICZKI KASIA”.

KSIĘŻNICZKA KASIA. (The Countess Cathleen.) W poemat niniejszy włączyłem legendę, tak jak ją podają „Baśnie i podania ludu irlandzkiego” („Fairy and Folk Tales of the Irish Peasantry”), na wiarę, że jest to rodzime, starodawne podanie irlandzkie. Potem słyszałem jednak, że rodowód jej jest późniejszy.

Wydawca „Folklore’a” zwrócił się w swem piśmie z prośbą o informację co do wariantów, pochodzenia i t. d. tego podania, lecz bez skutku. Jedyne znane mi podanie, do mego podobne przedmiotowi, znalazłem w Larmini’ego „West Irish Folk Tales” (Podaniach zachodnio-irlandzkich) — o matce, która na lat siedm poszła do piekła, aby odkupić duszę swego syna, a potem została jeszcze lat siedm dla odkupienia innych dusz.

ADENE (Etaín.) Słynna królowa legendarna, którą uprowadził Meder, król chochlików.

BALOR, dowódca ciemnych zastępów w wielkim boju Dobrego i Złego Życia i Śmierci, Światła i Ciemności, stoczonym na wybrzeżach Moytury w pobliżu Sligo.

BARACH (Borrach.) Barach wywabił FERCUSA na biesiadę, aby w jego nieobecności pomordować synów USNY. Fergus, związany przysięgą, że nigdy nie odmówi udziału w jego ucztach, zmuszony był pójść — wbrew swojej woli.

CAILITIN. Druid Caílitin i jego synowie zwalczali Cuhoollina czarno-księską sztuką.

CONHOR (Concobar) był królem Wszechirlandyi w okresie królów „Czerwonego Rodu“.

CUHOOLLIN, wielki bohater z cyklu „Czerwonego Rodu“.

DANAAN (Tuath de Danaan) oznacza Ród Bogów Danu. Były to potęgi światła, życia i ciepła, i walczyły z FOMOROHAMI, t. j., potęgami nocy, śmierci i zimna. Z czasem, gdy je przestano czcić i składać ofiary, malały stopniowo w wyobraźni ludu, aż w końcu zeszyły do kategorii chłlików etc.

DECTERA (Dechtera), matka CUHOOLLINA.

DEIRDRE, bohaterka jednej z najpiękniejszych legend gaelickich. Kochał ją Concobar, ona uciekła od niego z Naísim, została jednak w zdradziecki z powrotem ujęta sposób. Jest to smutna a piękna kobieta z cyklu „Czerwonego Rodu“, tak jak GRANIA jest smutną a piękną kobietą z cyklu o Fenianach.

FENIANIE, wielki zakon rycerski, na którego czele stał FINN.

FERGUS — pieśniarz cyklu „Czerwonego Rodu“, tak jak OISIN cyklu legend o Fenianach. Był królem Wszechirlandyi i, jak opiewa podanie, opracowane przez Samuela Fergusona, zrzekł się tronu, aby módz swobodnie polować po lasach.

HELL (Piekło). W dawniejszych podaniach irlandzkich piekło zawsze jest zimne, być może dlatego, ponieważ Fomorohey, potęgi zła były władcami północy i zimy. Chrześcijaństwo starało się, o ile możliwości zastosować do wierzeń swoich, w Irlandyi tak samo, jak i gdzieindziej, symbole pogańskie, a poeci irlandzcy, śpiewający o „zimnej posadzce piekła“, powtarzali symbole pogańskie. W opowieściach ludu i w Keating'a opisie piekła spotykamy się, mimo to, także ze zwykłym symbolem ognia.

MAIVE, Słynna królowa z cyklu „Czerwonego Rodu“. Według podania, pochowana została w kamiennym grobie na Knocknarea. Ferguson mówi o „muszlowym grobie Maívy na szczycie Knocknareí“, grób ten atoli jest z kamieni.

ORCHIL. Fomoroh i czarownica, o ile dobrze sobie przypominam. Zresztą, zapomniałem wszystko, com o niej wiedział dawniej.

POOKA, duch, który przedzierzga się raz w psa, raz w konia, raz w osła lub orła.

SUALTAM, ojciec Cuhoollina.

USNA, ojciec NAISIEGO, kochanka Deirdry, oraz Ardana i Ainlego, jej przyjaciel. Cudny lament Deirdry nad ich zwłokami przetłómaczył pięknie Samuel Ferguson.



THE HISTORY OF THE

REIGN OF HENRY THE SEVENTH

BY JOHN HALLAM

ESQ. OF LINCOLN'S INN

IN TWO VOLUMES

LONDON: PRINTED BY J. JOHNSON

ST. PAULS CHURCH-YARD

1798

IN TWO VOLUMES

THE SECOND VOLUME

CONTAINING THE

REIGN OF HENRY THE SEVENTH

THE HISTORY OF THE

REIGN OF HENRY THE SEVENTH

BY JOHN HALLAM

ESQ. OF LINCOLN'S INN

IN TWO VOLUMES

LONDON: PRINTED BY J. JOHNSON

ST. PAULS CHURCH-YARD

1798

IN TWO VOLUMES

THE SECOND VOLUME

CONTAINING THE

REIGN OF HENRY THE SEVENTH

ATALANTA W KALYDONIE

THE HISTORY OF THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

BY SAMUEL JOHNSON

IN TWO VOLUMES

LONDON: Printed by A. MILLAR, in Pall-mall.

1729.

MDCCXXIX.

THE SECOND VOLUME

OF THE HISTORY OF THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

BY SAMUEL JOHNSON

IN TWO VOLUMES

LONDON: Printed by A. MILLAR, in Pall-mall.

1729.

MDCCXXIX.

THE SECOND VOLUME

OF THE HISTORY OF THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

BY SAMUEL JOHNSON

IN TWO VOLUMES

LONDON: Printed by A. MILLAR, in Pall-mall.

1729.

MDCCXXIX.

THE SECOND VOLUME

OF THE HISTORY OF THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

BY SAMUEL JOHNSON

IN TWO VOLUMES

LONDON: Printed by A. MILLAR, in Pall-mall.

1729.

MDCCXXIX.

PAMIĘCI WALTERA SAVAGE'A LANDOR'A

THE HISTORY OF THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

BY SAMUEL JOHNSON

IN TWO VOLUMES

LONDON: Printed by A. MILLAR, in Pall-mall

1743

IN TWO VOLUMES

THE SECOND VOLUME

CONTAINING THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

FROM THE DEATH OF KING CHARLES THE FIRST

TO THE DEATH OF KING CHARLES THE SECOND

THE HISTORY OF THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

BY SAMUEL JOHNSON

IN TWO VOLUMES

LONDON: Printed by A. MILLAR, in Pall-mall

1743

IN TWO VOLUMES

THE SECOND VOLUME

CONTAINING THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

FROM THE DEATH OF KING CHARLES THE FIRST

TO THE DEATH OF KING CHARLES THE SECOND

ὦχεο δὴ Βορέηθεν ἀπότροπος ἀλλά σε Νύμφαι
 ἤγαγον ἀσπασίαν ἡδύπνοιο καθ' ἅλα,
 πληροῦσαι μέλιτος θεόθεν στόμα, μή τι Ποσειδῶν
 βλάψῃ, ἐν ὣσιν ἔχων σὴν μελίγηρυν ὄπα.
 τοῖος ἀοιδὸς ἔφυς· ἡμεῖς δ' ἔτι κλαίομεν, οἱ σου
 δευόμεθ' οἰχομένου, καί σε ποιοῦμεν ἀεὶ.
 εἶπε δὲ Πιερίδων τις ἀναστρεφθεῖσα πρὸς ἄλλην·
 ἦλθεν, ἰδοῦ, πάντων φίλτατος ἦλθε βροτῶν,
 στέμματα δρεψάμενος νεοθηλέα χερσὶ γεραιαῖς,
 καὶ πολὺν δάφναις ἀμφεκάλυψε κάρα, 10
 ἡδύ τι Σικελικαῖς ἐπὶ πήκτισιν, ἡδύ τι χόρδαις,
 ἀσόμενος· πολλὴν γὰρ μετέβαλλε λύραν,
 πολλάκι δ' ἐνβησσασι καθήμενον εὔρεν Ἀπόλλων,
 ἀνθεσι δ' ἔστειπεν, τερπνὰ δ' ἔδωκε λέγειν,
 Πᾶνα τ' ἀείμνηστόν τε Πίτυν Κόρυθόν τε δύσεδρον,
 ἦν τ' ἐφιλησε θεὸν θνητὸς Ἀμαδρύαδα·
 Πόντου δ' ἐν μεγάροισιν ἐκοίμισε Κυμοδάμειαν,
 τήν τ' Ἀγαμεμνονίαν παῖδ' ἀπέδωκε πατρὶ,
 πρὸς δ' ἱερὸς Δελφοὺς θείπληκτον ἔπεμψεν Ὀρέστην,
 τειρόμενον στυγεραῖς ἔνθα καὶ ἔνθα θεαῖς. 20

THE HISTORY OF THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

IN WHICH ARE CONTAINED THE

CAUSES, THE CONDUCT, AND THE

ISSUES OF THE

WARRE BETWEEN HIM AND HIS

PARLIAMENTS

BY SAMUEL JOHNSON

IN TWO VOLUMES

LONDON: Printed by A. MILLAR, in

St. Pauls Church-Yard, 1729.

THE HISTORY OF THE

REIGN OF KING CHARLES THE FIRST

IN WHICH ARE CONTAINED THE

CAUSES, THE CONDUCT, AND THE

ISSUES OF THE

WARRE BETWEEN HIM AND HIS

PARLIAMENTS

BY SAMUEL JOHNSON

IN TWO VOLUMES

LONDON: Printed by A. MILLAR, in

St. Pauls Church-Yard, 1729.

ὦχεο δὴ καὶ ἀνευθε φίλων καὶ ἀνευθεν ἀοιδῆς,
 δρεψόμενος μαλακῆς ἀνθεα Περσεφόνης,
 ὦχεο κοῦκ ἔτ' ἔσει, κοῦκ αὖ ποτέ σοι παρεδοῦμαι
 ἀζόμενος, χειρῶν χερσὶ θιγῶν ὁσίαις·
 νῦν δ' αὖ μνησάμενον γλυκύπικρος ὑπήλυθεν αἰδῶς,
 οἷα τυχῶν οἴου πρὸς σέθεν οἶον ἔχω·
 οὔποτε σοῖς, γέρον, θῦμα φίλοις φίλον θῦμασι τέρψω,
 σῆς, γέρον, ἀψάμενος, φίλτατε, δεξιτερᾶς.
 ἦ ψαφαρὰ κόνις, ἦ ψαφαρὸς βίος ἐστὶ τὶ τούτων
 μείον ἐφημερίων; οὐ κόνις ἀλλὰ βίος, 10
 ἀλλὰ μοι ἡδύτερός γε πέλεις πολὺ τῶν ἔτ' ἐόντων,
 ἔπλεο γάρ· σοὶ μὲν ταῦτα θανόντι φέρω,
 παῦρα μὲν, ἀλλ' ἀπὸ κῆρος ἐτήτυμα· μῆδ' ἀποτρεφθῆς,
 πρὸς δὲ βαλὼν ἔτι νῦν ἥσυχον θῦμα δέχου.
 οὐ γὰρ ἔχω, μέγα δὴ τι θέλων, σέθεν ἄξια δοῦναι,
 διαπτομένου περ ἀπὼν· οὐ γὰρ ἔνεστιν ἔμοι·
 οὐδὲ μελικρήτου παρέχειν γάνος· εἰ γὰρ ἐνείη
 καὶ σε χεροῖν ψάύσαι καὶ σέ ποτ' αὖθις ἴδειν,
 δάκρυσί τε σπονδαῖς τε κάρα φίλον ἀμφιπολεύειν
 ὀφθαλμούς θ' ἱεροὺς σοὺς ἱερὸν τε δέμας. 20
 εἴθ' ὄφελον· μάλα γὰρ τάδ' ἂν ἀμπαύσειε μερίμνης·
 νῦν δὲ πρόσωθεν ἀνευ σήματος οὔκτον ἄγω
 οὐδ' ἐπιτυμβίδιον θρηγῶ μέλος, ἀλλ' ἀπαμυνθεῖς,
 ἀλλ' ἀπάνευθεν ἔχων ἀμφιδακρυτὰ πάθη.
 ἀλλὰ σὺ χαῖρε θανῶν, καὶ ἔχων γέρας ἴσθι πρὸς ἀνδρῶν
 πρὸς τε θεῶν, ἐνέροις εἴ τις ἔπεστι θεός.
 χαῖρε γέρον, φίλε χαῖρε πατὲρ, πολὺ φέρτατ' ἀοιδῶν
 ὧν ἴδομεν, πολὺ δὴ φέρτατ' ἀεισομένων·
 χαῖρε, καὶ ὄλβον ἔχοις, οἷόν γε θανόντες ἔχουσιν,
 ἡσυχίαν ἔχθρας καὶ φιλότῆτος ἄτερ. 30

σήματος οίχομένου σοι μνήματ' ἐς ὕστερον ἔσται,
 σοί τε φιλή μνήμη μνήματος οίχομένου·
 ὃν Χάριτες κλαίουσι θεαὶ, κλαίει δ' Αφροδίτη
 καλλιχόροις Μουσῶν τερψαμένη στεφάνοις.
 οὐ γὰρ ἅπαξ ἱερούς ποτε γῆρας ἔτριψεν ἀοιδούς·
 τήνδ' ἐπὶ σὸν φαίνει μνήμα τόδ' ἀγλαίαν.
 ἦ φίλος ἦς μακάρεσσι βροτὸς, σοὶ δ' εἴ τι Νύμφαι
 δῶρα ποθεῖνὰ νέμειν, ὕστατα δῶρ', ἔδοσαν.
 τὰς νῦν χάλκεος ὕπνος ἔβη καὶ ἀνήνευος αἰὼν,
 καὶ συνθαπτομέναι μοῖραν ἔχουσι μίαν. 40
 εὐδεις καὶ σὺ, καλὸν καὶ ἀγάκλυτον ἐν χθονὶ κοίλῃ
 ὕπνον ἐφικόμενος, σῆς ἀπόνοςφι πάτρας,
 τῆλε παρὰ ξανθοῦ Τυρσηνικὸν οἶδμα καθεύδεις
 νόματος, ἣ δ' ἔτι σὴ μαῖά σε γαῖα ποθεῖ,
 ἀλλ' ἀπέχεις, καὶ πόσθε φιλόπτολις ὢν περ ἀπεῖπας·
 εὐδ' ἄκαρ δ' ἡμῖν οὐδ' ἀμέγαρτος ἔσει.
 βαιὸς ἐπιχθονίων γε χρόνος καὶ μοῖρα κρατῆσει,
 τοὺς δέ ποτ' εὐφροσύνη τοὺς δέ ποτ' ἄλγος ἔχει·
 πολλὰ καὶ δ' ἣ βλάπτει φάος ἢ σκότος ἀμφικαλύπτει
 μυρομένους, δάκνει δ' ὕπνος ἐγρηγορότας 50
 οὐδ' ἔθ' ὅτ' ἐν τύμβοισι κατέδραθεν ἥμμα θανόντων
 ἣ σκότος ἢ τι φάος δῆξεται ἡλείου·
 οὐδ' ὄναρ ἐννύχιον καὶ ἐνύπνιον οὐδ' ὕταρ ἔσται
 ἣ ποτε τερπομένοις ἢ ποτ' ὀδυρομένοις·
 ἀλλ' ἓνα πάντες δεῖ θάκον συνέχουσι καὶ ἔδραν
 ἀντὶ βροτῆς ἄβροτον, κάλλιπον ἀντι κακῆς·

ATALANTA W KALYDONIE

THE HISTORY OF THE

REIGN OF HENRY THE SEVENTH

BY JOHN HALLAM

ESQ. OF LINCOLN'S INN

IN TWO VOLUMES

VOLUME THE FIRST

LONDON: PRINTED BY J. JOHNSON

ST. PAULS CHURCH-YARD

1798

BY THE SAME AUTHOR

THE HISTORY OF THE

REIGN OF HENRY THE EIGHTH

THE HISTORY OF THE

REIGN OF HENRY THE SEVENTH

BY JOHN HALLAM

ESQ. OF LINCOLN'S INN

IN TWO VOLUMES

VOLUME THE FIRST

LONDON: PRINTED BY J. JOHNSON

ST. PAULS CHURCH-YARD

1798

BY THE SAME AUTHOR

THE HISTORY OF THE

REIGN OF HENRY THE EIGHTH

OSOBY:

ŁOWCZY.

CHÓR.

ALTEA.

MELEAGER.

ENEUSZ.

ATALANTA.

TOKSEUSZ.

PLEKSYPPUS.

HEROLD.

POSEŁ.

DRUGI POSEŁ.

ἴστω δ' ὅστις οὐχ ὑπόπτερος
φροντίσιν δαεῖς,
τὰν ἅ παιδολύμας τάλαινα θεστιάς μήσατο
πυρδαῇ τινα πρόνοιαν,
καταίθουσα παιδὸς δαφνοῖν
δαλὸν ἥλικ', ἐπεὶ μολὼν
ματρώθεν κελάδησε;
σύμμετρόν τε διαὶ βίου
μοιρόκραντον ἔσμεν.

Aesch. Cho. 602 — 612.

SŁOWO WSTĘPNE.

ALTEE, córkę Testyusza i Eurytemidy, królowę Kalydonu, mającą wydać na świat pierworodnego syna Meleagra, nawiedził sen, że urodziła płonącą pochodnię; przy jego narodzinach zjawiły się trzy parki i trzy mu przepowiedziały przepowiednie, mianowicie: że będzie mężem silnej ręki, że będzie miał szczęście w życiu i że dopóty będzie żył, dopóki pochodnia nie strawi się w swym ogniu; z powodu tego matka pochodnię zgasła i trzymała ją przy sobie. A dziecko, wyrósłszy, pożegłowało z Jazonem po złote runo i wielkąśród żyjących zdobyło sławę; a gdy szczepy z północy i zachodu wszczęły wojnę o Etolię, Meleager wyruszył przeciwko nim w bój i rozgromił. Lecz Artemis, podszczuwszy szczepy te do wojny przeciw Eneuszowi, królowi Kalydonu, ponieważ tenże, uczciwszy objatą wszystkie bogi, o niej zapomniał i czci jej nie oddał, zła o zniszczenie ich wojsk, nasłała na ziemi Kalydonu dzika, który mordował ludzi i pustoszył łany; przedsię nikt go ubić nie mógł, a niejeden, wyruszywszy przeciwko niemu, zginął. Zebrali się tedy wojewodowie Grecyi, a wśród nich Atalanta, córka Jazyusza Arkadyjskiego, dziewczica; z miłości do niej, wielce sprzyjając dziewczce,

Artemis pozwoliła ubić dzika; Meleager, zabiwszy go, skórę dał Atalancie, zakochawszy się w niej w tym czasie; atoli Tokseusz i Pleksyppus, bracia jego matki, niechętni, że jej tylko dostał się łup, jakkolwiek i inni brali udział w trudzie, nie pozwolili jej go zabrać; tedy Meleager wyzwiał ich do walki i zabił; Altea, widząc, że zginęli z ręki syna, siostrzanym zapłonęła gniewem; ujawszy pochodnię, z którą związane było życie syna, rzuciła ją w ogień; wraz z jej paleniem się jęło ginąć i jego życie; przyniesiony w dom ojca, skonał w krótkim czasie; nie wytrzymała też długo i matka z bólu; taki był jego koniec i koniec łowów.

ATALANTA W KALYDONIE.

ŁOWCZY. Gwiazd i miesiąca władczyni, Dziewico,
Skryta wśród niebios bezkwiętnego pola,
Bogini, bogom trojako przedroga,
Trojaką bowiem jesteś w swej boskości:
Światłem dla zmarłych i dla ciemnych godzin,
Stopą, po wzgórzach mknącą, jak poranek,
Ręką, dla żywych i ryczących zwierząt
Wielce zabójczą, choć pociski twoje
Snać powiewniejsze od snu i od śniegu:
Wysłuchaj prośby i dłoni gwałtownej
Nie wznos do góry, ale bądź łagodną,
Jak blask twych oczu, który na niebiosach
Gaśnie lub świeci! Pośród psów królewskich
I pośród łowców jam co noc się modlił,
Pani, ku tobie; nikt też lepszej sfory
Nie widział tutaj niż bardziej zabójczych
Ostrzy oszczepów; koniec zasię leży
W rękach i w łonie bogów, niedosięgnion.

O krasolice słońce, co zabijasz
Gwiazdy i rosę, sny i pustkę nocy,
Wstań nam, zabłyśnij, wyciągnij swą rękę,
Łukiem swym dotknij najciemniejszych szczytów
Drżącego nieba, spal i połam mroki
Na twojej drodze, poszarp je strzałami!
Niech włosy twoje zaświecą płomieniem
Nad bezpłomienną muszlą, która jeszcze
Przed chwilą była księżycem; twe oczy
Niech świat napełnią, niech się usta twoje
Rozpalą ogniem; ziemia niech się śmieje,
Rozległe morze niechaj się zpurpurzy
Pod twoją stopą, niechaj jego fale
I wszystkie wiry rozploną twym żarem,
Niech się rozpienia w zczzerwieniałą wełnę
I w sypkie kwiaty, rzucane rękami
Nimf, rozwiewane ich wargą — bogunek,
Piersią i włosem swym krających fale,
Co z zlepionymi solą warkoczami
Płyną, złociste i drżące, podobne
Bezbrudnym łanom śniegu! Niech przez ciebie
Zagrają wiatry i wszystkie źródłiska
Strumieni świata, rogi Achilóa,
Zielony Ewen, poślubiony morzu!
Przychodzisz w porę. A i ty nam przybądź,
Bliźniacza siostró słońca, Artemido,
Oszczepów naszych daj łup, skórę dzika,
Coś go nasłała, gniewna naszym grzechom,

Wroga ołtarzom bez krwi, ognia, wina.
Spożyj go teraz, twej bowiem ofiary
Dym, krwią barwiony, przecina mrok świtu;
A i dziewiczą różę twoich dziewic,
Tę arkadyjską Atalantę, piękną,
Jak śnieg, o duszy czystej, jak śnieg biały,
O stopie lotnej, jako powiew wiatru,
Przywiodłaś tutaj z leśnego Menala
I ziem ladońskich — przywiodłaś ją grzbietem
Gór nieruchomych i ruchomem morzem,
A z nią i króla niejednego w zbroi
I bohaterów, czoło mężów, bogom
Podobnych w walce. Ponadto z Etolii
I kwietnich pastwisk Lelancyi, od kresów
Tych niw wydatnych, które ongi Zewsa
Syn wydarł rzece i hukowi morza,
Kiedy się w róg swój zapadł bóg szalony
I, sycząc z gniewu, uciekał wrzącymi
Tory swych brodów, jasne zostawiając
Poła, co nagle poczęły w gorącym
Parować słońcu; z brzaskiem dnia, z tych krań
Świeże ci wieńce przyniosły dziewice
I nadobniejsze jeszcze włosów zwoje,
Przepyszne, kwiatem przetykane sploty,
Podobne kwiatom, i hymny ci czyste
Nuca, ofiarę dając nieskalaną.
Lecz mnie od spraw tych dzieli czas; ty jednak
Udziel mi swojej pomocy, nie poskap

Czci, sforze mojej daj gon, mym oszczepom
Ostrze; niech każdy ma szczęśliwą rękę.

CHÓR. Gdy wiosna sforze swej osaczyć każe
Zimę, księżyców matka wnet poruszy
Deszcz i szum liści na wietrznym obszarze
Pól, na murawach i w lesistej głuszy.
Kochania żądny słowik już się wtedy
Zbyt nie lituje ltyłowej biedy,
Trackie okręty, cudzoziemskie twarze
Już nie sprawiają zbytnich nam katuszy.

O pani światła, zjaw się z swym kołczanem
I swoim łukiem, w ognjach swej urody
Pojaw się z grzmotem wichrów, z rozpętanem
Fal wywierzykiem, z głośnym rykiem wody.
O najłotniejsza, nałóż-że sandały
Na hyżość nóg swych, na ich blask wspaniały,
Gdyż wokół nocy stóp i dnia, nad łanem,
Zachód przygasa, wschód się wznieca młody.

Gdzież nam ją znaleźć, jakie pieśni nucić,
Jak jej kolana zamknąć w swe ramiona?
Oby się mogło serce ku niej rzucić,
Ni ogień skrawy, ni fala wzburzona!
Wichry i gwiazdy, posiane rozrzutnie,
To suknia dla niej, jej śpiewy i lutnie!
Nic hymnu wichrów nie zdoła zakłócić,
Nic zgasić gwiazd tych, których panią ona.

Zgasły już zimy niszczycielskie siły;
Śniegów i grzechów pora już nie włada —
Dni, co kochanka z kochanką dzielili;
Noc już dnia kosztem nie wzmacnia się rada;
Chwil tych wspomnienie — to ból zapomniany;
Mrozy pobite, wokół pachną łany,
Zieloność lasów, kwiatów orszak miły,
Że przyszła wiosna, głośno zapowiada.

Kwiatem rokicin karmią rzek się moce;
Rzek hyży rozpęd powstrzymują trawy;
Z liści na kwiaty, z kwiatów na owoce
Nowego lata skacze żar złotawy —
I liść i owoc są, jak żar lub złoto;
Dźwięk owsów liry przytłumia; tam oto
Satyr orzechy kopytem druzgoce —
W gaj kasztanowy wyszedł na obławy.

A Pan w południe, Bachus w nocnej porze
Tańcem i śmiechem napęłniają drogi —:
Gonią Menady, Bassarydy hoże,
Od szybkich koźląt szybsze mając nogi;
Wokrag rozbrzmiewa ich zabawa pusta:
Liście się śmieją, jak rozśmiane usta,
A przez ich gęstwę oko widzieć może
Ucieczkę dziewcząt, ścigające bogi.

Bachantkom, z włosów, rozwianych rzęsiście,
Bluszcz się ku oczom zesuwa i skroniom;

Opadające winogrodu liście
Promienną białość ich piersi odsłonią;
Winograd ciężki na ziemię się stoczy,
Lecz bluszcz owija członków kształt uroczy,
Naokół nóg się lepią jego kiście —
Nóg, co przed łanią i wilkiem się bronią.

ALTEA. Co wy śpiewacie? co znaczą te śpiewy?

CHÓR. Kwiaty niesiemy, wargi, bogom miłe,
Kapłańskie suknie, aby dzień dzisiejszy
Nie zmienił w gorycz miodu w naszych uścitech.

ALTEA. Noc, ten pies czarny, spieszy w ślad za białą
Łanią dnia — szybciej, niż mary za hyżą,
Za białą stopą snu; chciecież modłami
Przywołać noc tu z powrotem? A chociaż
Wiosna ujarzmi zimę i wypędzi
Śniegi, tę plagę za nasze przewiny,
I ten miedziany czas klątwy, wiem przecie,
Że deszcz zniweczy wiosnę i że wichry
Pożrą, jak ogień, popiół dni jesiennych.
Dziw mi, że człowiek budzi się z modłami —
Ten człowiek, który śni i śniąc umiera.
Wszelakie bóstwo, chociażby najmniejsze
Pomiędzy tymi, co się bóstwem zowią,
Oznacza więcej, niż sen i czuwanie.
Lecz my mówimy, że może przez modły
Człek się dostanie do Boga. Bo jeśli

Sen miłosierdzia nie zna, a rojenia
Senne jeżeli aż do krwi nas gryzą
I palą kości nasze, cóż nam wtedy
Robić, czuwając? Przez bogi! Kto rzeczy
Śnił bardziej gorzkie, niżli śmierć, ten chyba
O sny już słodsze modlić się nie będzie.

CHÓR. Powiedz, królowo, co-ć spaliło serce?
Drży mowa twoja, jak płomień na wietrze.

ALTEA. Prawdę mówicie, nie wiedząc, że prawda.
Albowiem sen mój ogniem, a rojenia
Senne to strawa, która go podsycą.

CHÓR. Lecz dobrze czyni, kto się bogom podda.

ALTEA. Gdyż czworonożną ześlą na nas plagę.

CHÓR. Gdy czas posłuży, znajdziem na to ziele.

ALTEA. Ale tem ziele wzdyc nam krew zatrują.

CHÓR. Cóż ciebie zmusza nie ufać ich środkom?

ALTEA. Jeżeli jad nam dają, zamiast wina?

CHÓR. Twardą ich wola, mową jej nie zmienisz.

ALTEA. Żółć zamiast mleka, a klątwę za modły?

CHÓR. Nie dali-ż życia ci i końca życia?

ALTEA. Nawet leczący, nie pomogą; drwią z nas
Tą odrobiną litości; my wówczas
Modlim się do nich i płaczem; a w końcu,
Folgując chwilę, całkiem dobijają.

CHÓR. Mało ma chwały, kto bogów nie chwali.
Cóż ci zrobili, że im tak urągasz?

ALTEA. Przedsię nie mogę chwalić Artemidy
Za to, że dręczy kraj, za tego dzika,
Który płomienną racicą i kłami
Zielone łąny niweczy i zboża,
Łęgi i łąki, nim się kwiat rozwinął,
Trzody i stada, słodką żrące trawę —
Ja jej nie chwale, bo cóż tutaj chwalić?

CHÓR. Ale jeżeli król, czyniąc ofiary,
Obdarzył bogów krwią, pszenicą, winem,
A jej ni żertwi nie spalił ni placka,
Ani też soli nie złożył, jeżeli,
Zgniewana o to, nawiedziła kraj nasz
Plagą, a teraz zdejmuję nam z ramion
To brzemień losu, czyż ją za te oba
Nie wielbić czyny? Wszak czyn sprawiedliwy
Na wszystkich drogach swych patrzy oczami,
Którym się wstydzic nie trzeba, a litość
Nie może nigdy być nazwana błędem.

ALTEA. Tak, ale ona klątwę nam zesłała,
A lek jej ranił; roznieciła ogień,

Gdzie dawny ogień zagaśł, a gdzie wicher
Przygłuchł, tam burzę rozżęgła straszniejszą.

CHÓR. Jakiż to orkan skręca nasze żagle?

ALTEA. Miłość, przeciwny wiatr, siekący deszczem.

CHÓR. Od jakiej gwiazdy burzliwej on wieje?

ALTEA. Poprzez Evenus, k'południu, od morza.

CHÓR. Twojego słowa wicher bije w Arkadyę.

ALTEA. Jak wicher północny, gdy śnieg się wypadał.

CHÓR. Nie, ta dziewica nie tknięta miłością.

ALTEA. Przecz nie szukała miłości gdzieś w zimnej

Zatoce morza, albo też w jaskiniach,

Gdzie dziki czyha zwierz, lub w ogniu

Albo śród śniegu na wirbach, lub w onej

Ziemi żelaza, gdzie nie kwitnie wiosna?

Oby tam była znalazła tę miłość,

Lub oby miłość była ją znalazła!

CHÓR. Od wszystkich świętych dni lub świętych rzeczy

Świętszą jest ona; jest jak kąpielnicza

Woda, jak ognia dym najprzeczystsze,

Niewinna, czystym poślubiona modłom,

Przepełna myśli, wyższych od niebiosów,

Niepokalana, jak ogień, jak ostrze

Miecza; nie kocha mężczyzn; cóżby takie,
Jak ona, byty, czyniły z miłością?

ALTEA. Patrzcie, nie mówię, jak człek lekkomyślny,

Lecz jak strapiona przemawiam królowa;
Często mych braci słyszę, jak się kłócą —
To mnie nie wzrusza; syn mój ich strofuje,
I to nie wzrusza mnie: wiem, że do końca
Będą mędrcomie i głupcy — cierpliwie
Znoszę to wszystko. Ale to mnie wzrusza,
Dlaczego miłość ma być jednakową
Równo dla mędrców, jak i głupich — czemu
Złem jest, co słowa wybrane i mądrość
Obraca w powiew i ogień? Nie rozkosz,
Smutek się rodzi z niej i dusz rozterka,
Waśń i łzy świeże, z pnia łez odwiecznego
Wyrastające jak kwiecie, jak owoc,
Co z odwiecznego kwiecia łez wyrasta —
Wciąż zaszczepiany ból i jęk i troska.
Rzekły mi o tem wróżby, mam w tem udział,
Nie wiedząc o tem; lecz we śnie bogowie
Ciężko mnie trapią, przeznaczenie sypie
Na me powieki żar, pomieszany z nocą,
Aż do ślepoty wzrok mi mój wypala,
Jasną mą duszę mroczy wizyami;
Patrzę, nie widząc nic, słucham, nie słysząc,
Lecz oczy moje plamią piękne łoża
Mego nakrycie, w którym twarz swą kryję,

Ażeby króla płacz mój nie obudził;
Brwi me i usta drżą i jęczą we śnie,
Jako płomienie lub jak wrząca woda,
Ogniem sycona od spodu. Me piersi
Łzy napełniają i bezpłodnym jękiem,
Bardziej od morza słone, wokół króla
Barwne skrapiają wezgłowie — tak we śnie
Sny mnie chrapliwe szarpią. Kiedyś śniłam,
Że z mego łona wyszły żar i żagiew;
Naówczas jeszcze syn mój Meleager,
Ten przewspaniały kwiat na polach bitwy,
Nie czuł białego światła dnia; dziecięciem
Nie był zapłakał jeszcze; ale wkrótce
Jam go zrodziła i serce me rośło,
Bo dotąd nigdy wzdyć się nie urodził
Taki królewski mąż, żadna królowa
Takiego dotąd nie zrodziła syna,
Jak mój! Bóg zesłał takie narodziny,
Takich narodzin dał mi łaskę. Wówczas
Trzy w dom mój weszły przędzące kobiety,
Każda swą przędła nić — jedna, mówiący:
Ta jest na siłę; druga: ta na szczęście;
A trzecia rzekła: póki na kominie
Nie spłonie żagiew ta, dopóty mąż ten
Będzie wesołe dni miał i szczęśliwe.
Zgarnawszy suknie, wyskoczyłam z łóżka,
Wyrwałam żagiew, zalałam ją wodą,
Bosą skoczyłam nogą na ognisko,

Gołą zdusiłam ręką sypkie iskry
I zagasiałam, dmuchając; albowiem
Rzekłam: najwyższe to są Przeznaczenia,
Przemieszkujące z nami i my nieco
Łaski znajdujem w ich obliczu — mówię
Nieco, gdyż często, łaski nie znalazłszy,
Napróżno o nią błagamy. Lecz miały
Litość nade mną i nad tobą, synu,
Najszlachetniejszy z kwiatów, co gdykolwiek
Wyrosły z ciała nasienia. Gorąco
Jam go całować jęła i osłaniać
Ręką i tulić włosem i ramiony,
Płacząc, a iżby płacz go nie przeraził,
Takem się śmiała. Taką był drobiną
Ten dziś tak wielki mąż, że ludzie głowy
W tył odrzucają, patrząc, jak się w słońcu
Błyszczący rzeźbiony mąż na jego tarczy,
Śmiech dzwonek słysząc naokół obręczy,
Ni lutni granie albo śpiewy ptasząt,
Albo też widząc, jako postrzępiony
Cień pióropusza kraje połysk miedzi,
Tak, że hełm jego lśni się jako księżyc,
W wietrzną, zimową noc wyzierający
Z puchu obłoków, gdy pędzą okręty,
A ludzie walczą z morzem, gdy się łamią
Wiosła, a dzioby piją śmierć z głębiny.
Wówczas małeńki był, niesprawną wargą
Szczebotał słowa niezwiązane z sobą,

Ślepemi usty i palcami dręczył
Piers mą i bił mnie — ten szalony chłopiec —
Ręką i nogą, szczebiocząc. Lecz owe
Stare kobiety z powiązanym włosom,
Przerażające bogów, mego synka
Nie przerażyły bynajmniej: ze śmiechem
Wyciągał ręce ku niedotykalnym
Włóknom i węzłom. Niewiasty odeszły,
A jam ukryła żagiew, wielką radość
Czująca w sercu, że mi wypełniły
Nieba mą wolę. A teraz ja nie wiem,
Gdzie nas bogowie ciągnęli — na lewo
Czy też na prawo, gdyż sen miałam drugi,
Widząc, jak czarna żagiew wystrzeliła
Z ognia, by gałąź kwiecista, jak płomień
Więdko ni kwiaty i jak Śmierć, przybywszy,
Tchnieniem ust suchych wtlaczała mi w piersi
Zwęglony popiół, a Miłość hyżemi
Zdeptała stopy żarzewie. W mem sercu
Wiem też, o dziewczki moje, że bogowie
Nie tylko dla mnie czy dla mego syna
Stworzyli żywot i żądzę żywota
I miłość serca i serca rozterkę —
Nie! słońce świeci dla wszystkich i wicher
Wieje dla wszystkich do nocy; a kiedy
Noc ta nadejdzie i słońce zamiera
I wiatr i niema już światła ni burzy,
Jest sen i rzeczy wszelkich zapomnienie.

Tę mądrość bogów poznałam przed laty,
Słyszczą także wielce mądre słowa
Eurythemidy, mej matki, co oczy
Miała na wszystko otwarte i żywe
I o tych sprawach mówiła ustami
Człeka, co wszystkie pozrywał już więzy
Z tem ciałem ziemskim, z jego tchem i ze krwią,
Podlegającą rozkładowi. Takich
Czas jej udzielił darów, dał jej równą
Duszę i równe na te sprawy oko —
Tak mi mówiła. Ale czy mi rozkosz
Lub smutek przędzie, albo też nie przędzie
Przemijająca godzina, odchodzę
Pełna swej duszy, byt skończony w sobie,
Co już ma dosyć i siebie i swoich.
A jakiegokolwiek wyciągną bogowie
Losy dziś dla nas, przyjmiem je i będziem
Dolę tę znosić. Teraz, nim się zbiorą
Łowcy, odejdę i uzbroję syna
I precz powiodę, aby od miłości
Nie doznał krzywdy lub od gniewu ludzi.

CHÓR. Nim płynąć poczęły dni fale,
Czas przyszedł, by stworzyć człowieka,
W podarku łzy przyniósł i żale;
Z przybyciem i Troska nie zwleka
I Rozkosz, co boleść przyniosła,
I lato z kwiatami, co więdną,

I Pamięć, w niebiesiech wyrosła,
Szał z piekiel z tą twarzą obłądną;
I Siła bez rąk przyszła w gości
I Miłość, co żyje li tchnieniem,
I noc, co jest cieniem światłości,
I życie, co śmierci jest cieniem.

I wzięli bogowie do ręki
I ogień i łzę tę ciekącą,
Z pod stopy tak wzięli ten miękki,
Ten lotny piasek, i wrzącą
Pianę wód morskich, proch ziemi,
Spowitej w katusze i znoje,
Byt ciał, nim się stały żywemi
Gdzie śmierci i życia podwoje.
Tak z płaczu gorzkiego i śmiechu,
Z miłości i wstrętu, z potęgi
Życia niezmiennej, z oddechu
Śmierci, dzierzżącej okręgi,
Na noc, na dzień, na poranek
Bogowie człowieka zlepili,
By cierpiał ten Troski kochanek,
By moc jego zgasła tej chwili.

I wichrów walczących zatargi
Zgarnawszy z południa, z północy,
Powiewy ich tchnęli mu w wargi,
W żywota skapali go mocy.

Żrenicę mu dali i mowę,
By duszy tworzyły zasłone,
I chwile dla grzechu gotowe,
Dla pracy i myśli stworzone.
I miłość i rozkosz mu dali
I światłość rzucili na drogi,
Dni długość, co słońcem się pali,
I noc, a w tej nocy sen błogi.
Wargami gdy człowiek poruszy,
Ognistym przemawia potokiem;
Oslepią ma żądzę w swej duszy
I śmierć przewiduje swem okiem.
Tka, a ma z szydu okrycie,
Nie zbiera, acz chodzi za pługiem,
Czuwaniem li jest jego życie
Między snem jednym a drugim.

MELEAGER. O cudne niebo, okręgu bezgwiezdny,
O dniu uroczy, witaj nam, zawitaj!
Mężę, gotowi do czynu, pragniemy
Zerwać dziś sławę z ciebie! Przyjdź, o dziecię,
Zrodzone w światła przejasnem rozbrzmieniu,
Ty, z tym uśmiechem i hyżymi członki
I szczęściem w oku, spraw, by się te łowy
Z bohaterami, miast sfory, na wieki
Upamiętniły — daj nam powodzenie!

ALTEA. Nasamprzód, synu, wielbię twą modlitwę,
A potem życzę tobie powodzenia.

Ale bogowie przedsię wysłuchają
Rąk, nie ust naszych; nad krzyk i ofiarę
Przenoszą czyny i trudy człowieka.
Lecz ty, uzbrojon i gotów do czynu,
Idź; gdyż jak chmury deszczowe na wietrze,
Tak się gromadzą najwybrańsi męże
Naokół ciebie, aby zniszczyć plagę,
W kły uzbrojoną, a zaś w Kalydonie
Zostawić dzięki, szczęsne dni i spokój.

MELEAGER. W płomieniach miasto i wszystkie niziny,
Krokiem idących rozbrzmiewa powietrze —
Bogowie, dajcie owoce ich czynom.

ALTEA. Spójrzyj, swe zmysły wyóstrz i opowiedz,
Kogo tam widzisz, gdyż cienie i wicher,
Który pomiędzy mgłą a rankiem wieje,
Łącząc się z kopyt tententem i z błyskiem
I kół i zbroić w tym mroku, pociętym
Iskrami światła, z płomieniem oszczepów,
Lśniących, jak zwierza dzikiego żrenice,
Wskrós uderzają w me oczy, że, ślepe,
Migocą żarem, tak iż dzień ten, zda się,
Skrzy się i pali siecią skier i ogni.

MELEAGER. Naprzód — bo wszystkich nie znam, jest Peleusz
Larysseński, z którym dzieli łożę
Z pian urodzona, białolica dziewczka,
W srebrne obuta trzewiki, uroczą,

Jak piana morska, bogini; a z nimi
Syn ich, wśród dzieci ziemskich najwspanialszy,
Bogom podobien, przyszłej pełen chwały.

ALTEA. A ci płonący, jak dwie bliźnie gwiazdy?

MELEAGER. Dwa bliźnie kwiaty, synowie twej siostry.

ALTEA. O me najśłodsze pokrewieństwo w świecie!

O Ledy krwi bliźniacza, wdzięczne głowy,
Podobne światłom na spokojnem niebie,
Dwie kwiatom równe gwiazdy w wirze boju!
Z radością serca i wzruszeniem duszy,
Aż oba oczy zlewają się łzami
I od tęsknoty palą się powieki,
Witam was dzisiaj z tej dalekiej drogi,
Rada, że widzę was podobnych bóstwu!
Zdalaście tutaj przybyli, najmłodszy,
Lecz najwspanialszy, godni ocz miłości.

MELEAGER. Tak samo-m widział — wracając do domu, —

Tam, gdzie Eurotas, niedaleko Sparty,
Wrzącą swą wodą wyźlabia jaskinie
W mokrej opoce — tak samom-ci widział
Dwie ich siostrzyce, tę łabędziobiałą,
Małą Helenę i mniej od niej piękną,
A przeuroczą Klytemnestrę, dziewczę,
Wielce poważne, by łania na łące,
Która się lęka strzału. Ale czasem,

Jakby ją radość tknęła albo miłość,
Śmiać się poczyną z błyszczącemi oczy,
A potem płacze, na co i Helena,
Która się śmiała, płacze, tak że tamta
Musí ją karcíć i skarcona, zmiłkwszy,
Wraz ją całuje w lica, usta, oczy
I znów się śmieje — tak, w bezkwietnem życiu
Młodych pękówek, bawią się te, pełne
Przyszłego kwiecia, cudne kwiaty bogów.

ALTEA. Oby też miały łube dni i mężów
Rozmówianych i tę godną miarę
Czci domowego ogniska i spokój
I pełnię życia i łożę bez hańby.
Na kimż to widać tego orła w locie,
Skrzydłem płomiennem bijącego w słońce,
Sięgającego po łup dziobem pustym?

MELEAGER. Znak to królestwa Telamona, ziemi,
Gdzie wrzaca piana podwójnem ramieniem
Okala strome skały Salaminy.

ALTEA. Jak człowiek mocnej ręki, tak się niesie,
W winogradowym wieńcu, w morskiej woni,
Lśniący jak wino, ruchliwy by fala —
Któż to w tym pasie tak chmurnie idący?

MELEAGER. Anceusz mocnej ręki, chłop żelazny,
Miecz obosieczny w boju, jak siekiera

Na jego tęgim ramieniu, on, pełnym
Płynący żaglem na falę oszczepów;
Za nim Cefeusz, bliźni brat, w Arkadyi
Mąż obok niego z wszystkich najprzedniejszy.

ALTEA. Cześć wszystkim mężom, nam zaś przy ognisku
Domowem czyste życie, dni bez sromu.

MELEAGER. A tam po nogach bez sandałów poznasz
Żagiel i wiosło etolijskiej ziemi —
To bracia twoi: Toksej i gwałtowny
Pleksyp, porywczy w ręku i języku;
Owocne ma on ręce, ale usta
Niszczą ich dzieło bezowocnem tchnieniem.

ALTEA. Słowo owocne jest, jeżeli godne;
Oddechem wszelką niweczy truciznę
I gwałty strąca z wysokiego stolca —
Urokiem słowa i pieśni niejedno
Złe zburzył człowiek, stłumił żar tyranii.

MELEAGER. Wszystko, prócz bogów mają i miłości.

ALTEA. Umiłuj prawo, trzymaj się przepisu.

MELEAGER. Prawo na uściech żyje, drogich bogom.

ALTEA. Gdzież Bóg, któremu drogą będzie nowość?

MELEAGER. Zews, co pod stopą zwyczaj ma i trwogę.

ALTEA. Ale nie kocha tych, co łamią prawa.

MELEAGER. Sam nie jest niczem mniej, niż jego prawo.

ALTEA. Lecz się z dawnego prawa nie natrząsa.

MELEAGER. Jednak przetwarza i niszczy, gdy zechce.

ALTEA. Lecz nie, by każde życie żyło sobą.

MELEAGER. Nie tylko żyło, lecz rosło, świecący.

ALTEA. Pycha się zwala, zbytni zysk nie zyskiem.

MELEAGER. Zysk się rozprószy, trwają wielkie czyny.

ALTEA. Bogowie wielbią tego, dziecko moje,

Kto żyje prawem i wielbi je sercem.

Lecz kto je kocha wargą, zaś go czynem

Ani też sercem nie pożąda, w słowach

Kryjąc obłudnych złą wolę, niebiosą

Wnet go zaślepią, wnet też, wężąc grzechy,

Podąży za nim bliźnia siostra, Dola,

Psy nagłej śmierci pożrą go niebawem.

A jest-li człowiek jednym z myślą bogów,

Niech będzie szczęśliw, nie przez podeptanie

Praw i przepisów, nie przez nowość rzeczy.

Kobieta zbrojna walczy sama z sobą

Jak nie-kobieta, depce swój obyczaj

I cześć i chwałę, którą wzdyć posiada,

Miłość i dzieci krzyk i ślubną rękę

I ust małżeńskich wzajemne przysięgi.
Tak niekochana czyni, a jeżeli
Ktoś ją pokocha, ogień i żelazo
I paszcza wojny są dlań mniej zabójcze,
Niżli jej usta i sploty jej włosów,
Albowiem z tamtych płynie nam trucizna,
A z tych pałaca życie ludzkie kłątwa.
Lecz ciebie, synu mój, niechaj nie trapią
Złe sny i nie miej również takiej żądz,
Bo miłość ślepa z czasem się wypali;
Lecz kto ją żywi tak, aż jego życie
Pokala plama ohydna, niczego
Chwały godnego ten ci nie posiędzie,
Ani też mądrą umrze śmiercią zacnych
Ludzi pradawnych, którzy lat swych długość
Żyli bez skazy, patrzący w twarz bogów
Zadowoloną, i którzy bez hańby
I żadnej trwogi wypełniali czyny,
Pamięci godne, i w obliczu ludzi
I słońca dni swe strawili, zyskując
Coraz to większą chwałę i z swej chwały
Oddając kęsy ziemi, co ich karmią
Swoją żywila, i dniu, co ich zrodził,
I przyjaciółom ojczystym i obcym,
W gościnę do nich przychodzącym mężom,
Wdzięczną, pamiętną napełniając sławą
Kraje, kochane przez słońce, oblane
Falami morza, ludne miasta, drogi,

Nienawiedzane dotąd, usta obcych
Jako i wargi swych ziomków. A kiedy
Wiek osiwiwały i ta śmierć czcigodna
Zabierze siłę i życie ich członkom,
Krew im wysuszy i zaciemni oczy,
Cześć nieśmiertelna spadnie wówczas na nich,
Przez jasne życie i śmierć pożądaną
Dotarli bowiem do dalekich tronów
Dusz, do krainy, której nikt nie odkrył,
Gdzieś na zachodzie, dokąd słych nie dotarł,
Gdzie święte morze fałuje bez wichrów,
Śnieg swoich białych nie pokaże skrzydeł,
Gdzie niema grzmotów ani szmerów deszczu,
Słońce nie pali, a wszystko w spokoju
Żywie i kwitnie. Ci przedsię, co życie
Swoje spełnili, święci i umarli,
Mędrcze i bogiem natchnieni pieśniarze,
Ci, co kochali kraj, wszystko, co dobre,
A przedewszystkiem to, co ukochali
Ludzie najlepsi: wolność, wolne życie
I wolne wargi i wolną prawicę
Ludzi, zrodzonych do wolności, — wszystko,
Co jest na ziemi godne czci — ci wszyscy,
Co tutaj żyli płonem dnia nasieniem,
Żyją tam, wprawdzie nie równiejsi bogom,
Lecz zato bliżsi, niż za dni swych ziemskich.
Żyj takim życiem, takiej pragnij śmierci!
Zasię z płomiennych, jasnych snów miłości

Idzie k'nam troska i życie bezsenne ~
Nie sny, lecz ciężkie spływają majaki:
Powiek im żadne nie zawrze zakłęcie
I nie uciszy żadna pieśń; śmierć hyża
Bezpłodną stopą zdepce niedojrzałe
Kłosa i wino wycisnie przed czasem.
Jej unikając, chwytaj szczęście życia,
Co niech nie będzie beze czci; owoce
Zbierzesz naówczas takie, jakie ludzie
Zbierają w rzadkich godzinach ~ nie wielu
Jest ich, lecz zato są szczęśliwi. Synu,
Ty najszcześniejszy będziesz z nich, jeżeli
Przed Przeznaczeniem ugniesz swoją duszę,
A zaś swe oczy i serce ku wzniosłym
Zwrócisz nadziejom, ku tym czynom bożym
I ku bożemu miarkowaniu siebie.
Wszystkie dni twoje będziesz pośród ludzi
Jak moc i światło, ponad godzinami
Śród gwiazd zapłoniesz na niebie i ani
Tak się, jak człowiek, złamiesz ni się spalisz.
Któremuż bowiem z bohaterskich nazwisk
Dali bogowie do rąk takie życie,
Jak twe? I w chwale żyłeś, życie twoje
Było tu dla mnie, com cię porodziła;
Podziękki warte było dla tych wszystkich,
Co tu wyrosli, przeznaczone było
Na wieczną chwałę. Sławę-ś zyskał przednią,
Gdy w dom ojcowski straszna biła wojna,

Kiedy mieszkańcy wietrznych gór zwrócili
Ku nam oszczepów swoich dzikie morze,
Gdy od tessalskich kopyt zadudniła
Cała Etolia; jako wicher wrzące
Rozprasza piany i fali powrotną
Kiełza nawałę, tak ty potrzaskałeś
Wszystkie ich dzidy, aż legł mąż przy mężu.
Naprzeciw sobie staliście oboje,
Bóg przeciw bóstwu, Ares i Artemis —
Tyś był silniejszy. Przeto rozpętała
Tę ostrożną kłatwę, którą zmożesz.
W zieleńszej bowiem pękówce żywota,
Nim się łodyga naodziała kwieciem,
Gdy czas ci jeszcze pozwalał na wywczas,
Tyś snu nie zaznał ani też spokoju,
Lecz, tęgi ręką i sercem, wśród trudów
I walk przeznojnnych męskiej-s szukał sławy,
Śród niedostępnych mórz, dalekich torów,
Które aż dotąd nie widziały żagli,
U tych wybrzeży, gdzie wicher nie ustaje,
Gdzie huczą grzmoty, dzień nie cieszy ludzi.

CHÓR. Szlachetną mądrość i przedziwne słowa
Dały jej bogi; słuchaj, Meleagrze.

MELEAGER. Matko, nie umiem ja szermować słowem,
Nie chcę też warg swych zwracać przeciw tobie,
Która-s jest mądra i słów świętych pełna.
Jedno wiem pewno i tego się trzymam,

Ze choć mój rozum nie jest tak zaostrzon,
Chociaż zwyczajem kobiet prząść nie umiem
Takich słów słodkich ni stapiać, by w ogniu,
Giętkich, podatnych myśli ludzkich, przecież,
Czyniący dobrze i wielbiący bogów,
Mam zmysł, by widzieć jasno, co jest słuszne.
Kogo bogowie miłują, a zasię
Kim pogardzają, każdy człek to widzi
I sam w stosownej ukorzy się chwili,
Serce zamknawszy w karby. I ja wielkie
Widziałem rzeczy, jak mówisz, a przedsię,
Gdy po raz pierwszy między naciągnięte
Liny zachodni wiatr porwał nam żagiel,
A ku wschodowi odrzucił nam wiosła,
Gdy śnieżno-lśniącą pianę nieść rozpoczął
W twarze żeglarzy i gdy pierwsza bruzda
Tego dziewiczo-zielonego morza
Jęła się ciągnąć za krającym pługiem,
Ciosanym w jodle, aby wraz się zamknąć,
Jak się zamyka wargą, jak się nasze
Ucisza serce, kiedy sen głęboki
Dech nam przytłumi, — wraz się zamykając,
Lśniła, jak włosy Nereid i drżące
Usta lękliwym otwierała bogom,
Co z bezsłonecznej, głośnej wstając głębi,
Patrzyli na nas przez gasnące fale
I mgławie światło, — wówczas, gdyśmy wzrokiem,
Jak gdyby ludzką ręką, pochwycili

W dal lecącego gołębia i strzały
Wysłali za nim i bez szwanku groźne,
Niezwyckężone zmoęli Symplegady ~
Ale najwięcej, kiedy szare, nagie
Skały wybrzeża Kolchidy strzełiły
Nad naszą głową, gdyśmy w poszarpanych
Turniach wyjące usłyszeli wichry
I niezmożonych fal ujrzeli błyski
Poprzez szczeliny, gdy wiatr południowy
Rozżęgał fale do białych płomieni,
Które się kładły, jako płomień świecy
Na jedną kładzie się stronę; i dzikie,
Podmuchom wiatru niedostępne wirchy
Myśmy naówczas widzieli, doliny,
Paszczami rzek swych zięjące ku morzu,
Białe od gorzkich kwiatów, jaśniejące
Słoną skorupą piany; słyszeliśmy
Poświsty wichrów, które, przysiadając
Ni klucze ptaków, krakały jak ptaki,
Dzikiemi stopy okrywając okraj
Płaszczą orkanu; widzieliśmy biały,
Olbrzymi Euksyn, jak pełnemi usty
Wyrzucał fale, grzmiać tysiącem gardeł.
Lecz myśmy parli naprzód i zdobyli
Runo i srogą zdobyli Medegę,
Sroższą od morza. Ale chociaż tyle
Było tam dziwów i straszliwych cudów,
Żaden nie zrówna temu, który tutaj

Widziałem dzisiaj — dziw to przeuroczy,
Budzący trwogę, kobieta, bogini
Niepokalana: nie będąc jej równy,
Kochać nie mogę, ale się jej trwożę
I przed wszystkimi wielbię ją bogami.

ENEUSZ. Pani, Testyusza córko, i ty, synu!
Nie lekkomyślny, ani też nieświadom
Sporu, ni pełen snów, drżących, jak ogień,
Który zamiera, idę, by być sędzią
Pomiędzy wami, lecz jak król, minionych
Dni dzisiaj pełen, wyćwiczon w mądrości
Lat, które przetrwał. Nie ciebie ja chwale,
Pragnącą conać to, co się już stało;
Ani też ciebie, co zbyt to przeceniasz.
Co nam godziny dały, to nam dały
I tego zmienić nie można, choć one
Wciąż się zmieniają i z czasem niejedną
Rzecz dobrą płodzą, nie zawsze tę samą.
Tak też i teraz przysłały nam w pomoc
Śród mężów zbrojnych niewiastę, zrodzoną
W obcej nam ziemi, dziewicę, bynajmniej
Do tych powszednich niepodobną kwiatów,
Co rosną, rodzą owoce i giną;
Nie do miłości ani do małżeństwa
Ona stworzona — chwała wszystkich dziewic
Niepoślubionych, wybrana przez bogów,
Którzy kochają dziewictwo. Ich czcimy,

Czcząc ją, ty zasię powstrzymaj swe kroki
Od pójścia za nią, wzrok swój od miłosnych
Spotkań; nie zwracaj serca ku jej sercu,
Iżby nienawiść nie zrodziła, synu,
Owoców, bardziej zabójczych, niż miłość.

ALTEA. Mądryś, o królu, ale mądrość chroma;
Tyś sprawiedliwy, ale sprawiedliwość
Ni bogom miła jest ni Przeznaczeniu;
Jednakie ciosy wymierzają oni
Zarówno w prawe jak i czelne usta,
Krew pobożnego łączą z krwią bezbożnych,
Rażą tak święte wargi jak i kłamne...
Dosyc... Słów mądrych brak mi i me serce
Wraz się zapala i płonie płomieniem,
O moje dziecko, o mój synu, z troski
O twoją głowę; oczy mgłą zachodzą,
Zwrócone k'tobie, o ty mój chodzący
W zbroicy chwały; z miłości ku twoim
Oczy me toną w mroku, łyzy je palą,
Żrące, jak ogień, i me usta milczą
I dusza moja usycha z miłości.
Lecz na twą rękę, na twe życie, oczy,
Na wielkie serce, na twoje kolana,
Które ja teraz obejmuję, synu,
Nie gub mnie własną twą zgubą. Bo przecież
Nie wyszła matka z niewieściego łona,
Któraby więcej kochała. Nie było

Takiej królowej, coby doskonalsze
Oddała serce tym, których miłuje.
Bo to, co inni lekceważą sobie,
Zapominając o tem, jak o rzeczy,
Przemijającej, ni ten wiatr na morzu,
Zawszem ja miała w pamięci. Przede mną
Stałeś przez wszystkie lata swe, mąż zbrojny,
Potężny, radość dla ludzi, patrzących,
Jak twoje czoło lśniło, jak twa ręka
Płonęła ogniem, torująca drogę
Śród najeżonych, żelaznych oszczepów;
Ale i wówczas, gdyś liczył trzy wiosny,
O ty mój kwiecie, kiedy, drobny, mały,
Leżałeś przy mnie, a jam cię karmiła,
Mnie li jedynie, słabe, wątłe dziecię,
Byłeś rozkoszą, a nikomu z ludzi.
Któż ciebie szukał wówczas, któż pomagał,
Któż wiedział o tem, czy-ć jest dobrze? powiedz!
O nie, nikt z ludzi. Jakież cię widziało
Morze, twoimi odbrzmiewając wiosły?
Jakiż przez ciebie kraj zapłonął wojną?
Dla mnie li byłeś piękny, ty drobino,
Ty bezowocny bycie, ty mojego
Ciała owocu, ślepy, ode złota
Droższy, dziecinny, nierozwity kwiecie!
Srebro ni jasny śnieg, ni puchy piany
Nie były bielsze — nad twój włos złocisty
Nie było złota, o dziecko, me dziecko;

Teraz wspaniały jesteś, lecz nie miły,
Dla oczu moich nie nową istotą:
Na twoją duszę, na te piersi moje
Błagam cię, bój się bogów, mnie, własnego
Lękaj się serca, jeżeli to wszystko
Nie ma się zwrócić przeciw tobie, synu!
Bo któż wie dzisiaj, jaki wiatr i jaką
Fala zmiennego czasu pocznie głosić
Nieszczęsną burzę? Nie ma nic trwałego
W świecie, bogowie złamią wszystko! Przecież,
Piękny mój synu, jest-li jakaś siła,
Dłużej trwająca, to ta wkorzeniona,
Ta gorzka miłość, co płonie pomiędzy
Nami obojgiem, co ze mnie na ciebie
Spływa — ta jedna przetrwa wszystko. Pocóż
Innej ci szukać miłości? Dlaczego
Zabijasz serce moje? Patrzaj! Dzikie,
Szalone mówię słowa; już mnie wszystek
Opuszcza rozum; snąć strącona jestem
Z tronu mojego ja i pohańbiona
I spoczwarzona! Duch, korona moja,
Już połamany, serce me zamarło,
Odarta z duszy, stoję hańby pełna,
Ni to najlichsza z kobiet; pomyśl o tem!
Żyj, jeśli pragniesz, jeśli nie, pamiętaj,
Że masz od bogów życie, by je strawić,
Lub je utrzymać; nie umrzesz, jak ludzie,
Skon twój, gdy spadnie na cię, mnie połamię.

MELEAGER. W łzach twych, królowo, topi się me serce,
Litość nad tobą kości mi przenika,
Miłość wraz z bolem oczy moje gasi,
Przytłumia oddech; wiem, czem jesteś dla mnie
I czczę tve piękne oczy i tve piersi;
Duchem, miłością złączony-m jest z tobą ~
Bo cóż dla człeka jest tu strasniejszego
Nad siłę matki i słodkie jej lice?
Lecz co być musi, niech będzie! Raz tylko
Zyje dzień dla nas i już go nie znajdziesz.
Owocna chwila, władająca nad nami,
Większą ma wagę, niż my; lecz ty, Boże,
Zewsie, jedyny przednich spraw sterniku,
Ojcze, patrz na nas i, gdy chcesz, dopomóż,
A jeśli nie chcesz wesprzeć, tak poniechaj!

CHÓR. O miłości, jak kształt twój uroczy i jaki pełen dobroci!
Twoje skrzydło w powietrznej roztoczy skrzydłem gołębia się
[złoci;
Stopa twoja tak szybka i żywa, jak wicher, co kraje morze;
Ziemia-ć płaszczem i suknią, co skrywa te twoje członki boże.
Zwinna jesteś i ślepa: pożogi sięją płomienne tve są miecze;
Rozśmiejch żądry wyprzedza tve drogi, za tobą iza się jej wlecze.
Dwie postaci przy swoim masz boku, mężczyznę z oblubienicą;
Snać ją rozkosz przeraża: w jej oku ognie się trwogi świecą.
Jak woń, która rozsadza pękowie, oblubienicze jej tchnienie:
Skonem jej oblubieniec się zowie, jej imię Przeznaczenie.

*

Kwiat trujący narodził się z piany,
Z piany morza i krwi ten czerwony
Kwiat się zrodził i gorzkie dał płody;
Śmiech i ślęzy to jego nasiona,
Liście jego to gniew jest wezbrany;
Gorycz jadu wśród jego korony;
Bez korzeni wstał z morskiej on wody,
Nie zaszczerpion, z lat wystrzelił łona.

*

Nie zstrzępiła się tu przędza świata,
Którą przędzie dzień aż w pomrok siny;
Nie okryły się szronem Godziny,
Ani Czasu podarła się szata,
Gdy zabójczy cud powstał z głębin,
Kiedy Troska szła ujarzmić lata.
Morskie do niej tuliły się fale
Ucieszone, że oto z ich łoża
Kwiecie ciała wyrasta tej mocy,
Która żarem wypełni oddale,
Która zimne rozgrzeje przestworza
Aż po śnieżne granice Północy.

*

Ptak w błękitach i człowiek na ziemi,
Który dźwięcznie dzielące się słowa
Pochwytuje uszami chciwemi —
Wszystko zwierzę, co pełza i biega,

Co po stawach i rzekach się chowa,
Co po łąkach i łęgach się pleni,
Radość w sobie szaloną rozżega.

*

Rzekli bowiem w rozkoszy powodzi,
Że w gołębiej przybywa tu bieli,
Że byt świata w oddechu jej leży,
Ze z nią razem byt świata się rodzi:
Ześ miłości jest matką, wiedzieli,
Nie widzieli zaś śmierci macierzy.

*

Czemu przyszłaś, o Matko, w zaranie,
Gdy od wiatrów ucichły przestworza?
Jak kwiat przyszłaś, rozkwitły na łanie,
Jak kwiat piany, kwitnącej wśród morza!
Gorzką byłaś z najpierwszą już dołą,
Afrodyto, o matko ty waśni!
Jakiś spokój panował przed tobą,
Lzy tak ciągle nie wlały nad nami,
Żywot płonął rozkoszniej i jaśniej!
Czem ty jesteś, nie było tem życie —
Jak kobieta było, co z latami
Rośnie w owoc! — O smutku, zagaśnij!
Świat bez cierni, bez żądła pragnienie,
Śmierć nie była oszczepem w tym bycie!
Cóż cię łączy z tem wszystkim, o hoża?

Pas cię bolu opasał, płomienie
To twych kształtów ogniście okrycie!
Z pían posiewu wyrosłaś śród morza,
Ni to kłos ten, co wyrósł na łanie,
Ni to żagwi błysk, co iskry żenie,
Ni ta jutrznia, świecąca w zaranie —:
Przecż boleści gotujesz nam łoża?
Cierń i oszczep ma przez cię włákanie —
Przecż w tej morskiej zjawiłaś się pianie?

*

Czyż nie było zła dosyć na świecie,
Dosyć bolu i dosyć już trwogi,
Gdy się rodził człek, w szczęście ubogi?
Górá burze i straszne zamiecie,
Pod stopami pustynne rozłogi,
Te posuchy i spieki te w lecie,
Te rozbite okręty śród morza,
Te mielizny i skalne te stogi,
Te rosnących łez strumienne łoża
Tam, gdzie rozkosz straciła swe drogi —
Czyż nie dosyć już tego? Ty przecie,
Opasana w pas żądzzy złowrogi,
Wniosłaś miłość w te nasze przestworza,
A ta miłość swem jarzmem nas gniece.

*

Nie tak, matkoś urodzić się miała —:
 Przecz się w dzień ten i śmierć nie zjawiała?
 Przecz nie przyszły smutek, trwoga, lęki
 — I te płacze i ręk tych łamanie
 I ta ludzi żałobnych nawala
 I to bicie się w piersi i siła
 Zgiętych kolan i w uszach te jęki,
 Jakby kraje ginęły, i łkanie,
 Jakby naród rzucano gdzieś w pęty!?
 Krzyk rozpaczny ulata do góry,
 Dziki orkan grzmi na oceanie,
 Skargi kobiet u morskich wybrzeży,
 A pod tobą wyjące odmęty,
 Rał, co statki druzgocą, ponury
 Grzmot i noc ta, ponadmiar wyrosła —
 Mrok straszliwy naokół się szerzy,
 Topi żagle podarte i wiosła!
 Fala w fale uderza, opila,
 Bałwan kruszy bałwany, deszcz siecze,
 Przynoszący zniszczenie tej ziemi;
 Ni to wilków rozszalałe stada,
 Wyją wichry gardłami dzikimi;
 W czas porodu giną plody człecze,
 Ślepe stwory pochłania mogiła,
 Głód żniwuje, sporysz żyto zjada —
 Oto chwila dla ciebie wspaniała,
 Oto kiedyś urodzić się miała!
 My to znamy; znać ciebie? To na nic!

Tej nam łaski nie dano od losów!
Tam, gdzie morze dosięga swych granic,
Któż rozpozna blask ocz twych i włosów?
Blask twych piersi, co ogniem się znaczą,
Rozpłonionym w złotym kręgu słońca
I w tych żywych płomieniach niebiosów?
Zali nie masz litości? Azali
Chcesz nas karmić żądzą i rozpaczą?
Wojsk pobitych żorotą bez końca?
Skargą, bolem beznadziejnym, łzami,
Kiedy miasto za miastem się wali,
Kiedy brat tu powstaje na brata,
Kiedy druh tu krwią druha się plami?
Ostateczny-ż to dar twój dla świata?
Zlituj się, matko, nad nami!

*

Wszak od wieków klątewne tve dłonie
Przeciw wszystkim nam ludziom powstały!
I bogowie padali przez ciebie —
Takie wieści nam przyszły na ziemię.
Możnych królów w złocistej koronie
Twe pociski dosięgły, tve strzały;
W pianie morskiej twa wola ich grzebie,
W proch obraca ich władztwo, ich plemię.
Wszyscy, wiekiem zmęczeniu i troską,
Śmierć znaleźli przez ciebie; złe losy
Wszak i Tyro spotkały z twej ręki,

Chociaż z bogiem dzieliła swe łoże:
Krew czerwona twarz splamí jej boską,
Więzy, rany, poszarpane włosy ~
Królewskiego szczepu gdzież są wdzięki?
Gdzież te oczy? gdzie te lica hoże?!
Rozpalona twymi żary, złoty
Precz rzuciła płaszcz swój szafranowy,
Precz rzuciła kołczan i w uściski
Enipeja na oślep ucieka.
Gdy się stopi z nim w ogniu tęsknoty,
Włos jej zwilży dech Enipejowy,
Piersi namuł oblepi jej ślizki,
Usta pianą swą zaleje rzeka.

ATALANTA. Słońce, co świecisz na zielonych wzgórzach,
Dniu utęskniony, któryś wstał tak późno,
I wy bogowie, których ręce karzą
I nagradzają, przedsię ty, o biała
Siostró słoneczna, dziewico, wielbiona
Od wszystkich dziewic na ziemi, witajcie
I raczcie dziś mi poświadczyć, że oto,
Idąc w pokorze za wskazówką waszą,
Ja, poświęcona dziewica, łowczyni,
Tak samo święta, jak ta, której służę,
Stoję tu w waszem obliczu i w oczach
Tych oto mężów z gotowym do łowów
Oszczepem w ręku; przeto bądźcie przy mnie
I, jeśli czysta, a wy sprawiedliwi,

Nie dopuszczajcie, aby mnie ktoś hańbił,
Iżem kobieta jest, a nie małżonka,
Że miast kądzieli, dzierżę oszczep w ręku,
Łuk, zamiast przędzy! Niewinnemi usty
Pozdrawiam niebo, lice bóstw i ranek,
Co dziewczemni skry i dziewczynami
Napełnia kwiaty gwiazd bezgwiezdne pola,
Urokiem zlewa blade, ciepłe wyże
Tego powietrza, drogi księżycowe,
Milczące bramy i najwyższe szczyty
Niebios! Zaś ciebie, któremu na ołtarz
Bezkrwawą z wody złożyłam ofiarę
Z kwiatów i zwojów złocistego włosa,
Błagam tu, obok Artemidy, osłódź
Dzień ten, niech świeci i dla niej i dla nas,
Niechaj się łaską zakończy i chwałą!
A ty, o droga i umiłowana,
Spraw, iżby z wszystkich moich dni ten jeden
Był li owocny, by był ich koroną,
Ażeby liście wypuścił i włos mój
Owinał wieńcem, który dla twych włosów
Wiją twe ręce. Nie bez twego słowa
I nie bez prawa twego i rozkazu
Przebyłam białe drogi fal, od Elis
Po Achelojski Róg, aż z łaski wiatrów
I dobrych bogów zawinęłam tutaj
Zdała od domu ojca, w wielkim smutku
Pozostawiwszy Jazya i Arkadyi

Wzgórza i wody zielonawowłose,
Niepocieszone bory, że tam róg mój
Już im nie zagra, że już tam nie ujrzą
Białego blasku mojej hyżej stopy.

MELEAGER. Za imię twoje i dziewiczą głowę
Niech cię, najświętsza Atalanto, chwalić
Nikt się nie waży, choć jesteś piękniejsza
Od tych, co ludzką wywołują chwałbę,
Choć równaś bogom przez twój poświęcony
Włos, przez twych oczu święty czar, przez stopę,
Co nie rozwieje ani też nie zbieli
Piany, gdy wiatr ją przesiewa szumiący.
Bogów nam wielbić, przez ciebie są bowiem
Przenajgodniejsi, by ich czcił i wielbił
Wszelaki człowiek. Wielbim więc i ciebie,
Bo światłem jesteś, wznieconem przez bogów.

TOKSEUSZ. Pókiż oszczepy będziecie wy ostrzyć
Dźwięcznymi słowy i bić niemi zwierza?
Milczcie, lub dzika zabijajcie w domu.

PLEKSYPPUS. Jeśli się ona puści w cwał na koniu,
To ty pędź za nią; mąż, co stał się dziewczką,
Wart jest kobiety w zbroi. Zostań tutaj.

MELEAGER. Milczcie; bogowie słów nie lubią pustych.

PLEKSYPPUS. Trudno u męża język czcić niewieści.

MELEAGER. Nie ostrzej trafia język mój od dłoni.

PLEKSYPPUS. Dłoń twa i język miękkie — nie tak u mnie!

MELEAGER. Dłoń ty miej czystą — jeszcze-ć czas ją zbrudzi.

PLEKSYPPUS. Twa dzisiaj spocznie, krwią się nie zczerwieni.

MELEAGER. Daj upust słowom; mów, jak serce-ć każe.

ALTEA. Bracia i synu, powściągnijcie usta,
Niechaj was słowa nie gryzą, jak żmije.

TOKSEUSZ. Jeżeli bogom krwi swej nie poświęci,
Cóż warta dziewczka pomiędzy mężami?

PLEKSYPPUS. Niechaj we wieńcu pod nóż odda gardło,
Wybeknie ducha i skona, a ludzie
Będą szczęśliwi przez nią i przez bogów,
Nie przez jej życie. Ma-li żyć, to kwiecie
Kwietniego łoża, ten owoc przesłodki,
Dla ust miodowych stworzon i całunków,
I być dla mężów tarczą i oszczepem?
Jałówka wówczas przemogłaby byka,
Oblubienica swego oblubieńca,
A człowiek bogów; nie byłaby wielka
Pomiędzy nimi różnica. Wzdyć wszystko
Dla swojej pory stworzone, a jeśli
Jedno ze stworzeń zmieni swoją porę,
Naonczas wszystko będzie w nie swej porze.

Słuchaj mnie, Zewsie, daj mi ubić zwierza
Bez żadnej niewiast czy mężów pomocy —
Inaczej zadrwią z ciebie, choć-żeś bogiem,
Co mężom siłę dał — i choć-żeś mądry,
Będiesz uważan za głupca; gdyż mądrym
Zostanie tylko ten, co wytrwać umie.

ATALANTA. Mężę, wybrańce ludu, i ty, królu,
Cierpliwi bądźcie dla mnie jedną chwilę.
Jeśli me życie hańbą jest, gdy żyję,
Niech o tem świadczy gniew bogów; lecz ci tu
Niech nie smagają mnie słowem. O moja
Święta, szczęśliwa bogini! jeżeli
Grzeszę, zmieniając niewieście tu słowa
Oraz niewieście czyny na oszczepy
I na oblicze obcych mężów, załi
Nie masz jednego z swych siedmiu pocisków,
Co, ongi Siedmiom tym przesywszy gardziel
I bok i piersi, do jednej macierzy
Stóp ich zwały, onych mężów świętych
Z Tantalowego pokolenia? Przecież,
Jeśli się komu z was zbyt śmiałą wydam,
Ja, co na siebie taki biorę ciężar,
Chćieście rozważyć, ile ja dziś płacę
Za tę mą świętość leśną, za tę sławę,
Za to żelazne, zbrojne me dziewictwo.
Nigdy ja męża nie zaznam miłości,
Ani też dzieci, coby się lepiły

Do mojej wargi, coby mi patrzały
W oczy; gdy umrę, nie będą mnie grzebać
Z płaczem królewskie me syny, na córki
Licach nie załśni żadna łza; me życie,
Zimne, na zawsze poświęcone, spłynie
Zdała od tańców, zdała od pochodni
Nachylonego płomienia, od kwiatów
I małżeńskiego łoża. O tak, śniegi,
Patrzące w lice ranka, zimne wzgórza,
Owiane wiatrem pola i burzami
Morza, wędrowny nocny ptak, słyszący
Grzmoty i wycie stada wilków, jodła
Ostatnia w lesie i ten mróz nietknięty,
Rozmawiające z wiatrem i bóstwami,
Zbudzone świeżo godziny i świtu
Białawe smugi, stujęczyczne rzeki,
Zarosłe trzcina, potoki szemrzące
O matce-śniegu — oto, co mnie ciągnie
K'sobie i zna mnie! Żaden mąż mnie nie zna,
A tylko moja bogini. Powiedzcie,
Czyż to was może boleć? Uczyni Bóg to,
Aby z was każdy miał wszelaką sławę,
Po mnie, gdy umrę, niech i pamięć zamrze —
Taką chcę zostać w oczach tej Przeczystej,
W której ślad zdążam — dziewica do śmierci.
Zresztą niech każdy ma tutaj swą wolę;
Może-ż was smucić to, że ja, kobieta,
Do waszych spraw się mieszam i chcę spełniać

Czyny, spełniane przez siłę? W mem ciele
Wielkie króluje serce i ma dusza
Niemniej jest równą, o mężowie, bogom.
Żleby się stało, gdybyście w swem gronie
Ujrzeli tchórza, jakąś rękę trwożną,
Jakoweś oko lękliwe — o, tymi
Gardźcie, tych hańbicie, ale mnie — przenigdy!
Bo nie różnica poszczególna ciała —
Czy ono piękne, czy brzydkie, niskiego
Czy szlachetnego rodu — o wartości
Naszej stanowi, ale duch i serce,
Od ust wznioślejsze i członków, co jęczą,
Co śpią i wstają, są i już ich niema.
Cóż mam powiedzieć o sobie? Na bogi,
Na me dziewicze ciało, na przysięgi,
Wiążące język ludzki i złą wolę,
Ja-c tu do władzy nie dążę, nie pragnę
Koron ni łupu zabitego zwierza
Ani też sławy; wy tem żyjcie, jedzcie,
Krzyczcie, najadłszy się do syta, tańczcie
Bez lir, powietrze napełniajcie śpiewem,
Bijcie w cymbały, potrząsajcie włosem,
Nogi swe puśćcie w rozpętane płasy!
To nie jest dla mnie. Lecz gdy się wymodłę,
Kiedy dziękczynne poskładam ofiary,
Tak precz stąd pójde i nikt mnie nie ujrzy.
I cóż wam z tego, że mnie zniesławiacie,
Ze tak hańbicie me życie, jakbyście

Byli zazdrośni o swoje, ja zaśię
Jakgdybym kradła wam sławę? Nie kradnę!
Bo jest-li w niebie jakiś Bóg najwyższy,
Który tronuje ponad innych bogów
Grzmotem i tronem, patrzący, jak pod nim
Toczy się koło świata — on niech będzie
Moim i waszym sędzią, niech zobaczy,
Czy przekroczyłam co! Wy powściągnijcie
Przekraczające ręce, pohamujcie
Rozwiążte wargi i milczcie, abyście
Nie zmarli z własnych ust trującej piany.

ENEUSZ. Kwiecie Tegei, dziewico, najszybsza
Stopo i głowo najświętsza wśród niewiast,
Cześć ci za dobre słowa. Wy z nią razem
Idźcie w spokoju i czci; z nieskalanem
Podążcie okiem za swem Przeznaczeniem.
Podnieście serca i dłonie, strzelajcie —
Strzała za strzałą niech się znaczy raną —,
Odejdźcie z bogiem i powróćcie z bogiem.

CHÓR. Któż ludziom mowę dał? Przez kogo mowa
Niebezpieczeństwo i grzech w sobie chowa?
Albowiem życie człowieka, jego zdrowie
I śmierć się kryje w słowie,
Aby czyn z wnętrza słowa wydobyły
Serca szalone siły;

Ażeby życie, gdy wszystko przeminie,
Wyhodowało byt, który nie zginie —
Skon... Czy widziałeś gdzie bliźniego brata
Czasu? zniweczyć nic go tu nie może;
Gdy czas przemija, jak piasek ulata
 Ziarnkami rozwiewnemi,
Tak Śmierć jest silna, w krew i moc bogata,
By możliwy władzca, panujący ziemi!
Czasie, ty śmierci nie widzisz w przestworze,
Aż ręka życia z dłońmi się twojemi
 Rozłączy na wieki. Gorze!
Bogowie łączą szal i troski,
 Z pogodnem łączą je obliczem;
Próżno litości wzywać boskiej,
 Niczem jest dla nich litość, niczem!
Nieraz w tej samej biorą chwili —
 Niweczą wszystko, co nam dali;
Ład trzęsieniami nawiedzili,
 Morzu odjęli poszum fali;
Na czas zwalają swe brzemiona,
 Na wargi życia dech swój kładą;
Człowiek za trud swój ciężko kona,
 Po śmierci w noc zstępuje błądą.
W ucztach weselnych troskę wnoszą,
 Plamą weselnych sukien biele,
Ból opasują swą rozkoszą,
 A rozkosz bólem; dłoń ich ściele
Ślubne posłanie z łez i ognia — na niem

Wezbranie wstrętu ze żądzы wezbraniem.

Cóż się z wszystkimi temi łzami stanie?

Czyliż, kaskadą wystrzeliwszy w górę,

Skąpią oblicze poranku? Na łanie

Ma-ż ich gwieździste zabłysnąć władanie?

Mająż być suknią dla Siedmiu, ponure

Skargi jęczących, albo czy też raczej

Głód zaspokajać morza, być rozpaczy

Wielkiem prażródłem i żale

Bogów nasycać? Albo czyż popłyną

Z wszelaką porą roku i godziną,

Zanurzą stopy ich w fale

Swojego smutku, nim przejdą i zginą?

Biada, o biada! O jakąż pozłotą

Łśni się, bogowie, stal waszego nieba —!

Lecz nam daremnie iść ku waszym wrotom,

Z jękiem się do nich dobijać nam trzeba,

Tor nasz wyścielon bolem i tęsknotą!

Tak, ciężar troski piersi nasze tłoczy,

Pełne są bolu i usta i oczy,

Smutek nas karmi, smutek nas odziewa!

Lepiej nie widzieć dni, naszym żywotom

Danych, nie słyszeć nocy, co nas gniołą!

Więdnjemy wszyscy, jako liście z drzewa;

Nasz mrok i światłość nasza, co migoce,

Są jako kwiaty, które giną marnie,

Białe i ciemne; dniom są równe noce,

A dni zaś nocom; Śmierć rychło zagarnie

Nasze zabiegi i trudy! Bezkarne
Robak zje nasze owoce.

Ale na niebie wznoszą wielkie bogi,
Jeden przy drugim, czarę, napelnioną
Rzeczy minionych trunkiem, łez i trwogi
Gorzkim napojem, i tę gorycz słoną,
Daną żywotom ludzkim, ludzkim skonom,
Chylą ku naszym wargom, ale sami
Napoję tego nie tkną się ustami,
Aby nie zasnął ten orszak złowrogi,
Śmiercią i życiem władający nad nami,
Iżby nie wyszedł za niebieskie progi,
Podległy wiekom, na te trzęsieniami
I słońc przewrotem smagane rozłogi:
Ust swych tym trunkiem żaden bóg nie splami.

Oby nie byli wycisnęli swemi
Stopami wina czasu, w którym tonie
Słodysz dni tylu i nocy, gdzie wonie
Wieków ze łzami łączą się gorzkiemi!
Pocóż im było skrapiać swe ołtarze —?
Życie powinni jeść, by owoc ziemi,
A śmierć, by trunek, pić; blask przed ich okiem
Niechajby zmałał, a noc swoim mrokiem
Niechby na chwilę zakryła ich twarze,
Iżby, zbudziwszy się w niebie, poznali

I sen i troskę, jak od śniegu białej
Lśnią się, zimniejsze od deszczu i rosy;
Iżby cierpieli chociaż jedną chwilę,
Jak my i innych biednych stworzeń tyle,
Iżby jak ludzkie padali pokosy.

Lecz my nie znamy ich; ci wielbią Boga,
Mówiąc: bogowie są łaskawi; zasię
Inni pytają: czyś go widział? Sroga
Żagiew tchów jego czyliż ust twych krasie
Zadała koniec? Jak słońca pożoga,
Spaliła-ć oczy? Nikt w czasie
Dni swych nie widział, by on nad innemi
Wzlatywał bóstwy stopy bezskrzydlnemi,
Nieodzian suknią śmierci ni żywota,
Nienasycony, obcy dniom i nocom,
Pan, co miłością i zawiścią miota,
Co gwiazdkę daje, słońce wzięwszy mocą;
On, co dla ciała, dla tej kupy błota,
Stwarza bezpłodną niewiastę sierocą
Z duszy, z olbrzymich członków garść płomienia
Czyni, a szczyptą piasku dławí morze;
On, co niebieskie rozwiewa sklepienia,
Żądze, swe dzieło, bije wstydem, zorze
Pochłaniać każe mrokom, dzień przemienia
W noc, gasząc ogień w płomiennym przestworze —
On, co bez miecza i bez różg nas zmógł,
On, zło największe, Bóg!

Twej nienawiści okrywa nas szata,
Przez cię żrenicom naszym blask nie świeci;
Lada wypadek wciąż nami pomiata —
Słabe my dzieci —,
Zato ku tobie z ludzkich ust objata
Pochwalnych głosów leci.
Całując, bijesz; swą lewicę wznosisz
W górę nad nami i „Żyjcie!” tak głosisz,
A potem, wzniosłszy swoją rękę prawą,
Żegnać się każesz ze żywota jawą.
Sen nam zesyłasz, wplatasz w niego mary,
Mówiąc: nie rozkosz to, lecz chęć rozkoszy;
Ze słodkich źródeł rzek wywodzisz czary,
A gorycz morza tę słodkość im płoszy.
Kwiat jeden karmisz prochem mnogich ludzi,
Twarz jedną płomień mnogich łez wysusza;
Miłość nam biorąc, dech twój troskę budzi;
Męczarni pełna nasza wszystka dusza.
Iżes ty silny, a my słabi, Panie,
Ześ jest przeciwko nam, wróg nasz niezgięty,
Że o mieliznę nam na oceanie,
Lub u wybrzeży rozbijasz okręty;
Ześ błyskawicę napiął, jak cięciwę,
I wypuściłeś godziny, by strzały,
Ześ ból nam zesłał i słowa gniewliwe,
Grzechy i wojny, nasz dobytek cały;
Ześ stworzył piorun i że stopy twoje
Są jako fale, gdy się rwą obłoki;

Ze, jako ogni najżarliwszych zdroje,
Płoną twe lice, ty płomiennooki;
Żeś jest nad wszystkim tem, co jest nad nami,
Że śmiercią imię nasze, twe żywotem,
Że my litośni, ciebie srogość plami,
Że dłoń twa igra z naszej dłoni potem —:
Z drżącym kolanem i pełnem rozpacz
Sercem, z oddechem, co ucieka z wargi,
Daj nam powiedzieć, nim żywot nasz zginie,
Że tak na świecie jest, a nie inaczej,
Że wszystkich jedne rozpierają skargi,
Że jako ja, tak ninię
Každy ci wrogiem, boże, w tej ziemskiej dziedzinie.
Ale wy dajcie na ziemi
Spokój tym słowom wielu;
Wszak niecierpliwość wraz z słowy głośnemi
Nie docierają do celu.
Milczenie wszystkim jest w cierpieniu głuchem;
Ratunkiem człeka będzie cześć i trwoga
I panowanie nad krwią i nad duchem
I wstyd i bojaźń Boga.
Ze słów żadnego nie zbierzecie żniwa;
Drzewem li wstrząsa, kto ciernie obrywa;
Słowo rozdziela, niweczy;
Milczenie szczytem jest po kres wszechrzeczy.

ALTEA. Krzyk nowych wieści słyszałam przed domem
I wraz tu przyszłam od wschodu, gdzie świty

Witają naprzód bogów, stróżów słońca,
A potem nasze nieotwarte oczy,
Niespodziewanie bowiem usłyszałam
Tententy kopyt i wskrós kolumnady
Mignęło światło, ostrzejsze od żarów,
Którymi ranek napełnia ją codzień —
Blask, grzmiące krzyki ludu, kłęby kurzu
I pośpiech jeźdźców — patrzcie! oto wraca
Wódz ich, co jechał przy boku Eneja!
Jakie masz wieści, heroldzie, od króla?

HEROLD. Cześć ci i chwała, pani! dzik zabity!

CHÓR. Bogom, co patrzą na Kalydon, chwała!

ALTEA. Dobra, a krótka wieść; z czyjej padł ręki?

HEROLD. Dziewicy — wieszczki i twojego syna.

ALTEA. Cześć oszczepowi, co mu zabrał życie.

HEROLD. Własny, nie obcy błogosławisz oszczep.

ALTEA. Bądź błogosławion za mnie i za niego.

HEROLD. Na rozkaz króla przybywam do ciebie.

ALTEA. Mówisz, że czeka, aż przyniosą skórę?

HEROLD. Wypoczywają przy łomach kamiennych.

ALTEA. Powiedz, jak było, a zaś wy kwiatami
Uwieńczcie bogów i ołtarze, wino
I żertwień dobrym ofiarujcie niebom.

HEROLD. Nieco na północ, gdzie się bór zaczyna,
A zaś na zachód od tych wązkich wzgórzy,
Których potoki popłynęły ongi
Krwia, kiedy syn twój pobił Akarnanię —
Tam ustawiwszy się według godności,
Bacny oszczepów uczynili przegląd
I całej sfory; syn wyspy, Laertes,
I młody Nestor gereński, Panopej,
Cefej i Ancej, mężowie najtęższych
Mięśni w Arkadyi, z ukosa patrzący
Na arkadyjską dziewczkę⁶⁸ Atalantę,
Gdy z dwoma psami stanęła tuż obok,
Co, szarpiąc smyczę i z warg pozbawionej
Kufy kły białe szczerząc, płomieniem
Strzelały okiem. Z ramion, naodziańnych
Błyszczącą zbroją, zwisał kołczan, brzęcząc
Pękiem pierzastych pocisków, a obok
Łuk połyskiwał; przy niej Meleager,
Słońce wiosenne, które każdą gałąź
Kwiatem odziewa i zielenią, chwala
Śród mężów lichszych; poza nim Ifikles,
A zaś poza tym, który dwukształtnego
Powalił byka, stanął Pirytyous,
Boski Eurytyon oraz Eacyda,

Zięć bogów, za nim brat jego Telamon
I on z Argiwów rodu, wieszcz i prawdy
I snów głosiciel, cny Amfiaraus;
Potem czworaka moc twego plemienia,
Synowie matki twej i twojej siostry.
Obok Jazon, świeżo owian szumem
Wód cudzoziemskich, i bliźni brat wojny,
Dryas, kwiat pola bitwy, jaśniejący
Mąż mieczowładny; dalej Idas, przy nim
Przenajbystrzejsze oko Lynceusza,
Oraz dwukrotnie żonaty Admetus,
Hippax i Hylej wielkoduszny. W rogi
Kazali z miejsca uderzyć i potem
W cwał się puścili borem i ogromnem,
Fałą szumiących rzek skrajanem polem,
Śród drzew cisowych, ciężkowłosych jodeł
I pośród dębów pędząc, tam gdzie rosa
Leży najgrubsza, ale nigdzie śladu.
I jeden z grona, Pleksypp, tak zawoła:
O Artemido, pomóż lub nie pomóż,
My tam zedrzemy skórę zeń tą ręką.
To mówiąc, nagle zaciął się, nie wszystko
Wypowiedziawszy, albowiem na mokrem,
Zielonem, w słońcu kąpiącym się bagnie
Zobaczył wzdętą pościel bujnej trzciny,
A wśród jej kwietnej gęstwi niespokojnym
Spał snem — trafiły go gwałtowne mary —
Ów ślepy ogrom potwornego zwierza.

Gdy go tak ujrzał, członki dreszcz mu przebiegł
Zadzą zwycięstwa — rzucił weń oszczepem,
Chybił; zbyt wielka chuć nim owładnęła;
Przezapalczywy, słabszym był od swojej
Woli; zadrżała dłoń i oszczep, z świstem
Lecąc przez trzciny, uderzył w wrześniowe
Drzewo i uwiązał. Cofnęli się wszyscy,
Prócz arkadyjskiej Atalanty; przy niej
Rwie się ze smyczy sfora, aż po ucha
Grzęznąc wśród lepkich trzęsawisk; lecz ona —
„Kieruj nim“ — mówiąc — „o wielka bogini,
Gdyż na twą chwałę puszczam go“ — od razu
Naciągnie łuk swój i wyrzuci pocisk.
Z świstem opadnie cięciwa, wilgotne
Syknie powietrze, łan trawy poruszy
Mokre swe pierze, ni to fala morska,
Której już wicher nie kołysze; nagle
Dzik do połowy zerwie się z trzęsawisk —
Bok mu faluje naokół strzępiastej
Rany — i, okiem wodząc napastliwem,
Wypadnie naprzód ze szczecią zjeżoną;
Psy się weń wpiją zajadle, zielone
I białe kwiaty, złane krwi czerwienią,
Łamią się wokół, a on kłęb błyszczącym
O ziem powali Hyleja: od razu
Śmierć porwie duszę jego, niespodziany
Sen mu rozlawszy na oczy. Peleusz
Zasię wyrzuci pocisk, mąż silnego

Serca i ręki silnej, ale strzała,
Zboczywszy, w ziomka uderzy i druha
Pod lewe ramię, gdyż i on miał w ręku
Łuk naciągnięty; krwi wytrysnął strumień
I pod ciężarem brzęczącej zbroicy
Eurytyona zmarłe zachrzęściły
Członki; szczęśliwszym wieszczek był Kadmejski,
Amfiaraus, poświęcony oszczep
Wbił bowiem w koło czerwone żrenicy,
Wściekle patrzącej z pod brwi skrwawionego
Zwierza, co teraz jeszcze był czerwieńszy,
Zamordowawszy człowieka; atoli
Dzik, podrażniony, wyprężył się w górę
I zagrzmiął rykiem, nie mniejszym od grzmotu
Albo od ryku potoków, gdy w zimie
Piany swe w żółte przelewają morze;
A jako wieża płonąca upada
W bitwie wraz z swymi wały i łuczniki,
Łamiąc pod sobą żelazny kwiat wojny,
Zwęglone kości ludzkie w krąg druzgocząc,
Tak wskrós złamanych gałęzi, skrwawionych
Haści poczęła szaleć wśród szelestów,
Szumów i chrzęstów jego dzika stopa
I zdeptała Anceja, co skoczył
Na bok przed jego kłębem, lecz zbyt powoli —
Sił ociążałych obraz; jako płaty
Słaboskrzydłego śniegu, tak się porwą
Twarde muskuły ciężkich jego członków,

Kawały mięsa leżą naokoło
I krew się toczy — mężne resztki człeka,
Który już nie jest człekiem. Z tchem zapartym
Patrzeni przedsię wszyscy ci rycerze,
Ale do strzału nie miał nikt odwagi;
Tak Meleager, syn twój, korzeniami
Wrosły, ni skała, w tor idącej kłątwy,
Mąż cudnych oczu i zaciętej wargi,
Nabrzmiiałych mięśni, wyprężonych członków,
Brodę skłoniwszy k'wyciągniętej szyi,
Jak Bóg, poważny, skupiwszy swe ściegna,
Zręcznie skierował na lewo swój oszczep,
W dłoń go ująwszy w najbardziej sękatem
Miejsku, i — nigdy jeszcze żaden dziryt
Takiej nie zadał rany — wskroś ugodził
Zwierz pod żebro ostatnie, w łopatkę,
Żelazo w brzuch mu wbijając i nogi.
Głęboko rażon i na śmierć, straszliwy
Zerwał się potwór, zjeżon oszczepami,
I padł, ostatnią tocząc pianę życia.
I z ulgą w sercu jęli wszyscy wielbić
Zewsa i innych bogów, Artemidę
Zasię najprzedniej; ale Meleager
Kazał wyostrzyć noże, zedrzeć skórę,
Rozpostrzeć łup ten wspaniały. Znużeni
Trudem i znojem, siedzieli tak wszyscy
I, dech wciągając głęboki, poczęli
Pić i, radując się wielce, ze skroni

Uspokojonej pot ścierali krwawy.
Albowiem trawa rośnie tam przemiękka,
Dobra na spanie, wszelkie święte zioło,
Narcyz i nízko rosnący miodownik —
Wszystko, co tylko jest najprzedniejszego
W liściu i kwiecie, rośnie tam, gdzie fiołki
Pachną i kwitną w cieniu hyacyntów.
I żółtych kwiatów ogień tam ujrzycie
I jasność smukłych lilij i liściwie,
Drżące przed Faunem, znające Dryadę,
Oliwki, cisy, poświęconą topól,
A pod ich strażą niejedno źródłisko.
Tam spoczywają teraz, król mnie zasię
Śle z dobrą wieścią dla grodu i ciebie.
Przeto się cieszcie i dzięki składajcie,
Albowiem padł już przestach Kalydonu.

ALTEA. Chwalcie więc bogów; dobre dają dary, —
A co się stać ma, skrywają do czasu.
Dobreś nam przyniósł wieści, lecz i smutne;
Lecz tak być musi. Dajmy teraz spokój
Wszelkim żałobom, pókąd nie złożymy
Żertwi bożyszczom i póki ołtarzy
Nie skropim kwietniem winem. O, łaskawie
Spojrzyjcie na nas, bogowie, albowiem
Z niekłamnem wielbim was sercem i usta
Nasze widzicie bez obłudy — czyste
Są nasze dusze i nasze modlitwy.

HEROLD. Dobrze twe modły; bo kto się nie lęka
Bogów i w szczęściu dumne miewa serce,
Z nowym się może nagle spotkać ciosem.

CHÓR. Obym kiedy był w tej stronie,
U tych źródeł, u tej fali,
Co się rodzi w opok łonie,
Co przerzyna świeże błonie,
Gdzie się w słońcu zieleń pali,
Gdzie się w świeżych traw zieleni
Bezlik wonnych kwiatów mieni,
Bezowocne gdzie owoce,
Gdzie się ciemny bluszcz migoce,
Jak ten bluszcz, co swymi sploty
Obejmuje włos twój złoty,
W twej, o Bachu, lśni koronie,
Sypie-ć liści swych nawałę
Na ramiona śnieżnobiałe!
Rok tam w słodkich czarach tonie,
Ziemia pełna jest strumieni,
Potok płynie za potokiem;
Różolícím tym godzinom,
Które jutrznię wiążą z mrokiem,
Żarne słońce tam nie płonie.
Zblakłe, patrzą tam na siną,
Zblakłą zieleń, widzą kwiaty,
Obleczone w blade szaty;
Tam dzikiego wina zwoje

Ros miesięcznych kąpią zdroje;
W oczeniu tam głębokiem
W dzień słowiki śpią, a w nocy
Wyśpiewują z całej mocy.
W tej ustroni, pełnej cieni,
Gdzie się półmrok chłodny pleni,
W tej ustroni, tak uroczej,
Gdzie nie zajrzą obce oczy,
Obce skrzydła nie zawiną,
Żaden powiew nie zadzwoni —
W tej ustroni
Zjawia się li, Pani świata,
Błysk rozwitych twych warkoczy,
Piers twoja nagle rozbłyśnięta!
Patrz na to li dziewczęta,
Jak ich pani w białą wodę
Boskich członków swych urodę
I swe złote włosy nurza.
Pełno ich na każdej zboczy,
Pełne ich bezkwietne wzgórza,
Ciżba ich wśród łąk się tłoczy,
Gdzie od ludzkich ocz z daleka
Rozszumiała plynie rzeka;
Tłum ich snuje się i wiję,
Nieskalaną krasą świeci
U jeziornych wód przeźroczy —
Nad wądołcem, nad jeziorem,
Gdzie rozliczne lśnią lilie:

Złotopręga pszczoła pije
Miód z nich słodki, skrzydłem skorem
Za rokicin rozhoworem
Ku fiołkom potem leci,
Ku tym jasnym i tym w szaty
Ciemne strojnym, co przed laty
W pąki swoje i swe liście,
Wykapanie tak rześście
W łez matczyńskich ciepłej rosie,
Członki skryły łamowe,
Brata twego siew.
Serce jego litościwe
Było dlań, jak twe w tej chwili,
Zanurzone w naszym głosie,
Spuścić litość jest gotowe
Na tę naszą biedną niwę!
Twa się ku nam brew
Obróciła, o bogini!
Niech się łaska twoja czyni,
Niech ta łaska nam umili
Nasze trudy, nasze znoje:
Dość my tu się natrudzili,
Dość my złego się napili,
Dość nawiedli, snąc bez końca,
Jak więdnące te powoje
W nieustannych żarach słońca!
Spełniało się straszne dzieło,
Dosyć trzody nam ubili,

Dosyć łowców nagięło,
Nagięło dość pasterzy,
Wszystek nasz dobytek świeży
Poniszczony wokół leży,
Dni te, grozy, śmierci pełne,
Wzięły owoc nam i wełnę!
Ale dziś na tym zagonie
Z pobożnością my i z trwogą
Dziękujemy-ć za pogodę,
Za tę szczęścia chwilę błogą!
Dni się bowiem zdarzyć mogą,
Że gdy jest na nieboskłonie
Taki blask, jak ten, co wodę
W przeblękitną kryje ciszę,
Że gdy ludzie
Ani śnią o nowym trudzie,
Tak się wówczas widzi bogom,
Że, chociaż się nie ogłosi
Ani grzmotem ani srogą
Błyskawicą, idzie Dola
I ze sobą śmierć przynosi.
Ból i radość wy na pola
Nasze ślecie, o bogowie,
Zło i dobro, wszelkiej pysze
Uragając. Któż wypowie,
Jak od dawnych lat królowie
Upadali, ni hołysze,
Gdy tak chciała wasza wola?

Ale ty nam spraw inaczej,
Prośby naszej i rozpaczy
Przeświadoma! Na niebiosy,
Na te jasne twoje oczy,
Na twój łuk, na czar twej mocy,
Co królestwem władnie nocy ~
Niech nas łaska twa otoczy!
Racz usłyszeć nasze głosy,
Ten nasz jęk sierocy!
Na ten pocisk, co Oriona
Zmógł w omroczy,
Na te dziewic twoich grona,
Na te pasa twego sprząże,
Co ci nikt go nie rozwiąże,
Na te twoje włosy!

POSEŁ. Zmieńcie, dziewczęta, pieśń! Trzeba się kajać,
Błagać o litość. Zali to czas śpiewu?
Trzeba się raczej posypać popiołem,
Rozdzierać szaty swe i bić się w piersi.

CHÓR. Za twemi słowy jakiż wilk to czyha?
Jakiż to język żmij wśród twojej wargi?
Jakiż to ogień płonie w twoich oczach?

POSEŁ. Opowiem wszystko ~ wieście przed królowę.

CHÓR. Idzie jak gdyby od ofiar dziękczynnych.

POSEŁ. Bezplodne dzięki za gorzki podarek.

ALTEA. Kogóż z twarzami niosą zakrytemi
Na tych gałęziach? Nie płoni to byli
W życiu mężowie, i teraz, gdy zmarli,
Cześć im oddają, jeśli cześć jest w śmierci.

POSEŁ. To bracia twoi, synowie twej matki.

ALTEA. Złóżcie swych zmarłych, ujrzę wprzód, czy moja
Krew to, a potem gorzko płakać będę.

POSEŁ. Płacz, jeśli pragniesz; ci już nie zapłaczą.

ALTEA. O bracia, ojca mojego synowie,
Których kochałam i czciłam — o jakże
Radabym płakać łzy, od krwi tej droższe,
Którą wam dzisiaj wytoczono! Przecież
Widzę, że sen wasz nie jest pełen wstydu,
Choć was zabito — śmierć tę syn mój pomścił!

POSEŁ. Siew twój, królowo, czy ma sam się zabić?

ALTEA. Podwójna śmierć jest w twem dwuznacznem słowie.

POSEŁ. Dłoń ich zabiła jedna — słysz to jedno słowo.

ALTEA. O czym majaczysz dwuznacznym językiem?

POSEŁ. Syna twojego dłoń — trudnoź to wyrzec?

ALTEA. Nadeszła chwila nasza — jest już przy nas.

CHOR. Nieszczęsna, własną ograbiona ręką.

ALTEA. Czyś z tego łona nie zwan Meleagrem?

CHÓR. Straszliwy łowca wyszedł z twego łona.

ALTEA. Ogniem-ś się zrodził, czyż nie masz się spalić?

CHÓR. Spali-ż i ciebie żar, któryś zrodziła?

ALTEA. Sny moje spadły na mnie; i ty spał się!

CHÓR. Sny się nie rodzą i nie mrą bez bogów.

ALTEA. Wielu jest wokół bogów; jam jest jedna!

CHÓR. Jęczy, jak człowiek walczący z bogami.

ALTEA. Krają mnie, szarpia, rozdzierają, niszczą.

CHÓR. Jakgdyby w bólach rodziła straszliwych.

ALTEA. Siłni, tak, siłni! Wali mnie ich przemoc.

CHÓR. Potężny bóg jest wobec niej! Umiera.

ALTEA. Tak, lecz nie teraz; wielkie jest me serce.

Radabym nie stać tu w obliczu słońca.

Ty mów, coś widział, a potem ja — umrę.

POSEŁ. Otóż, królowo — królową-ś z postawy —

Tak wielką klęskę drobny kryje wyraz.

Podczas podziału skrwawionego łupu

Swarliwi bracia twoi rozkazali
Ponieść łeb dzika i potworną skórę
Do Kalydonu jako święte dziwo.
Wielu za nimi poszło, ale syn twój
Olbrzymią dłonią schwycił ciężar szczeci
I tę obwisłą i chrzęszczącą kupę
Pod stopy rzucił niewieście, mówiący:
Twój to, dziewico, łup, nie mój: twa ręka
Zjęła ten owoc dla ciebie i wszelką
Cześć tę oddaje ci bóstwo!... A ona
Wraz się rozśmiała na to: — tak, gdy z świętą
Nocą się zejdzie świt, widzą niebiosą,
Jako pobladłe wargi i dziewicze
Powieki słońca zczzerwienia łagodny,
Rozwierający je uśmiech; jak piersi
Nocy i ranka falują owocnie,
Oblane światłem jaśniejących godzin,
Jak falujący, dziewiczy blask włosów
Barwi obłoki, tak się ona śmiała
Z czystego serca, łagodnem oblana
Światłem po włosy splecione; różowa,
Jako poranek, chłodna, złota, boska,
Czysta o czystych uśmiech, tak się śmiała
Śmiechem łagodnym, poważnym. W spokoju
Stanęli wszyscy, gdy szła wzdłuż ich rzędu,
Wtem jeden krzyknął: Czyż z podniesionemi
Nie będzie szydził wargami wszelaki
Człek arkadyjski, widząc, jak nam dzisiaj

Łup nasz zabiera dziewczyna? I wszyscy
Wraz ją opadli, zdarli wieniec z włosów
I łup wyrwali z rąk, tak ją hańbiący;
Lecz Meleager, jak lew oswojony,
Teraz podrażnion, zerwał się w te tropy,
Złamał ich szereg — tak go rozpołowił,
Jak ogień drzewo rozpoławia. Ona
Jednakże ręki nie podniosła; przedsię
Pleksypp dopiero, krzycząc: „to z miłości!“
Na Meleagra rzucił się, a ten-ci
Dobył oszczepu i przeszył mu lice.
Milczący za nim ujął się Tokseusz,
Lecz dziryt jego płone szeptał słowa
I bezowocne, jakkolwiek gwałtowne —
Niebawem ziemia uczuła, jak upadł,
Przeszyte mając lędźwie, a zaś piana
Jego rumaka pobieliała lice
Twojego syna, zabójcy. Nikt potem
Już się nie ruszył, nikt już nie przemówił.
Zasię Eneusz kazał tu ich ponieść,
Tych, których niebo na śmierć oślepiło —
Chcący urągać Przeznaczeniu, padli.
A tamci poszli, uczciwszy dziewicę,
Którą wzdyc same uczcili niebiosy.

ALTEA. Cóż wy, niewiasty? Czyż nie wszystko dobrze?

CHÓR. Dobrze człek czyni, gdy Bóg jest z nim razem.

ALTEA. Lecz w tem nie było Boga. I nie było
Was u narodzin moich braci. Wyście
Nie znały braci mych, jak ja, ich siostra,
Com jest ofiarą ich mordu. Dlaczego
Jam nie umarła dla nich? Wszak ten zmarły
Mąż chodził ze mną, jako dziecko z dzieckiem,
Słaba podpora dla stóp moich słabszych;
Stopą mi drobną służąc, drobną ręką,
Tak ci mnie wodził, tak mi pokazywał
Zelazo, złoto, odblaski zwierciadła,
Połysk korony, wszystkie rzeczy piękne;
Lekkim rzucał oszczepy, psy młode
Przywodził ku mnie, iżby się łąsiły
Do stóp tych moich, iżby mi się kładły
Na moje piersi dziewczęce, wielkiemi
Pieszcząc oczami. Tamte dni minęły,
A te są gorzkie, a ja dziś bezpłodną
Jestem królową i siostrą nieszczęsną,
Bytem stroskanym, matką klątw rozlicznych.
Ale i ona, siostra moja, Leda,
Pośród owoców siedząca nad morzem
Wraz z swym niewinnym mężem, kłąc mnie będzie
Mówiąc: Nie syna-ś zrodziła, lecz troskę,
Zagwie-ś zrodziła, siostro, co pożera
Twą i mą duszę. Lecz wy, Testyusza
Synowie, cieszcie się, na stos pogrzebny
Takie wam drzewo dam, jakiego dotąd
Nie miał król żaden; ognia, co się spali,

Nie będzie sycił żaden olej, żaden
Podmucha ni żadne wino; kosztowniejszą
Jest ci ta żagiew od złota, od życia
Wszelkich, po świecie tym chodzących ludzi.

CHÓR. Masz, o królowo, godnego miłości
Męża, twojego syna wielką siłę.

ALTEA. Któż mi da braci jeszcze, póki żyję?
Któż mi ich zrodzi? Któż mi ich wychowa
Na miejsce tych tu? Czyż nasi ojcowie
I nasi bracia nie są nam jedyni
I niezrównani? Czyż mych nie zabito?
Czyż my oboje, on i ja, jak kwiaty
Nie żywili się macierzyńskim mlekiem,
Jako się pszczoła żywi miodem? Patrzcie,
A ten, któremu syn mój przeszył lędźwie,
Czyż on, brat młodszy, nie widział uśmiechu
Na naszych uśmiechach, rozśmianych z miłości?
Nie było wówczas synów ni oszczepów
Ani też kobiet zabójczych narodzin,
Mielśmy bowiem wówczas przyjaźń bogów
I dni z ich łaski jasne. Przecz nie zmarłam
Niepoślubiona? Nie powstałby ze mnie
Miecz na męczarnię świata! Ci, co ongi
Takim mnie słodkiem obdarzyli słowem,
Tak mnie kochali, już ci mi nie będą
Dzisiaj przemawiać ani patrzeć na mnie;

W życiu ja swoim już-ci ich nie ujrzę
Zywych! Ja przedsię żyję! jakżeż ja tu będę
Żyła? O jakież będę wiodła życie
Przy boku syna, wiedząca, co było,
Pragnąca tego, co być już nie może?!
Patrzeć w umarłe oczy, warg umarłych
Słuchać i własne swe zabijać serce
Wspomnieniem zmarłych i temi oczyma
Na ich zabójcę spoglądać i płakać
I łamać ręce, trzymające jego
Rękę morderczą? Jakżeż ja to zniosę,
Słyszcząca we śnie nieprawdziwe głosy,
Warg nieprawdziwych czująca całunki,
Pochwytyjająca echo stóp umarłych,
Potem, zbudziwszy się, słyszcząca tylko
Bezpańskiej sfory żałobne skomlenie,
Widzącą tylko ich oszczepy, łoża,
Siedziska tylko i wszelkie ich sprzęty,
A nie zaś mężów? Jeśli psy i konie
Mają smutnemi żałować oczami,
Mają się głodzić z żalu po swych panach,
Zali ja nie mam się troskać? Jeżeli
Takie istoty ślepe chcą z miłości
Pozbyć się życia, czyż mnie żyć przystało?
Tak, śmierć niejedna lepsza, niż niejedno
Życie, a lepszą jedna śmierć dla niego,
Dla nich i dla mnie! Gdyby ich bogowie
Byli zabili, jużcibym to zniosła!

Padliby w wojnie albo też od noża,
Wzięci w zasadzkę, podczas snu, ma dusza
Jużbyć to zniosła; gdyby ich te łowy
Zmiażdżyły stopą lub rozdarły kłami,
W krwi ich walając i deptąc — — o, każdą
Śmierć, bądź czcigodną, bądź tą, którą można
Pomścić, szybkimi ścigając ją stopy,
Albo tą z ręki hyżych bogów — każdą,
Prócz tej jedynej, łatwo znieśćby można.
Lecz ci nie zmarli w boju o swą ziemię,
Ani też żadną nie padli ofiarą,
Bo czyżbym całe wytrząsnęła serce
Z oczu? Nie! wówczas samabym zabiła
Co tchu mordercę lub na ich ofiarny
Ogień sypałabym kwiaty i wieńce
Na ich mogiły; patrzyłabym wówczas
Z śpiewem na uściech, jako z ich popiołów
Wystrzela płomień ich sławy: naonczas
Możeby przyszli wszyscy i dziewice,
Ażeby z czystych warg wyrzucać pieśni,
A z bohaterskich ocz łyzy święte ronić — —
Śmierć ich naonczas byłaby żywotem,
Co nie zna śmierci; ale oni padli
Nie z rąk najętych ni od miecza wroga —
Własny ich krewniak ubił w dzień spokoju;
Padli, przebywszy tyle niebezpieczeństw,
Pośród przyjaciół padli bez przyjaciół
Z ręki zawistnej, którą tak kochali.

Jakżeż się dotkną moje owych dłoni,
Które czerwone wracają, nie z wojny,
Lecz z winobrania pośród żył umarłych
Mężów, mych braci? Jakżeż one zmyją
Plamę nie z biesiad wesołych, lecz z wina,
Które przenigdy nie weseli? Jakżeż,
Schwyciwszy rękę moją, będą mogły
Pomieszać krew mą ze swą krwią? Lub mogą
Powiedzieć „synu“, nie będąc już siostrą?
Czyż nie będziemy dzień i noc siedzieli,
Nienawidzący się wzajem, snujący
Myśli, przegodne nienawiści? Z okiem
Czyż nie będziemy żyli zawstydzonem,
Ziemi trwożliwą dotykając stopą,
Jedno i drugie — nie czyniąc wyrzutów,
A jednak winę czujące — bez słowa
Wspólnych oskarżeń? Mamże ja pozwolić,
Byś żył, mam patrzeć, jak urastasz w siłę,
Słyszeć, jak ludzie wielbią mnie za ciebie,
Podczas, gdy tamtych, którym żyć nie dałeś,
Nikt tu już sławić nie będzie? Czyż mają
Leżeć, przez ciebie, bezwładni, umarli
I niekochani przez nikogo? Wielce
Byli mi słodcy za życia, me serce
Ciągnęło ku nim — syte było wówczas,
Gdy dziś jest głodne. Brak mi tych umarłych
Będzie do chwili, kiedy sama umrę.
Wszystko się może odnawiać — i ludzie!

Syna za syna biorą i oddają
Wielcy bogowie, nie siostrę ni brata.

CHÓR. Nie! bo syn leży tuż przy twojem sercu;
Syty twem mlekiem, ogrzany twem łonem,
Wysysa życie, krew życia i wszelki
Twój owoc, je cię, pije cię, jak człowiek,
Który chleb łamie i je, który wino
Wyciska z jagód i pije —; jest tobą,
Jest latoroślą twą; gdy się nie żywi,
Czyliż nie słabnie ciało twe? jeżeli
Pić on nie będzie, nie schnąż usta twoje?
Ponadewszystkiem jest, ażebyś była
Do swego syna przywiązana — za to
Czcic cię on będzie, wielbić będzie łono,
Z którego wyszedł, i te piersi twoje —
Przedsię przez ciebie będzie czcil i bogów.

ALTEA. I tych mi dali bogowie, nie tylko
Syna; a on ci nie uczcił tych bogów
Ni dawnych, słodkich lat ni żadnej rzeczy,
Co czi jest godna, lecz, jak zwierz krwiożerczy,
Porwał ich srogo i ubił; a ona,
Obca niewiasta, kwiat, miecz, krwią zmazany,
Kwiecie, zabójcze dla ludzi, uwielbień
Godna i godna nienawiści — ona
Z chłodnym uśmiechem i chłodną żrenicą
Patrzała na to, jak moi padali

Z ręki mojego, jak ten mój mnie zmienił
W najnieszczęśliwszą pośród nieszczęśliwych,
W nędzę wśród kobiet na świecie, w nazwisko,
Które precz spluczą słowa wszystkich ludzi.

CHÓR. Krzep swego ducha: bo czyliż przypadek
I koło wszelkich konieczności nie jest
Bogiem tak samo? Surowi bogowie
Wiele kar srogich spuścili dziś na nas ~
Nie trzeba bluźnić, bo sroższe spaść mogą.

ALTEA. Duch mój jest krzepki sam w sobie; ja przecież
Krzyczę i zato urągam swej duszy,
Ze znosi hańbę i te dni bolesne
I tę bezwładność, której nie okupi
Żadna pokuta! Słaba-m, pełna wstydu!
Własny mnie oddech zawstydza, gwałtowni
Dzisiaj mnie wstydzą bogowie i cała
Potworność rzeczy: Cóż mnie dziś uzdrowi?
Cóż mnie wyleczy? Cóż mym stopom wróci
Dawną ich siłę, a blask licom moim?
Jakież mnie skrzepią i posilą zioła?
Co jeść, co pić mam, o wielcy bogowie,
Żebym się stała, jak dzikie zwierzęta,
Które się tuczą, mordują wzajemnie,
Kochając tylko swoje własne serca?
Wy nam, bogowie, ich pokazujecie,
My zaś mniej jeszcze mamy strawy od nich,

By żyć, jak one ~ one, które żyją
Swoim zwyczajem, jak ktoś, co używa.
Nam źle się dzieje, nam, których odarto,
Czy się śmiejemy, albo też płaczemy,
Z światłości źrenic, z wiedzy, z pełni serca,
Z rozumu, z siły rąk; tak więc grzeszymy
I głodujemy wciąż i w zaślepieniu
Kończymy żywot nasz; szaleństwo bowiem,
Nie moc daliście nam, wielcy bogowie,
Grzechy nieznane, za które nas śmiercią
I niespodzianem karzecie zniszczeniem.
Cóż więcej mówić? Cóż się z nami stanie?

CHÓR. Ach! wszyscy temu podlegają ludzie!

ALTEA. Przetoż ja nie chcę, aby dwaj ci byli
Jako psy padłe, które żre robactwo,
Wstrętni, ohydni! Niechaj im, bogowie,
Cześć będzie dana! Płomień ich pogrzebny
Niechaj popiołem sypie w oczy wrogów,
Niechaj oślepi tych, co ich deptali.
Nie chcę, by mówił ktokolwiek: „Patrzajcie,
Oto, jak leżą! a wielkie krewieństwo
Mieli, żyjący; nikt się nie zlitował,
Nikt tu nie spojrzy na nich, gdy tak leżą,
W nikim się serce nie wzruszy boleścią ~
Nadzy, zabici, wzgardzeni, pociechy
W łzach nie zaznali żadnych!“ A w pomroku

Ma-li usłyszeć biedna Eurythemis,
Jak jej synowie zjawiają się u niej,
Niepogrzebani i wzdyc niepomszczeni,
Jakby żadnego nie mieli krewieństwa,
Choć siostrę mieli królową? To byłby
Wstyd, juści większy, niż ten ból. Lecz nie wiem,
Jak to okupić, widząc, iż we mnie
Zmaga się miłość matki do dziecięcia,
Tej świeżej matki do świeżego syna,
Co z dziecka wyrósł w męża, wąły przedtem,
A dziś silniejszy od innych, tę samą
Rozbudzający miłość, z którą walczyć
Jakże nie łatwo! Miłość to głęboka,
Ludzkiej wrodzona krwi i nie dająca
Zmazać się żadną łzą. Lecz ci nie będą
Żadnych mi czynić wyrzutów, gdy umrę,
Ani też ona, matka ma, goszcząca
W bezmiernym świecie pośród swoich zmarłych,
Śród stad poblakłych umarłego ludu,
Padłych, jak liście, obcych blaskom słońca.
Jej nie potrzeba tej gorzkiej pociechy,
Tej nędznej chwały, że ona, królowa,
Nosila w łonie córkę, sprawiedliwą
Córkę-królowę; a choć mnie mój własny
Pali dziś ogień, cześć jej nie ominie
Razem z synami, acz zmarli. Bogowie,
Co chcą, to czynią, my zasię możemy
Z tego, co chcemy, spełnić ledwie częśćkę —

Jeden też tylko pozostał nam wybór:
Żyć, sprawiedliwie działać i umierać.

CHÓR. Straszliwe mówi słowa, płomieniem
Obraca okiem, wąpiąc w samą siebie —
Szepce, jak człowiek, w śnie mówiący z śmiercią.

ALTEA. Umiera także człek niesprawiedliwy

I nienawidzą go wszyscy i sam on
Zohydza sobie swą niesprawiedliwość,
Własna mu hańba staje się nieznośną.
Lecz ja, będąca wszakże sprawiedliwą,
Postępująca słusznie względem siebie,
Zabijam duszę swą i nikt na świecie
Hańbić mnie za to nie może. Albowiem
Nikt mnie nie zmusi i nikt mnie nie zgani,
Ze oto spełniam to, do czego nikt mnie
Tutaj nie nagli. Taki to bieg rzeczy,
Ach! ach! że taki musiał być! Ach! biada,
Ze ja to spełniam i że ja to znoszę,
Wybrana k'temu, zmuszona wybierać,
Że chodzę z raną swą, wskroś mego ciała
Zadaną sercu, żem łup i łupieżnik,
Żem gmach, walący się na mego syna —
Biada! ach biada mnie i tym zabitym!
Oto się stało to, co stać się winno,
Dłonie me, pełne czynu, oczy moje,
Krwią przepełnione, krwi się tylko dotkną,

Której już żadna moc nie zatamuje,
Dotkną się ognia, których nikt nie zgasi.

CHÓR. Co cię podżega? Co chcesz czynić? Chwieje
Dom się ten cały — chcesz podłożyć ogień?

ALTEA. Pod dach podłożę ogień i pod progi —
Patrzajcie! w wrótniach przędą owe prządki;
Krew z rąk im spływa i z nici i plami,
Kiedy ja wchodzę, próg i mnie i suknię —
Śmierci krwawemi plami mnie kropłami.

CHÓR. Ach! czas silniejszy jest od silnych mężów,
Dola od bogów, co nas nawiedzili.

ALTEA. Przed chwilą byłam wesoła; a teraz
Ani wesoła będę ani smutna.

CHÓR. Troska wyrasta z pomiędzy dwóch uciech.

ALTEA. Ja chwilę będę śmiać się; a już potem
Nigdy nie będę płakać ani śmiać się.

CHÓR. Co powiedziałaś? Słowa są bodźcami
Troski! Opanuj się i bój się bogów.

ALTEA. Bojaźń umarła z tymi! I ja zmarłam —
Zywi się boją — ci się już nie boją.

CHÓR. Z miłości ku nim miej litość nad ludźmi.

ALTEA. Już się spełniło; czyż mój dzień zawrócę?

CHÓR. Koniec już nadszedł, koniec; bóg to sprawił.

ALTEA. Ogień-ci jestem, płonę; strzeż się ognia.

CHÓR. Dom się już wali, wali — nie wytrzyma.

ALTEA. Biada, kto dom ten nadwerżył; zdawna
Bicz dom ten smagał, dziś go tnie siekiera.

CHÓR. Nie było strasznych trzęsień ziemi
I nie szalały głębie morza,
Ni przeczuciami śmiertelnemi
Nie dręczył sen narodzin łoża;
Świat pasa swego złowieszczemi
Nie rozpiął dłońmi w nocnej mroczy;
Uszu nam grzmot nie szarpał srogi,
W błyskach nie gasły ludzkie oczy,
Gdy Doła, matka żądz i trwogi,
Prawo łez wniosła nam na drogi.
Ciała i nazwy pozbawiona,
Płomię bez ojca, wystrzeliła
Niespodziewanie z nocy łona
W dniach, które więzi już mogiła.
Naokół, gdy zabłysła ona,
Niebo rozdzwiewkło, jak cymbały,
Obłoki, gwiazdy, śniegi, grzmoty,
Życiem dyszący bezmiar cały,
Przestworza, pełne stad namioty,
Wicher wyjący, ogień złoty —

Wszystko poznało tę boginię,
 Tę matkę śmierci, córkę losów,
 Tę siostrę troski; życie minie,
 A nikt, ni człek ni dłoń niebiosów
 Nie ulży Doli!... Kamień ninie
 Stoí graniczny tam, którędy
 Szereg pokoleń wiodła droga,
 A wciąż nad nami, wciąż i wszędy,
 Złe władnie berło, różga sroga,
 Zabójcza, gorzka zawiść Boga.
 Bo śmierć to głębia mórz bezdenna,
 A zaś jak fala mórz jest Dola;
 Przyniesie-ż litość fala zmienna?
 Zyskasz-li miłość z rąk Eola?
 Zastąpi-ż noc ci dnia promienie,
 Światłem ci w drodze będą-ż cienie,
 Gdy „dość już“ rzeknie-ć serca wola?
 Zbyt jesteś mądra, kształt twój zbyt uroczy;
 Ta piękność wiosny w twych oczach, te światłem lśniące oczy!
 To światło wiosny w twych oczach, te uszu twoich dźwięki!
 Lecz we łzach są twoje powieki, w twem sercu panują lęki.
 Odziejesz-li srebrem swe stopy, a złotem okryjesz włosy?
 Ubierzesz się w płaszcz purpurowy, z warg słodkie-ć popłyną
 [głosy?
 Obmierzniesz ty kochankowi, gdy z lica-ć spadnie zasłona;
 Gdy staniesz się pastwą Doli, zblednie ci twarz zrumieniona;
 Padniesz, jak liście powiędłe, jak deszcz, ciekący po polu;
 Smutek twej głowy okryciem, strojnej w koronę bólu.

ALTEA. Wy, co płaczecie, i wy, co śpiewacie,
Ustąpcie mi się! Skryjcie łzy na chwilę,
Mali płaczkowie, a i wy, o śmieszki,
Przestańcie śmiać się! Patrzcie, moje oczy,
Łzawsze od niebios deszczowych, me usta
Tak się dziś śmieją, jako z nas bogowie.
My Przeznaczenia własnością; lecz chwilę
To Przeznaczenie jest naszym, tak! mojem ~
Ono jest synem moim, towarzyszem
Mojego łoża, mym bratem! Bogowie,
Ustąpcie mi się, jestem jednym z bogów,
Co daje życie i odbiera! Ziemió,
Co rodzisz ludzi i zgładzasz, co usta
Masz zczerwienione z pożartych własnego
Łona owoców, patrz, jakiemi usty
I jaką strawą karmię swoje wnętrze:
Strawą, z mojego urodzoną wnętrza.
Wszczęty przezemnie ogień sycę ogniem,
Chcąca go zgasić; tak, płomieniem pragnę
Wypalić popiół i proch tego ognia.

CHÓR. Zaliż to ogień jest, którym się palisz?

ALTEA. Tak, aż do kości, do krwi, do wszystkiego!

CHÓR. Lice i włos twój są jak jeden płomień.

ALTEA. Język mój liże i pożera popiół.

CHÓR. W twych oczach puste światło i pożoga.

ALTEA. Nie sycą skier tych dłoń ani kadzidło.

CHÓR. Drżenie twych oczu napełnia mnie lękiem.

ALTEA. Nie drżą z miłości ani też ze trwogi.

CHÓR. By ptak zraniony, tak drżą twoje usta.

ALTEA. Nie jak z całunków usta oblubienic.

CHÓR. Nie! Ale powiedz, cóżeś uczyniła?

ALTEA. Milczę! Niech za mnie mówią wasze oczy!

CHÓR. W świetlicy błyska jakieś małe światło?

ALTEA. Podnieście w górę powieki, patrzajcie!

CHÓR. Słupy się palą, przedsionek jest w ogniach!

ALTEA. Krzyczcie! jak ptaki wyciągnijcie szyje!

CHÓR. Pożar! dym czarny, biały popiół widzę!

ALTEA. Cóż wy widzicie, dzieci? Wasze oczy

Bardziej są ślepe, niżli noc na nowiu!

To moje ciało, owoc mego życia,

Syn mój, to łona mego roczne brzemie,

T'o Meleager, płomień, zapalony

Memi rękami i memi rękami

Dzisiaj zagaszon — to on jest, patrzajcie!

CHÓR. Jakież to z ust twych wybiegły ci słowa?

ALTEA. Jam to zrobiła i mówię i konam!

CHÓR. U bramy warg twych stoi śmierć; z warg twoich
Śmierć uczyniła dzisiaj swój przybytek.

ALTEA. Chwileczkę jeszcze, śmierci, słodka śmierci!
Aże się płomień wypali i umrze.

CHÓR. Jako na wietrze trzcina, tak się chwieje;
Drżącemi stopy przylgnęła do ziemi.

ALTEA. Jedno, dziewczęta, powiem i zamilknę.
Ja, to zrobiwszy, nie płaczę, nie krzyczę!
Krzyczcie i płaczcie wy! Nie wzywam bogów,
Wy ich wzywajcie! Nie winię nikogo!
Wy miejcie litość! Ja nie wiem, czy żyję!
Czuję li ogień naokół mej twarzy,
Na licach moich czuję żar pożogi!
Tak, dym mnie gryzie; gorzeliznę chłonę
Powieką, wargą, nozdrzami — niesyta
I niecierpliwa; dłonie mi się palą,
Oczy me ogień gryzie; tak się chwieję,
Jak człek, pijany żywotem, z którego
Chłonał rozkosze; tak, szalona jestem
Z wielkiej radości; to długie me życie
Już mi obmierzło; czuję, żem czerwona,
Jakby od cienia krwi wylanej; patrzcie!
Żar mnie rozpala, który w nim przygasa,
Nabrzmiwam cała żył jego zanikiem,

Odplywem jego rośnie fala we mnie,
Oko me ogniem goreje, co w jego
Zamiera oczach beze krwi; me lice
Krwia się płomieni, gdy jego oblicze
Szare, jak popiół. O dziecię, o synu,
O pierworodny, o mój najpiękniejszy!
O słodkie usta, o wy oczy słodkie,
Wy, coście życie ssali z mojej piersi,
Coście płonęły, coście mi na dwoje
Rozdarły serce — o Ignące kolana,
O lube kroki drobnych stóp, o lica,
Płonące żarem całuneczków — dziecię,
Cóżesmy sobie, dziecię, uczynili!
Czułam twój ciężar w sobie, o mój synu,
Brzemię piękności, te brwi twe dziecięce,
Te ukochane, kochające usta,
Kwitnące włosy, te jasne oczęta,
Tę całą drogą dumę! Tą mą ręką
Karmiłam ciebie czule, tym językiem
Gwarzyłam z tobą, mówiący: Daj Boże!
Jeśli nie zwodzą mnie twoje członeczki,
Królewski z ciebie wyrośnie bohater,
Wódz przewspaniały! I dziś, gdy umieram,
Słyszę: „Nosila miecz najpierwszy w świecie!”
Ach! Ach! naokół mnie wiruje życie;
Oderwano mnie ode mnie, me imię
Zgasło! me imię, które lekkiem było,
Dziś jest zabójcą! Odtąd, choć me oczy

Widzą już koniec wszystkiego na świecie,
Już nie otworzę ust, pokąd nie umrę.

PÓŁCHÓR. Jęk przez nią w grodzie tym gości,
 We łzach skąpane drogi ;
Ni strojna w pas oblubienica,
Nadobne podniosła lica ;
Płacze, a niema litości,
 Drży cała, a nie zna trwogi.

PÓŁCHÓR. Jej oczy jako blask słońca,
 Jej czoło, jak dzionek świeży ;
Pas ją ozdobił bogaty
I mnogofałdne jej szaty —
Lecz sława dobiegła już końca,
 Potęga jej w gruzach już leży.

PÓŁCHÓR. Po ogień sięgnęły jej dłonie,
 Usta jej płomień syciły,
Usta, co grały świetniej
Od grania dźwięczących fletni ;
Od tchów jej ognisko rozplonie,
 Od żądzы wszechmocnej siły.

PÓŁCHÓR. Ręką pochwyci łuczywo,
 Żagwią potrząsa płonąca ;
Z oddechem tak walczy, znużona,
By człek, co za chwilę już skona ;

Zary rozpala co żywo
Jej wargę, krwią zlaną gorącą.

PÓLCHÓR. Jak ranna gołąbka w lesie,
Tak piersi wytęża, tak dyszy;
Usta jej pełne są łkania,
Tak łka i oczy zasłania,
Tak sił ostatkiem rwie się
I nie zatęskni do ciszy.

PÓLCHÓR. Jak wiatr-posucha, jak burza,
Jak wichr śmiercionośny, okręty
Śród morskiej gubiący topieli,
Tak oddech, co usta jej dzieli:
Z ust się jej oddech wynurza,
W oddechu ogień zamknięty.

DRUGI POSEŁ. Coś strasznieszego od oblicza śmierci
Dziś nas spotkało! Królowo, dziewice!
Cny Meleager jest ni człek zabity!

PÓLCHÓR. Nie miecz go, nie miecz zwałił ninie,
Padł, lecz nie z ręki on padł!

DRUGI POSEŁ. Jak lód, przeżarty słońcem, jego członki;
Jak topniejący śnieg, tak aż po włosy
Topnieje na nim wszystko jego ciało.

PÓLCHÓR. Jako pożoga z pożogi on ginie,
W popiołach grzebiąc swój ślad.

DRUGI POSEŁ. Gdy zaśpiewali wszyscy, a on ręce
Wzniósł, by ozdobić wieńcem Atalantę,
Naonczas ręce opadły mu obie.

PÓLCHÓR. O płaczcie, żorujcie co siły,
Szarpiały swą twarz, rwący włos ~

DRUGI POSEŁ. Wieniec mu z rąk się wysliznął na ziemię,
I on, targając włosy, z strasznym jękiem
Oblicze szatą zasłonił i upadł.

PÓLCHÓR. Prawdę nam widma mówiły.
Sny wywróżyły ten los.

DRUGI POSEŁ. Król uźdźienicą szarpnął i zskoczywszy
Z konia, dwa razy albo trzy zawołał:
„Dziecko!“ aż wszystkim łzy zrosiły oczy.

PÓLCHÓR. Długą żałujcie żałobą,
Nie szczędźcie tej doli swych łez.

DRUGI POSEŁ. „Synu“, ~ powiedział ~ „zlituj się nade mną,
Podnieś te oczy!“ Lecz on tylko westchnął,
Twarz jego była, jak trawa spalona.

PÓLCHÓR. Płacz, ziemio, już koniec jest z tobą,
Jęcz, ludu, już nadszedł twój kres!

DRUGI POSEŁ. I król mu słabe rozprężył kolana,
Niknący ciężar słabą podniósł ręką,
W cudze go ręce oddał i zapłakał.

PÓLCHÓR. Wylałeś już krew swą przedrogą,
Ni deszcz, ty, jej żądza, jej król!

DRUGI POSEŁ. A ci, ze łzami, szarpiąc sobie brody,
Oddychające przynieśli tu ciało,
Śmiertelnie chore, lżejsze z każdym krokiem.

PÓLCHÓR. Twój miecz był straszliwą pożogą,
W pożodze twój koniec, nasz ból.

DRUGI POSEŁ. Święto zmieniło się w pogrzeb; upadły
Wieńce, a w siódlach łowiec i łowczyni —
Włosy i łzawe lica zasłonięte.

MELEAGER. W tych rąk swych wieniec drogi
Zamknijcie moje skronie;
Postawcie mnie na nogi,
Jako człowieka po zgonie;
Me kości i ciało topnieją, by ołów, gdy ogień go chłonie.

CHÓR. O jasne twe oblicze!
O te królewskie oczy!
O smutku wy słodczye,
Kiedy dzień w mrok się toczy!
W łzach jakież to, panie, nad tobą, kształt się nachylił uroczy?

MELEAGER. Bez stroju choć jej lica,
Choć wieńca niema na niej,
Jakaż oblubienica
Dorówna mojej pani?
Najczystsza to z dziew, Atalanta, łaskę przynosi nam w dani.

ATALANTA. Przecz bosa-m przebiegała

I drogi i bezdroża?

Przecz tutaj, tak zuchwała,

Płynęłam falą morza?

Na północ, do Kalydonu, z Arkadyi zawiść mnie parła boża.

MELEAGER. Każdego los przygniata,

Jakim go Ten obarczy,

Któremu ciężar świata

Za lekki powiew starczy —

Lecz czemuż mnie śmierć nie powiodła, gdzie zamęt bitewny
[warczy?

CHOR. Nie, gdzie pawęże dzwonią,

Dźwięk ich się wdziera w uszy,

Bóg wojny, pędzący błonią,

Oszczep o oszczep kruszy —

Nie! lękem złamany i trudem, zbywasz się dziś swojej duszy.

MELEAGER. Czemuż nie ginę na łanie,

Gdzie się zieleni pole,

Albo niespodziewanie

W mej domowiny kole —

Z blaskiem w źrenicach, ze śpiewem na uściach, z koroną na
[czole?

CHÓR. Gdzież ślą cię od nas? Odpowiedz!

Twa droga czy daleka?

W jaki uchodzisz manowiec?

Gdzież wielka moc twa ucieka?

Tak się dusza od ciała oddziela, jak od źrenicy powieka.

MELEAGER. Jak popiół w ogniu, tak we mnie
Me serce! Kto okiem tu rzuci,
Temu brać lutnię daremnie!
Bez gęśli o sprawach zanuci
Tak strasznych, że nikt już swej żądzы ku sprawom tak stra-
[sznym nie zwróci.

CHÓR. By z śmierci unieść cię domu,
Któż taką moc posiada?
Niema opieśnić cię komu,
Godna się pieśń nie składa!
O biada! ta twoja uroda! twe ciało! Twa głowa! O biada!

MELEAGER. Sny śniąca matko! Zali
Z ciebie się inny zrodzi,
Co będzie kroczył dalej
W słonecznych skier powodzi,
Gdy cień moj między cieniami z skargą śród toni nieprzebytej;
[brodzi?

ENEUSZ. Gdy jego w mroku grzebie
Nieszczęsna ta godzina,
Cóż zyskam ja od ciebie?
Dasz syna mi za syna?
Zagasiła już światłość mych źrenic, ta żądza żywota jedyna!

CHÓR. I szczęścia wielkiego siła
I krasę-ś miała, dostatki,
W chwale-ś po świecie chodziła —
Nie było drugiej matki,
Którejby, jak ptakom skrzydła, dodan był honor tak rzadki.

ENEUSZ. Któż czar ci zwrócić może,
Nęcący tak przed laty,
Dziś lice-ć trwoga orze,
Ten żywot, w znój bogaty,
O matko łez i troski! klątw matko, o matko zraty!

MELEAGER. Choć jesteś jak płomienie,
Wieczyste głodne paliwa,
Czystsze jest me pragnienie,
Niżli ta rosa siwa,
Niż deszcz, niż ta niebieska, gwiazdami zasiana niwa.

ATALANTA. Lepiej, ażeby stopniała,
Jak woda, krew mego życia,
Jak zimy córka biała
Śród dolin, w czas przybycia
Wiosny, niż widzieć tak ciebie w jutrzni śród mroków spowicia.

CHÓR. Traków miecz twój nagi
Gdy wzywał na boje,
Nikt nie miał odwagi
Spojrzeć w oczy twoje,
Gdy w walki straszliwym łyskaniu krwi oblewały cię zdroje.

ENEUSZ. Lepsza śmierć była tobie,
Po której nikt nie tonie
W łzach gorzkich i żalobie —
Na walki paść zagonie,
Kwitnącym pięknością oręży, gdzie grają świetliste bronie.

CHÓR. To brzmi li w uszach świata,
Ta tylko pieśń rycerzy
Na jasnych skrzydłach ulata,
Z głośnym rozgukiem bieży
Od śniegów Akrokeraunii aż tam do Runa Złotego wybrzeży.

MELEAGER. Obyście mi w tej dali —
Spraw-że to wielki Boże! —
W chersońskim zgotowali
Piasku ostatnie łoże,
Gdzie grzmotem Bosforu grzmotom Ponckie obzywa się morze.

ENEUSZ. Odpychasz naszą pieśnię,
Którą, bywało, poczyzna
Za dawnych lat, tak wcześniej
Wielbiąca mego syna,
Po halach gór naszych ojczystych ta Kalydonu dziedzina.

MELEAGER. Zmarłym ojczyzna nieznana —
Nie mają swego domu!
Czemu nie jestem piana
Morza i czemu, wśród łomu
Fal, nie otulą mnie dzisiaj, ni to płaszczem, te fale golfstromu?

CHÓR. Gdzież jest ta chwila, która
Znówby ten czas przyniosła,
Gdy gołąb maczał swe pióra,
Gdy głębie porały wiosła,
Gdzie piana tych ciasnych Symplegad na drogach Propontu rosła?

MELEAGER. Chcecie mi śpiewać pienia,
Chcecie mi wieńczyć mogiłę,
Gdy w płomień ciało się zmienia,
Gdy duch mój trawi swą siłę?
Niech morze pochłonie wsze słowa, przyganą czy chwałbą opile!

CHÓR. Odwróć się, jak się odwraca
Ten, co ma powstać nadzieję!
Czyż płonna byłaby praca
Ten żar, którym życie twe tleje,
Gasić, gdzie skalny zrab Helli zachodnie odpiera zawieje?

MELEAGER. Poniosą-ż mnie powiewy,
Poniosą-ż mnie bałwany
Na szumne te rozlewy,
Gdziem w porze młodocianej
Ciął pasy i korony bóstw morskich, te chłodne kwiaty piany.

CHÓR. Bóg, co zamyka w okowy,
Wraz te okowy kruszy;
Będzie w twych członkach gotowy
Spokój dla twojej duszy —
Lecz cóż ci da Bóg za to życie, tak dzisiaj ginące w tej głuszy?

MELEAGER. Nie krwią bijące żyły,
Nie ciało pozostaje:
Nie schodzi do mogiły
Li czas, co życie daje
Tym kropłom deszczu po łąkach, tym rosom, które mi lśnią gaje.

CHÓR. Byłeś na czele, przy sterze,
Staną-ż się liści koroną
Twe członki? Czyż w kwiaty świeże
Twarz zmienia? twą krew czerwoną
W wodę? A dusza czyż wniknie w te bóstwa, co wszystko
[chłoną?]

MELEAGER. Lata zgłodniały,
Wszystkie dni swoje się skarżą;
Bogowie, syci już chwały,
Z gniewną dziś twarzą —
Okiełzać ich warg zapalczywość jakież się moce odważą?

CHÓR. Bogów nad światem władzą
Są bogów różgi i miecze!
I mrok i glinę gromadzą,
By przyćmić lice człowiecze
Wobec swojego oblicza: ich prawo tę ma nad nami pieczę!

MELEAGER. O święta głowo Eneja, bez winy
Syn twój, lecz winą innych pokalany
Przez pokrewieństwo z skażonymi byty.
Dla nich umieram; krew ma się mieszała
Z ich krwią i śmierć mnie odróżnić nie może
Od moich krewnych. Ale z czystem sercem
I z nieskalaną umieram tu dłonią,
Bez żadnej hańby. Żegnaj mnie z miłością
I życz mi dobra pomiędzy zmarłymi,

O ile dobrze jest zmarłym; albowiem
Smutno jest zmarłym ludziom, choć najlepszym;
A jednak, mając miłość twą nad sobą,
I twoją dobroć, schodzę dziś bez trwogi
Tam, gdzie niczego trwożyć się nie trzeba —
W posępne schodzę kraje, między zmarłe.

ENEUSZ. Smutnem cię żegnam sercem i ze łzami,
Otuchę-ć niosę, boś całym był mężem
W walce i godnym czci w domu pokoju.
Piękną bogowie niech dadzą-ć zapłatę,
Mnie zaś dni krótkie i drogę do ciebie.

MELEAGER. Módl się o długie dnie, nim śmierć zawita,
Dnie, pełne szczęścia i królewskiej mocy.
Śmierć ci pociechy nie da ni potomka,
Nikt też nie ujrzy jutrzni ani światła
W ziemi, do której ja schodzę. Zyj pełnią
Dni i umieraj, gdy twój dzień nadejdzie,
Ani się lękaj śmierci, byś nie zebrał
Lichego żniwa przed tym dniem; ty także,
Gorzka macierzy, ty przemęczonego
Mojego ciała macierzyńska plago —
I ty, królowo, początku i końca,
Siewczyni razem i sierpnie, ty deszczu
Owoconośny i suszo niszcząca,
Piasku chłonący i żywiąca wiosno,
Coś mnie zrodziła, a teraz niweczysz —

I ty, powiadam, Alteo, od chwili,
Gdy mego ojca pług skrajał nieszczęsny
Zagon twojego niewieściego pola —
Gdym z skiby ciała twego, kłos pszeniczny,
Wyrósł w słonecznej sile, w woni deszczu,
Łona twojego przepańszy zamknięcie —
I ciebie, matko, pamiętnym językiem
Sławię, konając, jako sprawiedliwą
I jako świętą, chociaż aniś święta
Ni sprawiedliwa! Radbym się na klęczkach
Modlić do ciebie, ale chytrość twoja
I ten twój ogień, niszcząc mnie, rozparły
Moje kolana; albowiem te członki
Są ni skorupy i popiół mej urny,
Nim je tknął ogień, a moje oblicze
Jest jako zwiędły liść lub jako ślady
Stóp umarłego na śniegu, i wszystko
To moje ciało, niegdyś tak potężne,
Jest jako drzewo strzaskane, zaś kwiecie
Mego żywota obdarte, zhańbione
Tak przesromotnie; skurczą się me mięśnie,
Dorównujące bogom, moja siła
Nie jest już siłą męża, gdyż opadły
Wszystkie me żyły i docna już gaśnie
Popiół mojego życia. Chciałbym, matko,
Byś życ mi dała; lecz wrodzy bogowie
I przeznaczenie i płomienna stopa
Zmian zarządzili inaczej — to oni,

Nie ty zdeptałaś me życie! O, wielceś
Ty mnie kochała i ja ciebie, przecież
Śmierć ta od razu złączyła się z życiem,
Koniec z początkiem moim: to mnie właśnie
Zabija prawo, nie ty, moja matko!
Niech brat i siostra zbytnio się nie smuć,
Niech dla mnie w łzach się nie topią ich serca:
Zbyt wielka miłość i zbyt wielki smutek
Budzą gniew bogów; kto nazbyt miłuje,
Ten dla miłości zabija i będzie
Dla niej zabity; lepsze zrodzi dzieci
Dom ten i pocóż im płakać? Niech życiem
Żyją cierpliwem, zapomną o mojem;
Ty jedna, matko, a nie ci, zachowaj
Nieco mnie w duszy, gdy umrę, boć byłem
Twym pierworodnym. Gdy stąd precz odejdę,
Ty mnie pożałuj zmarłego, choć byłaś
Gniewna i możesz tu znowu szczęśliwych
Porodzić synów, którzy mnie przerosną
W sławie i chwale — nie zapomnij o mnie
Ani się nie wstydz mnie, wszak ja twym synem!
Był czas, żem nie chciał przynieść wstydu tobie;
Był czas, żem pragnął żyć i cześć ci przynieść
Wielkimi czyny, jako ci mężowie;
Lecz oni żyją, ja zaś umieram;
I coby stać się mogło, juścić nie wiem,
Ale zaklinam ciebie, gdy zobaczysz,
Że już nie żyję, nie mniej ty mnie kochaj,

Mnie, matko moja — zaklinam na bogów
I na pierś ojca i na twoją świętszą
Pierś, moja matko, i na tych, co patrzą,
Jako umieram, nie mniej ty mnie kochaj,
Pierworodnego twego! Choćbym ja ci
Zgotował smutek, a ci radość wielką,
Ty wiesz, o matko, wy to wiecie, piersi,
Coście mnie ongi tuliły, wy wiecie,
O droga głowo mej matki, o święte
Oczy — wy wiecie, jaką jest ma dusza:
Chociam i grzeszył, choć klęczyć nie mogę,
Ani też objąć twych kolan, me wargi
Klęczą i serce me do stóp twych pada.
Zegnajcie teraz, wszyscy przyjaciele
I wy, krewniacy, sławniejsi ode mnie,
Synowie siostry mej matki; żegnajcie
Wy, coście byli wraz ze mną w Kolchidzie
I ze mną fale zmoogliście i boje:
A choć się czasy zmieniają, choć dzisiaj
Nie jestem niczem, wy nie zapomnijcie,
Com zdziałał ongi za mych dobrych czasów —
Na te dni właśnie ja was tu zaklinam
I na dzisiejszy dzień ten i na wasze
Żyjące dusze, na światło i szczęście,
W którym żyjecie, i na łup ten nędzny,
Na mnie, mrącego, ja was tu zaklinam,
Nie dajcie umrzeć mojemu imieniu!
A ty, najdroższa, podaj mi różane

Dłonie, wargami zamknij mi powieki —
Gorzki całunek; weź mnie w swe objęcia,
Ciężkie swe usta złóż na wątłe ciało,
Które zwałowała ciężka ręka Doli,
Zrós je kroplami z świętych ocz dziewczyczych,
Zrós mnie łez rosą, mnie, co już umieram,
Mnie, com cię kochał. Widząc, jak bez grzechu
Schodzę w ten pusty, a straszny przybytek,
Gdzie niema ciała ani też piękności
Ni słodkich oczu ani ust pogwaru
Ani też władzy rąk ni nóg, zasłoną
Okryj mnie swoją, drogą głowę moją
I moje nogi płaszczem swym naodziej,
Nachyl się rada nade mną, ustami
Ust się mych dotknij, dłoni mej swą dłonią;
Bądź mi litośną, jako doskonałą
Jesteś dziewicą, iżby nikt ze wzgardą
Nie mówił o mnie: „Mąż ten, jak niewiasta,
Umarł, ofiara niewiasty, w sromocie
Umarł, gdyż tkan mu żywota podarły
Palce niewieście“; boć przecież od ciebie
Sromum nie doznał. A teraz, przez Boga,
Raz mnie pocałuj i dwa i daj odejść,
Albowiem noc mnie już sprząta, a w nocy
Owoców tutaj jeszcze nikt nie sprzątnął.

ATALANTA. Cześć ci! Ciężkimi uchodzę stopami,
Z ciężkiem obliczem idę precz z twych oczu.

CHÓR. Któż walczyłby z swymi pany?
Któż chciałby ich zwodzić z drogi?
Któż chciałby ich zakuć w kajdany?
Pieśnią przebłagać gniew srogi?
Lub miecz wyciągnąć kowany?
Potężną siłę mają wielkie bogi...

KONIEC.

